

MARGIT SANDEMO

ZIMOWE MARZENIA

Tajemnica Czarnych Rycerzy 12

Tytuł oryginału: „Vinterdrom”

Streszczenie

Dotarli w końcu do celu, do dużej groty w cichej, kamienistej dolinie. Skarb został odnaleziony, ale wszyscy, którzy na niego polowali, pomarli, znaleźli się w grobach. Został tylko Tommy, pogrążony w śpiączce.

Przekleństwo ciążyące na rycerzach i ich potomstwie zostało usunięte, zagadka niemal rozwiązana. Grupa zdołała zlikwidować wszelkie przeszkody tak, by dwoje królewskich dzieci mogło się połączyć, ale najgorsze jeszcze pozostało - sarkofag króla Wizygotów, Agili, zamykał wielką dziurę w górskiej ścianie, dziurę, którą w 1481 roku zrobili ludzie rycerzy w wyniku nieszczęśliwego zbiegu okoliczności. Otwór, który wtedy powstał, prowadził wprost do Ciemności, królestwa demonów. Teraz wyszło na jaw, dlaczego rycerze wypalili znak na ramieniu Jordiego. On bowiem był jedynym człowiekiem, który dzięki temu znakowi na ramieniu potrafiłby zamknąć otwór tak, by można było przesunąć sarkofag Agili i pozwolić staremu królowi nareszcie odpocząć. Równocześnie zostałyby na całej kuli ziemskiej pozamykane połączenia między Ciemnością i światem ludzi. Gdyby Jordiemu się udało.

Po tamtej stronie skalnej ściany kłębiły się setki demonów gotowych do wylania się na zewnątrz, gdyby sarkofag został choć odrobinę odsunięty.

Tabris uwięził Urracę, by ją zaprowadzić do władcy Ciemności. Ale jego miłość do Sissi i przyjaźń łącząca go z innymi członkami grupy sprawiły, że się rozmyślił i postanowił stać się człowiekiem. Występuje teraz jako Miguel, ale nadal ma w sobie wiele z demona Tabrisa. Poza tym jest pierwszą istotą, na której demony się zemszczą, jeśli wydadzą się na zewnątrz. Wobec tego Urraca wysłała go w świat, by trochę sobie spiłował demoniczne kanty, zanim poważnie zacznie myśleć o Sissi. Miguel opuszcza dolinę, na świeżym śniegu zostawia ludzkie ślady. Sissi uznaje to za dobry znak.

Kiedy Jordi szykuje się do ostatniego zadania, wszyscy są strasznie wymęczeni i głodni. Coś układa się nie tak jak trzeba i Jordi ponownie otrzymuje wyrok śmierci, który miał zostać wykonany w jego dwudzieste piąte urodziny. Słyszy, jak Unni z daleka, z bardzo daleka woła go po imieniu.

KILKA SŁÓW O BOHATERACH:

Unni Karlsrud

21 lat, ukochana Jordiego, potomkini rycerza *don Sebastiana de Vasconia*. Jeśli nie uda się złamać przekleństwa, pozostało jej jeszcze trochę ponad trzy lata życia.

Jordi Vargas

29 lat. Wybraniec rycerzy, otrzymał pięcioletnie odroczenie śmierci po to, by mógł im pomóc. Potomek *don Ramira de Navarra*.

Antonio Vargas

27 lat. Brat Jordiego, wolny od przekleństwa. Świeżo upieczony lekarz.

Vesla Ødergård Vargas

23 lata. Zona Antonia. Znajduje się w Norwegii, właśnie urodziła synka.

Morten Andersen

24 lata. Potomek *don Ramira*, pozostały mu jeszcze trzy miesiące życia.

Sissi

22 lata. Potomkini *don Garcii de Cantabria*, ma jeszcze trzy lata. Szwedka. Kocha Miguela.

Juana

Hiszpańska studentka. Jest z Mortenem.

Gudrun Vik Hansen

66 lat. Babcia Mortena.

Don Pedro de Verm y Galicia

61 lat. Potomek *don Federica de Galicia*. Wolny od przekleństwa.

Rycerz *don Galindo de Asturias* nie ma współcześnie żyjących potomków.

Duchy i upiory, oprócz rycerzy, które pomagają przyjaciołom:

Tabris

Demon siódmej godziny, duch wolnej woli. Wędruje po świecie ludzi jako Miguel.
Kocha Sissi.

Urraca

Piękna czarownica z piętnastego wieku albo z jeszcze dawniejszych czasów.

Infantka Elvira De Asturia oraz *Infant Rodríguez De Cantabria*. Wybrane dzieci królewskie. Zamordowane w 1481 roku przez katów inkwizycji.

Agila

Król Wizygotów w latach 549 - 554.

Po stronie zła:

Flavia

Nie żyje. Ofiara własnej chciwości.

Hrabia Bruno

Nie żyje. Ofiara własnej chciwości.

Emma

Nie żyje. Ofiara własnej chciwości.

Thore Andersen

Nie żyje. Spłonął w oddechu Wamby.

Alonzo

Nie żyje.

Zamordowany przez Wambę.

Kenny

Nie żyje. Zamordowany przez Thorego.

Tommy

Zraniony kamieniem przez Wambę. Znajduje się w śpiączce. Jedyńy, który został przy życiu.

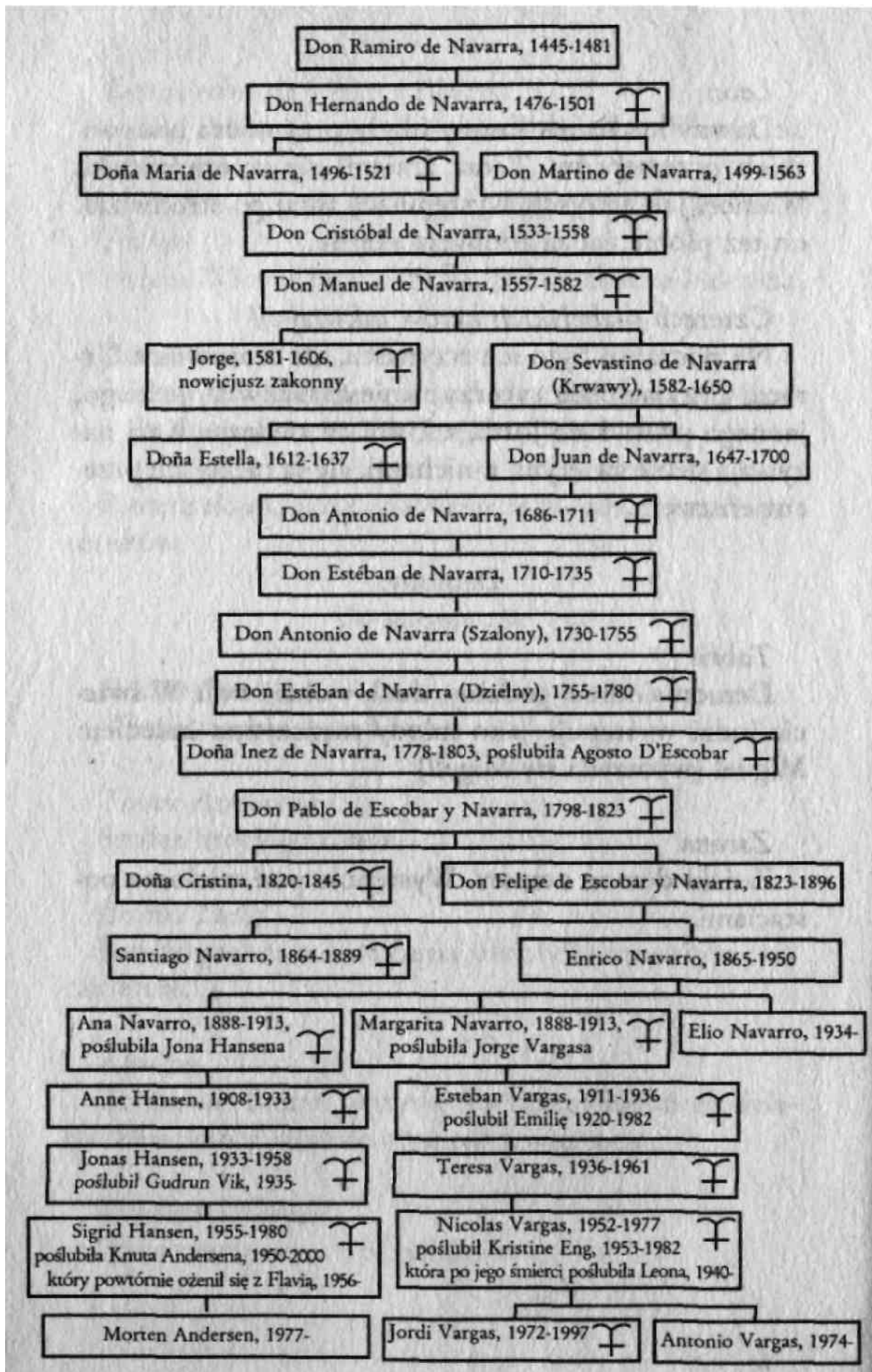
Leon - Wamba Człowiek i upiór w jednej postaci. Unieczwiony przez Jordiego, któremu pomagał Tabris.

Zarena

Demon zemsty. Unieszkodliwiona przez władcę Ciemności.

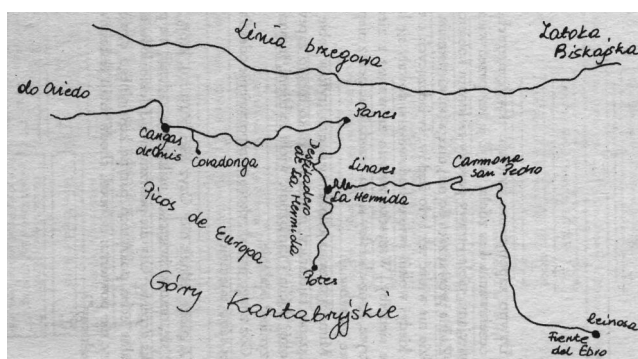
Trzynastu katów inkwizycji

Wszyscy zostali usunięci z czasu i przestrzeni.



CZEŚĆ PIERWSZA

OSTATNIE ZADANIE



1

Ściany groty zadrżały jak przy trzęsieniu ziemi. Grzmiało i dudniło, a wewnątrz góry odbijały się echem potworne, jakby wilcze wycia z setek gardeł demonów. Przygotowana przez dawnych rzemieślników zaprawa murarska sypała się ze wszystkich konstrukcji, w powietrzu wirowały kłęby pyłu, całkowicie przesłaniając widoczność. Żeby to wytrzymać, ludzie musieli bardzo dokładnie zasłaniać rękami oczy.

Ognie pogasły i nastąpiła kompletna ciemność.

- Mój brat! Pośrodku tego wszystkiego - zawodził Antonio. Miał jednak pełne ręce roboty z powstrzymywaniem Unni i w żaden sposób nie mógł pomóc ukochanemu starszemu bratu. - Jordi! Jordi, jak sobie radzisz?

W ogólnym zgiełku jednak jego głos nie docierał do tamtego.

Nagle wstrząsy ustały. Kurz rozpląwał się powoli i w końcu osiadał na kamiennej podłodze.

Wycie po drugiej stronie coraz bardziej się oddalało.

Urraca powiedziała cierpko:

- Teraz szukacie innych wyjść? Powinniście byli pomyśleć o tym wcześniej. W tej chwili jest za późno.

- Myśli pani... że Jordi zdołał zamknąć? - spytała Sissi, wytrzeszczając na czarownicę wielkie, płonące oczy.

- Tego się nie dowiemy, dopóki nie przesuniecie sarkofagu Agili.

- Jordi! - wrzasnęła Unni. - Odpowiedz nam! Antonio musiał przetrzeć oczy, a wtedy ona mu się wyrwała i pobiegła w głąb groty. Wszyscy rzucili się za nią, wykrzykując jakieś przestrogi. Została zapalona jedna latarka kieszonkowa, potem druga. Ludzie zatrzymali się niepewni, zbici z tropu. Sarkofag stał jak przedtem, pokryty pyłem. Ale Jordi zniknął.

Z czasu, który nastąpił potem, Unni nie zapamiętała wiele. Zdawało jej się, że pokrwawiła sobie dłonie, bo z wielką siłą tłukła nimi w ścianę, że wrzeszczała wniebogłosy i wyła, kiedy przyjaciele odciągali ją stamtąd, i że opadła na skalną podłogę, gdy usłyszała głos don Federica:

„Jordiego już tutaj nie ma. Szukanie na nic się nie zda”.

Potem był już tylko płacz, rozpacz i chaos. W końcu głośno wciągnęła powietrze i oznajmiła, szlochając:

- Oni go złapali. Pojmali go.

- Nie, Unni - odparł jej przodek, don Sebastian. - Nie, oni go nie pojмали.

Podniosła nań wykrzywioną bólem twarz i zapłakane czerwone oczy.

- No to gdzie się w takim razie znajduje?

- Teraz Jordi jest w naszym świecie.

Unni zanosła się znowu przejmującym szlochem.

- Nie żyje? - pisnęła.

Rycerz tylko czekał z odpowiedzią.

- Posłuchaj no, moje dziecko. Jeśli Jordi zdołał pozamykać wszystkie wyjścia demonów, i także to tutaj, rzecz jasna, i jeśli wy przesuniecie sarkofag do tamtych dwóch, to jesteśmy wolni. My, i doña Urraca, i królewskie dzieci. Ty i don Morten, i doña Sissi również. Wkrótce się o tym dowiemy. Ale Jordi... Doña Urraca mówi, że ponieważ te dane mu dodatkowo pięć lat kończą się w dniu jego trzydziestych urodzin, co wypada za dwa i pół miesiąca, to do tej chwili nic mu nie grozi. W dniu urodzin jednak musi umrzeć. Unni zerwała się z miejsca.

- A jeśli ja go odnajdę przedtem?

Don Sebastian uśmiechnął się z głębokim smutkiem. I - Nie odnajdziesz go, moje dziecko. On znajduje się w krainie granicznej. Tej samej, w której jesteśmy i my. A to nie jest przyjemne miejsce.

- Ale skoro Jordi jest w waszym świecie, to musicie chyba wiedzieć, gdzie dokładnie?

- Ach, to nie takie proste. Ten nasz świat jest amorf... ? Amorf? No, pozbawiony formy.

- Bez granic?

- Można tak powiedzieć. On jest wszędzie i nigdzie.

- A cóż to za okropne miejsce? - spytała Unni z pewną irytacją.

- To świat tych, którzy nie mogą umrzeć i świat upiorów.

Unni zadrzała. Nie zamierzała jednak ustąpić.

- Ale jeśli go odnajdę?

- To jest myślenie życzeniowe! Gdybyś jednak zdołała go uratować i przywrócić do życia... to niemożliwy pomysł! Ale gdyby, to tak, wtedy on zostanie z tobą.

- Jako istota żyjąca?

- Tak. Wszystkie otaczające go cienie śmierci znikną. Nie rozumiem tylko, jak mogłabyś tego dokonać.

- My jej pomożemy - wtrącił pospiesznie Antonio. Sissi, Morten i Juana przyłączyli się do niego z zapałem.

- Dziękuję, ale nie. Wystarczy, że jedno z was narażać będzie życie - powiedział don Federico z wyrzutem. - Ale wy czegoś nie pojmujecie. Jakim sposobem macie zamiar dotrzeć do niego w tej sytuacji?

Unni nie ustępowała.

- No a sam Jordi? Gdyby on nam pomógł?

- Możesz być pewna, że pomoże. On zrobiłby wszystko, żeby tylko wyrwać się z tego obrzydliwego świata i wrócić tu do was, a zwłaszcza do ciebie, wybranki swego serca.

Aż tak romantycznie to dzisiaj chyba już nikt się nie wyraża.

- Czy moglibyśmy jednak spróbować przesunąć sarkofag? - zakończył don Federico.

Ludzie kulili się. Rzucali niespokojne spojrzenia w stronę ciemnego kąta.

Pierwszy otrząsnął się Antonio.

- Tak jest. Musimy skoczyć na głęboką wodę. Gdzie on powinien stać?

Rycerze się ożywili.

- W każdym razie nie między sarkofagami obojga młodych - rzekł don Garcia. - Najpierw zestawmy razem ich trumny!

Łatwo powiedzieć, pomyślała Unni cierpko. Zwłaszcza że żaden z was, rycerzy, nawet palcem nie ruszy, żeby nam pomóc.

Unni była oczywiście niesprawiedliwa. Rycerze po prostu im pomóc nie mogli.

Nagle Unni zdała sobie sprawę z tego, jak w gruncie rzeczy niewiele jest w ich gronie osób, które mogą się zająć przesuwaniem sarkofagów. To Antonio, Morten i Sissi. Wkład Juany, a także jej samej, nie będzie zbyt wielki. „Słyszałeś, jak strasznie dudniło, kiedy przechodziliśmy przez most”? - spytała pchła swojego towarzysza słonia.

Nie, nie, to nie czas ani miejsce na żarty. Tęskniła za Jordim tak, że ból rozsadzał jej piersi, a z oczu znowu pociekły łzy.

Brakowało jej też Miguela. Podeszła do niej Sissi z zapłakaną twarzą i słowami pocieszenia.

- Odnajdziemy ich, Unni! Nigdy się nie poddamy! Unni z zapalem kiwała głową i mocno ścisnęła rękę Sissi.

- Odnajdziemy ich. Obie. Tego możesz być pewna!

Z największym trudem zdołali przesunąć sarkofag infantki Elviry, po czym przeszli do miejsca spoczynku infanta Rodrigueza. Byli już naprawdę zmęczeni, tym bardziej że głód trawił resztki ich sił. Antonio poważnie się martwił o drogę powrotną z gór. Jeśli w ogóle dotrąją do czegoś takiego jak powrót z gór. Pozostało przecież jeszcze największe wyzwanie: odsunięcie od górskiej ściany wielkiego sarkofagu króla.

Rycerze ustalili, gdzie powinien stać. Na szczęście niezbyt daleko od miejsca, w którym się dotychczas znajdował.

Sissi, która nie musiała się już starać, by w obecności Mortena zachowywać się jako istota na wskroś kobieca, znacznie od niego słabsza, stanęła przy jednym końcu kamiennej trumny, Antonio przy drugim. Na szczęście sarkofag miał coś w rodzaju uchwytów. Pozostała trójka bez najmniejszego szacunku odgarniała zamasytymi kopniakami perły i wszelkie klejnoty z podłogi, po czym ustawiła się z tyłu za trumną, by w stosownej chwili ją popychać i - jeśli się uda - przesunąć.

Wszyscy byli bladzi i spięci, Urraca i rycerze także, Unni słyszała odmawiane szeptem modlitwy, widziała składane i rozprostowywane ręce.

- Jesteś gotowa, Sissi? - spytał Antonio cicho.

Dziewczyna kiwnęła głową. Ledwo była w stanie oddychać.

- No to już. Raz, dwa trzy!

Sarkofag na szczęście nie został przytwierdzony ani do podłogi, ani do ściany. Pchnęli go oboje równocześnie i ciężka trumna przesunęła się o jakieś pół metra do przodu. Antonio i Sissi odskoczyli w tył, tak jak ich Urraca upominała. Reszta ukryła się już wcześniej.

Oboje zdążyli jednak zauważyć, że skała za sarkofagiem jest gładka, nienaruszona.

- Dziura została zatkana - powiedział Antonio, starając się, by jego głos brzmiał obojętnie.

Przez grotę przetoczyło się głębokie westchnienie ulgi. Wszyscy podeszli, by zobaczyć to na własne oczy. Z tamtej strony, zza ściany, nie docierał żaden dźwięk.

- Zrezygnowali z tego wyjścia - powiedziała Urraca. - Jordi to zrobił! Udało mu się! - wołał Antonio w zachwycie i oszołomieniu.

Unni nigdy nie widziała, by twarze rycerzy były takie rozpromienione, takie radosne.

- Dziękujemy ci, Jordi, gdziekolwiek jesteś - wyszeptał don Federico wzruszony. - Dziękujemy wam wszystkim, naszym wyjątkowym, ofiarnym młodym przyjaciółom, a także

waszym pomocnikom. Dziękuję, z całego serca dziękuję!

Urraca też się uśmiechała, chociaż z pewnym smutkiem.

Unni spostrzegła, że don Galindo, niemal się zataczając, wyszedł z grotu i podszedł do swojego wierzchowca. Długo stał z twarzą wtuloną w końską grzywę. Mrugała, żeby powstrzymać uparte łzy.

Teraz ich tracimy, pomyślała. Są już wolni. Świadomość tego mąciła jej radość zwycięstwa. Ale cóż, wspólnymi siłami ustawili sarkofag na miejscu.

Nieoczekiwanie, dosłownie z powietrza, pojawił się król Agila w towarzystwie obojga infantów. Nie mogli wprawdzie uściskać swoich wyzwolicieli, ale dziękowali każdemu po kolei. Antonio obiecał, że zostanie im zorganizowany godny pogrzeb, tak by wszyscy mieszkańcy kraju się o nim dowiedzieli, pogrzeb celebrowany przez biskupa.

W następnym momencie, przerażony, pytał sam siebie, czy Agila w ogóle był ochrzczony oraz czy nie powinien był wspomnieć raczej kardynała niż biskupa. Ale to nic. Oni i tak wiedzieli, że ma najlepsze intencje.

Unni patrzyła w oczy obojgu królewskim dzieciom, widziała szczęście rozpromieniające ich szlachetne, arystokratyczne twarze i nie mogła opanować wzruszenia. Zresztą dlaczego miałyby to robić?

Nieustannie dręczyła ją rozpacz i troska o los Jordiego. Starła się akurat w tej chwili o tym nie myśleć, ale nie potrafiła opanować lęku i żalu.

Dygnęła głęboko przed królem Agilą, który powitał ją w staroświecki, rycerski sposób.

Potem wszyscy odpłynęli.

Nadeszła chwila pożegnania. Nastrój był przygnębiający.

Juana źle się czuje, pomyślała Unni. Chyba za chwilę zemdleje. Świetnie ją rozumiem. Sama nigdy nie byłam tak straszliwie zmęczona i głodna, wyczerpana i w ogóle oklapnięta. Ledwo trzymam się na nogach.

Nagle tuż za ścianą, bardzo blisko, usłyszeli ryk. Juana szukała schronienia w ramionach Mortena.

Wszystkich ogarnęło przerażenie. Demony wracały.

Urraca powiedziała lodowatym tonem:

- Zdały sobie sprawę, że wszystkie wyjścia są zamknięte.

- Świetnie - rzekł Morten.

- A co będzie, jeśli na ziemi zostało więcej innych demonów? - martwiła się Sissi.

Urraca myślała chwilę.

- Z całą pewnością zaprzeczyć temu nie mogę, ale nie przypuszczam.
- W takim razie Tabris byłby sam? Tylko on jeden w swoim rodzaju...
- Tak. Jeśli nie zrobi decydującego kroku, by stać się człowiekiem.

Sissi wyglądała na bardzo przejętą.

- Biedny Tabris - westchnęła. - Taki samotny! Natychmiast jednak zdecydowanie uniosła głowę. Teraz jest jeszcze bardziej zdeterminowana, żeby go szukać, pomyślała Unni. On chyba nie potrzebuje jakiegoś strasznie długiego czasu, by pozbyć się tych swoich demonicznych manier. Widzę, że Sissi tak właśnie myśli. Po tamtej stronie horda dotarła do górskiej ściany. Słychać było wycia, ryki, szarpania, kopania i tłuczenie w skałę tak silne, że pod stopami ludzi drżała ziemia.

- Demony nie wydadzą się na zewnątrz - rzekła Urraca spokojnie. - Skoro nie były w stanie przesunąć królewskiego sarkofagu, to tym bardziej nie zdołają rozbić górotworu.

- Ale ich przekleństwa? - spytał Antonio przestraszony. - Czy one do nas nie dotrą?

- Przekleństwa też nie. Demony są teraz wobec ludzi całkowicie bezsilne. Muszą pozostać w swoim własnym świecie i być z tego zadowolone.

Jej słowa brzmiały uspokajająco. Ale jeśli demony pochwyć Jordiego... ? Nie, Unni, nie!

Juana zachwiała się i o mało nie upadła. Natychmiast wszyscy pospieszyli jej z pomocą.

- To nam się nigdy nie uda - powiedział Antonio ponuro. - Nie możemy wyruszyć w długą drogę powrotną bez jedzenia, z nieprzytomnym Tommym, wycieńczoną Juana, w sytuacji, gdy wszyscy już doszliśmy do granicy tego, co człowiek może wytrzymać. Dzwonię do Pedra. Gdzieś nad nami musi być jakaś otwarta równina...

- Helikopter mógłby wylądować tutaj - oznajmiła Sissi zdecydowanie. - Powinien tylko trzymać się z daleka od kamieni.

Wyszli na zewnątrz, by ocenić sytuację.

- To jest możliwe - przyznał Antonio. - Tylko jak wytłumaczymy pilotowi, gdzie jesteśmy?

- To ja biorę na siebie - powiedziała Sissi z tą samą pewnością siebie.

Mój Boże, ileż pożytku mamy z tej dziewczyny, pomyślał Antonio. Co chwila ujawnia jakieś nowe umiejętności. A na samym początku zdawało mi się, że to zwyczajna współczesna panienska, zajęta nie wiadomo czym!

Szkoda, że się zakochała w demonie. Czeka ją wiele smutku i rozczarowań.

Unni stała, zagryzała palce i rozglądała się po smętnym, późnojesiennym krajobrazie.

Dzień był zimny, tu i ówdzie leżał śnieg. Nie mogła się uwolnić od myśli o Jordim, o tym, że wściekłe demony mogą go pochwycić w świecie upiorów.

Pocieszała się tylko słowami Urraki, że to niemożliwe, bo demony są teraz zamknięte.

Wszystkie?

Ale przecież istnieje wiele różnych światów, wiele sfer. Na przykład sfera istot natury. Demonów. Duchów opiekuńczych, aniołów stróżów i temu podobnych, nie mówiąc już o sferze ludzi.

No a przede wszystkim sfera tych, co nie mogą umrzeć.

Samo to określenie sprawiało, że lodowaty dreszcz przenikał ją wzdłuż kręgosłupa.

Nagle Unni doznała okropnego uczucia, że nigdy nie zdoła uciec od tego potwornego, a jednak pięknego, , wybranego przez los, tragicznego i totalnie izolowanego miejsca. Nie wiedziała, jak ktokolwiek mógłby znaleźć do niego drogę w tej płątaninie dolin i wzniesień, górskich szczytów i przełęczy, ani jakim sposobem helikopter potrafiłby znaleźć lądowisko.

Mimo to była absolutnie zdecydowana się stąd wydostać, by móc szukać Jordiego.

Tylko gdzie szukać kogoś, kto nie jest ani żywy, ani umarły?

Nie, Unni była zbyt zmęczona, by się nad tym zastanawiać.

3

W pewnym hotelu w Panes siedzieli Pedro i Gudrun, absolutnie nic nie robiąc. Wszelkie czekanie jest trudne do zniesienia, ale to było jeszcze gorsze niż zwykle. Czas płynął, minęły już dwie doby od chwili, gdy po raz ostatni mieli jakieś wiadomości od grupy, która wyruszyła na wyprawę. Wiele razy chcieli wynająć samolot z pilotem, ale Jordi im odradzał. Odgłos silnika mógłby przeszkadzać i niepokoić, grupa była rozproszona w trudnym terenie, przeciwników zaś wielu, różnego rodzaju i charakteru.

Tak więc minęły dwa dni. Dwa dni bez jakichkolwiek wiadomości, w kompletnej ciszy.

Gudrun krytycznie przyglądała się wewnętrznej stronie swojej ręki, od pachy w dół.

- Wyraźnie widać, że człowiek zaczyna się posuwać w latach - powiedziała. - Po szwedzku nazywają to wiszący szczupak, taką obwisłą skórę ręki. Wymowne, no nie?

Pedro uśmiechał się pocieszająco.

- Wcale przez to nie wyglądasz starzej. I tak jesteś bardzo ładna. Z tym „szczupakiem” czy jak tam, i w ogóle. Zanim mi nie powiedziałaś, wcale nie zwróciłem uwagi.

- No widzisz! Nigdy nie wolno mówić w przyпыlywie fałszywej pokory o swoich niedostatkach. Bo człowiek tylko zwraca uwagę innych na coś, czego nigdy by sami nie dostrzegli, a co zainteresowany rozdmuchuje do rozmiarów katastrofy.

W tej chwili zadzwonił telefon. Pedro odebrał.

- To Antonio - szepnął z przejęciem, nie przerywając rozmowy. Gudrun usiadła tuż przy nim, by słuchać. - Nareszcie! No i co z wami?

- *Mission completed* - odparł Antonio w najlepszym stylu Mortena.

- Nie, co ty mówisz? To wspaniale! I wszyscy mają się dobrze?

- Nie. Straciliśmy Jordiego. Pedro milczał. Nie znajdował słów. Antonio pospieszył dodać:

- Ale on nie umarł. Wytłumaczę ci to później, bo już mi się wyładowuje telefon. A teraz słuchaj bardzo uważnie, musisz nam pomóc, przeżywamy kryzys!

To akurat nic nowego, pomyślał Pedro, ale dokładnie zapisywał wszystko, co mówił Antonio.

Mały helikopter ratunkowy, z sanitariuszem, i przede wszystkim jedzenie! Pedro powinien nawiązać kontakt z różnymi władzami, z policją i jakimiś służbami konserwatorskimi, najlepiej muzealnikami, w każdym razie ludźmi odpowiedzialnymi, którzy

mogliby się zająć skarbem. Potrzebne też będą służby do pozbierania trupów z groty i całej doliny, ale trzeba pamiętać, że tylko jeden helikopter może tu lądować za jednym razem!

Uroczysty pogrzeb dawno zmarłych osób z królewskich rodzin musi poczekać.

Potem Antonio oddał telefon Sissi, żeby określiła Pedrowi ich pozycję.

Dziewczyna sprawiła się profesjonalnie.

- Ale spieszcie się - powiedziała na koniec. - Telefon zaraz się rozładuje, już i tak ledwo co słyhać, nie mogłabym być przewodnikiem dla pilota.

- To tyle - westchnął Pedro, odkładając słuchawkę. - Teraz musimy działać w najwyższym pośpiechu. Gdzie książka telefoniczna?

Ludzie wrócili do groty.

Powitali ich tam rycerze z Urracą.

Dumna czarownica powiedziała:

- Jesteście niebywale skuteczni, ale my tymczasem odbyliśmy naradę. Unni ty masz beznadziejne zadanie odszukania Jordiego. Jego czas upłynie, nim księżyc trzy razy odbędzie swoją wędrówkę. Dlatego postanowiliśmy, co następuje... Czy zechcecie mówić dalej, don Sebastianie?

Przodek Unni uśmiechnął się.

- Czekaliśmy ponad pięćset lat. Czy nie możemy zaczekać jeszcze dwa i pół miesiąca? My, doña Urraca i pięciu rycerzy, postanowiliśmy, że zrobimy wszystko, co tylko można, by ci pomóc szukać.

Unni jęknęła z wdzięczności i zaskoczenia.

- Musisz tylko pamiętać - ostrzegł rycerz. - My nie za wiele możemy.

- Wystarczy sama świadomość, że jesteście. Odczuwaliśmy ból na myśl, że trzeba się będzie z wami rozstać.

- Nam też było przykro - potwierdzili czarni rycerze.

- To będzie jedynie próba podziękowania wam za to wszystko, coście dla nas zrobili - mówił dalej don Sebastian. - Na początek jedna rada, Unni: podążaj jego śladem!

Spojrzała na niego pytająco, widziała ponurą trupią twarz, na której teraz malowała się ulga i poczucie swobody.

- Więcej powiedzieć nie możemy. Będziesz dostrzegać jego ślady, Jordi bowiem jest silny i szlachetny, w najlepszym znaczeniu tego słowa. Więc podążaj tymi śladami!

Unni chciałyby spytać o wiele rzeczy, ale rycerze wyszli z groty wraz z Urracą. Odwrócili się jeszcze w ostatnim, pełnym szacunku pozdrowieniu do trojga królewskich

postaci złożonych w sarkofagach, po czym ruszyli prosto do swoich wierzchowców.

Ludzie podążyli za nimi, niepewni, co teraz będzie.

Urraca odwróciła się do nich z tym swoim jakby surowym uśmiechem:

- Nadszedł czas, byśmy się wycofali. Te wielkie maszyny, które tu przybędą powietrzem, nie należą do naszego świata. Antonio, mój piękny przyjacielu, wracaj zaraz do domu, do czekającej cię żony i maleńkiego synka. Pozdrów od nas swoją kobietę! Uczyniła dla nas wiele ofiar i nasza wdzięczność jest wielka.

Unni pomyślała, że Vesłę interesowało tylko to, by mogła być blisko Antonia, ale szybko zdała sobie sprawę, że to myśl niegodna, i stłumiła ją w sobie. Bo przecież Vesla też wycierpiała swoje dla rycerzy.

Don Federico powiedział:

- Pozdrówcie również mojego potomka, don Pedra de Verfn y Galicia oraz jego przyjaciółkę, Gudrun. Oni też poświęcili wiele.

Don Ramiro dodał:

- A nie zapomnijcie o moim potomku, Elio, i jego z kolei potomkach! Również on udzielił nam wielkiej pomocy.

- Sissi, ty jesteś z mojego rodu - rzekł don Garcia. - Ty, moje dziecko, wybrałaś bardzo trudną drogę. Byłoby najlepiej, gdybyś sobie znalazła jakiegoś młodzieńca, w którego żyłach płynie normalna ludzka krew. Rozumiem jednak, że jesteś oczarowana tym demonem, który stał się dla nas tak wielkim wsparciem, że wprost trudno to pojąć. Spróbuję się tobą opiekować aż do chwili, gdy ostatecznie będziemy mogli odpocząć.

- No a ty, Mortenie - rzekł don Ramiro, uśmiechając się krzywo. - Czas pokaże, czy znajdziesz spokój w ramionach naszej nieocenionej Juany, której my wszyscy wyrażamy najgorętsze podziękowania. Uważam jednak, że teraz jesteś dużo bardziej męski i dojrzały niż w czasach, kiedy zaczynałeś tę pełną gorzkich niespodzianek przygodę.

- Absolutnie się z tym zgadzam - potwierdził don Sebastian cierpko. - Również ty, Unni, masz przed sobą trudną drogę. My ze swej strony możemy jedynie potwierdzić, że będziemy wspierać i ciebie, i Jordiego. Jeśli bowiem ktoś zasługuje na nasz najgłębszy szacunek i wdzięczność, której nigdy nie zdołamy do końca wyrazić, to jest to właśnie on.

- Ale też wszyscy pozostali - zakończył don Galindo. Przestańcie już, nie powtarzajcie już tych pięknych słów, bo zaraz się rozplączę, myślała Unni.

Uff, jakie to straszne! Pożegnania, rozstania... Jordiego nie ma, Sissi nieszczęśliwa, Juana wycieńczona i bliska szaleństwa z głodu. Czy cierpieniom nigdy nie będzie końca?

Młody don Ramiro posadził na koniu przed sobą dońę Urracę, pozostali rycerze

wskoczyli w siodła, skłonili się po raz ostatni i zniknęli.

W dolinie zrobiło się bardzo cicho. Cienka, raz po raz podrywana przez wiatr pokrywa śnieżna jeszcze pogłębiała ciszę. Unni znowu ukradkiem ocierała łzy, zaskoczona, że ciągle jest w stanie je ronić.

- Oni jeszcze przez jakiś czas z nami będą - powiedział Antonio z westchnieniem, jakby sam siebie chciał pocieszać.

- Owszem - bąknął Morten niewyraźnie.

- Jak się czujesz, Juana? - spytał Antonio. - Jeśli jesteście głodne, dziewczyny, to spróbujcie może napić się wody z potoku.

- O rany! - jęknęła Unni. - Gdybym się jeszcze raz napiła wody, to z pewnością chlupotało by mi nie tylko w brzuchu, ale i w głowie.

- Ciii! - syknęła Sissi. - Czy ktoś jeszcze słyszy to, co ja?

Wszyscy wyężyli słuch.

- Tak! - wrzasnął Morten. - Helikopter! Współczesność do nas powróciła!

Tommy został wyniesiony na zewnątrz, chcieli bowiem, by nikt niepowołany nie widział skarbu. Załoga helikoptera to z pewnością uczciwi ludzie, ale nie powstrzymaliby się, by nie opowiedzieć na dole, w mieście, o wspaniałym znalezisku, a wtedy wiadomość rozeszłaby się lotem błyskawicy, pojawiliby się dziennikarze, ciekawscy i jeszcze inni... Takiej sytuacji chcieli uniknąć. Mieli dość kłopotów i bez tego.

Pedro przyleciał pierwszym helikopterem, przywiózł gorący posiłek z hotelowej kuchni. Każdy z uczestników wyprawy dostał swoją porcję, do tego picie, nastąpiła wielka chwila.

Załoga helikoptera natychmiast zabrała nosze z Tommym. Chcieli też wziąć Juanę, ona jednak była taka głodna, że wolała zjeść ten pierwszy posiłek na miejscu razem z innymi.

- Zaraz się tu pojawi więcej helikopterów - oznajmił Pedro.

Musieli mu więc szybko opowiedzieć, co się stało w ciągu ostatnich dwóch dni, kiedy to nie mieli kontaktu. Gdy usłyszał już wszystko, westchnął głęboko.

- To niewiarygodna historia - powiedział. - Ale wiem, że prawdziwa. Byłem przecież z wami niemal *to the bitter end*. Skarb nie stanowi problemu, przyjadą tu przecież rozsądni ludzie. Znacznie trudniej będzie wyjaśnić, skąd tyle tych trupów, tu i niżej w dolinie. Jak im to wytłumaczyć? Zwłaszcza te spalone zwłoki Thorego Andersena.

- A nie możemy powiedzieć, że to samozapłon? - spytał Antonio.

Pedro drapał się w czoło.

- Samozapłon w odniesieniu do człowieka to bardzo niepewne zjawisko. Większość ludzi w ogóle w coś takiego nie wierzy. Tylko co tu wymyśleć w zamian? O Wambie wspominać nie powinniśmy, bo po pierwsze, został całkowicie unicestwiony, a po drugie, po co straszyć ludzi wywoływaniem i tak już nieistniejących duchów? Przypadek Alonza łatwiej wyjaśnić, został po prostu zabity. O zniknięciu Flavii w pułapce lepiej nie wspominać. Nie ma i już, trzeba o niej zapomnieć. Można nie powiedzieć ani słowa o tym, że Jordi i Tabris byli później w dolinie, ani w jaki sposób dotarli tutaj Emma, hrabia i Tommy. No właśnie, Tommy! Jeśli odzyska przytomność, to z pewnością zacznie mówić?

- Nie sądzę. Urraca rozpostarła nad nim zasłonę niepamięci.

- Świetnie. Cóż, ja prosiłem, oczywiście, szefa policji, by zabrał ze sobą rozumnych ludzi, ale nie miałem pojęcia, że jest aż tak źle, jak teraz widzę. A co zrobimy z Jordim?

- Niech to będzie mój problem - rzekła Unni pospiesznie.

- My ci, naturalnie, będziemy pomagać - powiedział Pedro, a reszta też mamrotała jakieś potwierdzenia.

Unni wiedziała, że nie tak znowu wiele mogą dla nich zrobić, mimo to dziękowała z całego serca. Tylko przecież ona miała jakiś kontakt z innymi sferami.

- Sissi - zwrócił się Pedro do młodej Szwedki. - Wszyscy uważamy, że Miguel był niesłychanie miłym, sympatycznym młodym człowiekiem. Ale to naprawdę karkołomne i skazane na niepowodzenie przedsięwzięcie...

Sissi uniosła rękę.

- Nie powtarzaj tego nigdy więcej. Nie jestem w stanie już słuchać, że demon to zawsze demon.

Pedro miał wyrzuty sumienia, bo dokładnie to zamierzał jej powiedzieć.

I był wdzięczny losowi, że akurat w tym momencie przyleciał kolejny helikopter, a nawet dwa. Chociaż ten drugi musiał poczekać z lądowaniem, aż pierwszy odleci. Tym razem miała się z nim zabrać Juana, była bowiem tak zmęczona, że marzyła wyłącznie o łóżku. Och, cóż za rozkoszne marzenie!

Z drugiego helikoptera wysiedli policjanci oraz konserwator zabytków Asturii. Antonio postanowił odesłać Mortena, Sissi oraz Unni, a sam zostać, by złożyć wyjaśnienia. Tamci protestowali dosyć umiarkowanie. Bardzo, bardzo powściągliwie. W Panes czekała Gudrun, by przyjąć najpierw Juanę, a następnie całą resztę. Wydawało się to takie miłe. Cywilizacja. Wygody. Ludzie. Ciepło... A poza tym możliwość snu. Spać, spać!

Konserwator nie wierzył własnym oczom. Miał oto przed sobą Święte Serce Galicji. Złotego Ptaka z Ofir, w którego istnienie nikt nie wierzył. Ogromny klucz z kutego złota do miasta Stantillana del Mar, królewskie korony... nie mówiąc już o rozmaitych klejnotach, perłach i szlachetnych kamieniach, leżących dosłownie wszędzie, o tych wszystkich tiarach, diademach, wysadzanych rubinami krzyżach i w ogóle niewiarygodnych kosztownościach walających się po podłodze.

Odjeżdżający musieli przejść przez upokarzającą kontrolę osobistą przy wsiadaniu do helikoptera. Ich skromne bagaże zostały dokładnie przetrząśnięte. Antonio się na moment przestraszył, czy Morten nie włożył sobie czegoś do kieszeni, zaraz się jednak okazało, że nie, i Antonio musiał się wstydzić.

Wszyscy, rzecz jasna, rozumieli podejrzliwość policji. Zwłaszcza że potem policjanci szczerze przeproszali. Z pewnością imponowała im taka uczciwość pośród aż tylu pokus.

- Dostaną państwo znaleźne - obiecał konserwator. - Nagrodę za to wszystko.

- Dziękujemy - roześmiał się Antonio. - I przyjmujemy z radością, znajdziemy dla niej

zastosowanie.

W końcu helikopter z trojgiem przyjaciół na pokładzie wzniósł się w powietrze. Antonio widział twarz Unni przyciśniętą do szyby, widział, jak z bezgranicznym smutkiem chłonie obraz tej zapomnianej przez Boga i ludzi doliny, po czym został znowu sam wobec próby wyjaśnienia wszystkiego, co się tu stało. Co prawda był z nim Pedro, który przynajmniej część problemów może wziąć na siebie. Ale to było tylko źdźbło, jedyna podpora, jaka mu została.

Antonio rozpaczliwie zapragnął znaleźć się jak najdalej stąd. Daleko od tych patetycznych kamiennych kolosów, które wkrótce znowu pogrążą się w swojej odwiecznej samotności. Daleko od groty, z której właśnie wynoszono Emmę. Mój Boże, jak zdoła zachować równowagę psychiczną? Jak wyjaśni to wszystko, nie wspominając o demonach? O Miguelu jednak będzie musiał powiedzieć. Ale gdzie on się teraz podziewa? Więc jak zdoła to wszystko wytłumaczyć i nie zostać uznanym za wariata?

Nie wiedział też, czy powinien wspomnieć o hrabim, który ma teraz nad sobą spory fragment zawalonego dachu, uznał jednak w końcu, że najlepiej będzie mówić szczerze. Opowiedzieć o wszystkich pułapkach. Poza tym w kieszeniach hrabiego znajdzie się pewnie sporo klejnotów. To będzie dowodem na kryminalną chciwość jego i jego kompanów. Wskaże, kto jest po złej stronie, a kto po dobrej.

Na takie pragnienie zemsty Antonio mógł sobie chyba pozwolić. Bo gdyby nie ci wstrętnei, chciwi poszukiwacze skarbów, wszystko poszłoby dużo łatwiej.

No, może niekoniecznie...

W każdym razie oni nie mieliby na sumieniu tych wszystkich trupów.

Boże, jakże on by chciał znaleźć się daleko stąd! Od tych kamieni pogrążonych w ciszy. Od tego śniegu zapowiadającego nadejście zimy.

Do domu! Do domu, do Vesli i maleńkiego chłopczyka, którego dotychczas nie widział.

Antonio był potwornie zmęczony. Po prostu chciał już mieć to wszystko za sobą.

CZEŚĆ DRUGA
POWITANIE W DOMU

W samochodzie z lotniska Gardermoen do domu, czyli do willi w Lierbakkene, pełen radosnych oczekiwań na spotkanie z rodziną Antonio nagle zeszywniał.

Boże drogi, wysłaliśmy Miguela w świat bez pieniędzy i w ogóle bez czegokolwiek! My wszyscy, jego jedyni przyjaciele, zdradziliśmy jedyne demona na ziemi, zostawiliśmy go własnemu losowi, który nie wiadomo co mu zgotuje. Przecież Miguel nie ma pojęcia, jak się obchodzić z ludźmi w tym pełnym stresujących sytuacji świecie współczesnym. Jak sobie poradzi? W najgorszym razie jego demoniczna natura znowu weźmie górę i Miguel popełni jakieś straszne przestępstwo tylko po to, by zdobyć coś tak podstawowego jak jedzenie.

Boże, Boże, co myśmy zrobili?

Antonio zatrzymał samochód, żeby zadzwonić do Pedra i Gudrun, którzy wciąż przebywali w Hiszpanii. Przedstawił starszemu przyjacielowi swoje zmartwienie.

- Masz rację - powiedział Pedro w zamyśleniu. - Nie będzie mu łatwo, gdy zechce zostać porządnym człowiekiem. Sissi nadal tu jest. Nie chce wyjechać z Hiszpanii, dopóki się nie dowie, gdzie przebywa Miguel.

- Tylko że Sissi, z tego co wiem, nie może się z nim spotkać, dopóki Miguel nie stanie się w pełni człowiekiem... jeśli kiedykolwiek do tego dojdzie.

- Spróbuj jej to wytłumaczyć!

- Tak, ja rozumiem - przyznał Antonio. - Mnie się to wydaje dziwne, że Urraca wysłała go gdzieś, by się doskonalił w człowieczeństwie, zanim znowu będzie się mógł spotkać z Sissi. Biedni ci ludzie, na których on zechce trenować nowe zachowania!

- Moim zdaniem Urraca ukryła go przed innymi demonami, żeby nie zrobiły z niego siekanego kotleta. Ale chyba masz rację, nasza szlachetna czarownica nie przemyślała sprawy do końca.

- Nikt z nas tego nie zrobił. Powinniśmy byli przynajmniej dać mu pieniądze.

- Oczywiście. A nie dostrzeżliście jakichś śladów jego obecności, zanim opuściliście dolinę?

- Nie. Nikt niczego nie widział, chociaż krążyliśmy długo i oglądaliśmy różne doliny w okolicy. Sissi wypatrywała naturalnie jak szalona, ale ona też nic nie widziała.

- Ani ja. Jak myślisz, czy on mógł jeszcze wykorzystać swoje skrzydła?

- Nie - odparł Antonio zamyślony. - Nie, on zdecydowanie nie chciał już więcej występować jako Tabris.

- Antonio, w takim razie my weźmiemy samochód i pojedziemy w stronę Picos de Europa, jak daleko się da. Może gdzieś na niego natrafimy.

- Zróbcie tak, proszę. Bardzo się o niego martwię; Sissi pewnie pojedzie z wami?

- Ja nie wiem, gdzie ona teraz się podziewa, w każdym razie u nas jej nie ma. I Antonio... Jeśli my nie znajdziemy Miguela, to porozum się z Unni! Może uda jej się nawiązać kontakt z Urraca albo przynajmniej z rycerzami. Jest jedyną, która może próbować. Być może oni wiedzą, gdzie znajduje się Miguel?

- Tak zrobię. Tylko że Unni jest kompletnie pochłonięta myślą o Jordim. No ale nic, spróbuję z nią porozmawiać. I Pedro... Gdyby wam się udało go spotkać, to dajcie mu coś tak współczesnego, jak telefon komórkowy! W razie czego będzie mógł się z wami skontaktować. Albo z Sissi. To może wzmocnić jego wolę. Pedro się uśmiechnął.

- Cóż, Miguel zawsze traktował te nowoczesne wynalazki z wielkim sceptycyzmem, ale pomysł jest niezły. No to będziemy w kontakcie.

Nareszcie Antonio mógł pojechać do domu. Napięty niczym struna wyszedł na podjeździe z samochodu.

Jak dawno temu był tu po raz ostatni!

W rzeczywistości to nawet nie tak dawno, ale wydawało mu się, że minęła cała wieczność.

Na schodach ukazała się Vesla i serce podskoczyło mu do gardła. Jakaż ona piękna, jak oślepiająco zgrabna. Najwyraźniej przybrała parę kilo, ale bardzo jej z tym ładnie. Jak bardzo się ona różni od Emmy, która z daleka mogła ją trochę przypominać, też wysoka i blondynka. Ale Vesla promieniała ciepłem, teraz bardziej niż kiedykolwiek.

Jak dobrze wziąć ją w ramiona!

- Strasznie za tobą tęskniłem - wyszeptał, tuląc twarz do jej szyi.

- I ja też, Antonio. Chodź!

Poprowadziła go do wnętrza domu. Dała mu znak, by był cicho, kiedy skradali się do sypialni.

A tam stał niewielki kosz...

Chłopczyk spał. Antonio przełknął kluskę w gardle.

Mój Boże, jakież on maleńki. Głośno tego jednak nie pomyślał. Ma ciemne włoski, jak ja. Ciemne rzęsy. Krótki nosek. Świetnie, bo przynajmniej nie jest podobny do matki Vesli. Nie mogę stwierdzić, do kogo jest podobny, bo leży na boku. Gdybym tylko mógł go podnieść.

- Jakie niewiarygodnie małe rączki... Mogę go dotknąć?

Instynkt opiekuńczy dawał o sobie znać. Jestem za niego odpowiedzialny, myślał Antonio. On jest mój. Mój i Vesli. W końcu spojrzał na nią. Vesla stała sztywna, w oczekiwaniu. Antonio czuł, że twarz rozjaśnia mu serdeczny uśmiech, szeroki i szczęśliwy.

Oplótł żonę ramionami i przytknął oczy.

- Dziękuję ci - wyszeptał. Dotarł do domu.

Morten mieszkał tymczasem razem z nimi, ale pokazywał się rzadko. Vesla powiedziała, że wysyła SMS - y do Juany przez całe dni i noc. Nawet przy stole siedział wpatrzony w mały aparat i bezustannie klikał, rozjaśniał się, gdy otrzymywał odpowiedź, i wciąż pytał Veslę o znaczenie hiszpańskich słów. „Co znaczy madrugada? Czy to nazwa rockowego zespołu?” „Madrugada znaczy brzask” - odpowiadała Vesla cierpliwie. „Dobrze, no a co znaczy...? i tak dalej.

Vesla i Antonio mieli nadzieję, że uczucie do Juany potrwa jakiś czas. Wygodniej jest, kiedy Morten zajmuje się SMS - ami.

Antonio bardzo dokładnie obejrzał swojego małego synka. Chłopczyk dopiero niedawno wrócił do domu ze szpitala, więc Vesla wciąż bardzo się denerwowała przy przewijaniu i w ogóle. Nie tak znowu długo musiał leżeć w inkubatorze, ale był naprawdę maleńki, trudno zaprzeczyć. Rączki i nóżki miał jednak długie, palce i paznokietki pięknie wykształcone, lekarze zapewniali, że wyrośnie na dużego mężczyznę.

- Uff, to przecież głupstwo - mówiła Vesla. - Ja znam kilku chłopców niskiego wzrostu, a żebyś wiedział, jakie mają powodzenie! Są dosłownie otoczeni rojem dziewcząt!

- Oczywiście - zgodził się z nią Antonio i po raz kolejny podziwiał małego. Nie potrafił jednak nazywać synka Jordi. To zbyt bolesne.

Próbował też zaraz po powrocie porozumieć się z Unni, ale nie było jej w domu, a telefon komórkowy wyłączyła.

Gdzież ona się podziewa? myślał przestraszony.

6

Ale nie było powodu do niepokoju. Unni poszła do doktora, żeby się dowiedzieć, czy naprawdę jest w ciąży.

Na tym polu bowiem panował absolutny zastój. Nic zauważalnego się nie działo. A ona tak strasznie chciała mieć dziecko z Jordim, wszystko jedno czy go znajdzie, czy nie.

Nie, tak myśleć nie wolno. Żadnych negatywnych przewidywań, bo można zniszczyć istniejące możliwości. To oczywiste, że Unni musi znaleźć Jordiego!

Wyczytano jej nazwisko i weszła do gabinetu.

Lekarka uśmiechała się do niej.

- To prawda - powiedziała. - Jesteś w ciąży...

- No dobrze, ale dlaczego ja nic nie czuję? - wykrzyknęła. - Coś przecież powinnam już zauważać, minęło kilka miesięcy. A ja wciąż jestem w znakomitej formie.

Lekarka roześmiała się.

- Jakie miesiące? Nie jest tak, jak myślałaś, to bardzo młoda ciąża, najwyżej kilka tygodni. Przypuszczalnie mniej.

Unni milczała. Ta noc nie tak dawno temu w starym kościele?

Dziękuję ci, Jordi, za nią, ale...

- Ale ja przecież tak długo nie miałam miesiączki...

- Czy ostatnio intensywnie się odchudzałaś?

- Nie z własnej woli, ale tak. Bywały długie przerwy między posiłkami. Podczas naszej wyprawy.

- I byłaś dodatkowo narażona na wysiłek psychiczny? Stres?

- Owszem, i jedno, i drugie, ale w takim razie jak mogłam zajść w ciążę?

- Mogłaś mieć owulację. Widocznie cykl się po prostu zaczął normalizować.

- No chyba tak.

Unni starała się rozważyć sprawę dokładnie. To by tłumaczyło jej znakomitą formę.

I z ulgą pomyślała, że to bardzo dobrze. Martwiła się niedawno, że ciąża będzie utrudnieniem w poszukiwaniach Jordiego. A skoro tak się sprawy mają, to zyskuje co najmniej dwa miesiące, te dwa miesiące, które zostały do jego trzydziestych urodzin.

- W takim razie mogę jechać, kiedy tylko zechcę - powiedziała sama do siebie z szerokim uśmiechem.

Lekarka usłyszała jej słowa.

- Nowe obciążenia? - spytała. Unni Ocknęła się.

- Nie, to nie musi być konieczne. Zresztą nie zamierzam narażać dziecka.

Podziękowała i obiecała wrócić wkrótce na kontrolę.

Życie wydawało się jakby trochę jaśniejsze. Ale, rzecz jasna, wcale tak nie było. Jordi zniknął, znajduje się w innym wymiarze, a ona nawet pojęcia nie ma, gdzie miałyby go szukać.

Podążać jego śladem?

W jaki sposób można podążać śladem umarłych, skoro człowiek sam znajduje się w całkiem innym świecie?

Zadzwoił Antonio. Unni otrząsnęła się z ponurych rozmyślań. Dowiedziała się o wielkim zmartwieniu, związanym z Miguelem, Antonio pytał, czy ona nie mogłaby nawiązać kontaktu z rycerzami. A najlepiej z Urracą. Oni powinni chyba wiedzieć, dokąd udał się Miguel.

- O mój Boże, co myśmy zrobili? - przeraziła się Unni. - To prawda, że wtedy w dolinie panował kompletny chaos, wszystko było takie stresujące, ale naprawdę powinniśmy byli mieć więcej rozumu i pomyśleć, co się z nim stanie. Pozostawiliśmy go własnemu losowi, a on jest taki samotny! Jedyne demon na powierzchni ziemi, który pojęcia nie ma o ludzkim życiu.

- No, paru rzeczy się przy nas nauczył. Antonio stał obok koszyka z dzieckiem, mały Jordi zaciskał piąstkę na jego wskazującym palcu. Jest silny, mocno trzyma się życia, myślał Antonio i aż pokraśniał z dumy. W ciągu tych kilku godzin, które spędził w domu, jego uwielbienie dla małego synka wciąż rosło.

- Ale nawiązać kontakt z rycerzami - zastanawiała się Unni rozgoryczona. - Albo z Urracą? Jak miałabym to zrobić? Jak się robi coś takiego? To potrafił Jordi, ale przecież niczego mnie nie nauczył.

- Musisz spróbować - przekonywał Antonio. - To nasza jedyna możliwość.

- Pięknie, nie ma co - mruknęła Unni. - No ale w razie czego mogłabym skorzystać z okazji i zapytać również o los Jordiego!

- No właśnie! To też ważne! - zawołał Antonio, po czym Unni została sama wobec próby nawiązania kontaktu ze światem upiórów, który gdzieś podobno istnieje.

Wiedziała, że ma bardzo dobre stosunki z Urracą, więc to do czarownicy zwróciła prośby o zrozumienie sytuacji Miguela.

Usiadła w pozycji lotosu, wnętrza dłoni zwróciła ku górze tak, jak to widziała u ludzi, którzy mieli zamiar medytować. Nie by kiedykolwiek uważała, że to miałyby być jakaś

szczególnie dobra pozycja, ale skoro może pomóc, to proszę bardzo!

Siedziała długo. Nic się jednak nie działo, żeby nie wiem jak intensywnie wzywała swoich duchowych przyjaciół i żeby nie wiem jak prosiła o radę co do Jordiego i tych jakichś przeklętych śladów, o których mówili.

Eter, czy też pokój, w którym siedziała, był jak martwy.

Z ciężkim westchnieniem dała za wygraną. Musiała przyznać, że nie posiada takich zdolności jak Jordi, jeśli idzie o komunikowanie się z tamtym światem.

Unni uśmiechała się sama do siebie. Odwiedziła już Vesłę i podziwiała maleństwo. Wkrótce będzie jej kolej. I wtedy również jej dziecko powinno mieć ojca. Unni musi znaleźć Jordiego na czas. Żeby tylko wiedziała, jak to zrobić!

Tej nocy miały miejsce nieoczekiwane wydarzenia.

Śnił się jej jakiś głos, który mamrotał niezrozumiale coś jakby: „Weź to!”

We śnie Unni wyciągnęła rękę i zgarnęła ze stolika jakiś niewielki przedmiot. Zdumiona ścisnęła go w dłoni. Miała wrażenie, że go rozpoznaje.

Nagle znalazła się gdzieś na dworze. Wokół było zimno, niebiesko - biała poświata, zadymka śnieżna.

Spoza tumanów śniegu ukazała się ubrana na czarno kobieca postać, która powiedziała: „Nie czuj się odpowiedzialna za Tabrisa. Zapomnij o nim!”

„Ale Jordi! Powiedz coś więcej o Jordim!”

Tajemnicza kobieta - Unni wiedziała, kim ona jest - powiedziała tylko dwa słowa: „Czytaj! Słuchaj”!

Potem zniknęła. Zniknął też chłód. Unni znalazła się w znajomym, ciepłym, domowym otoczeniu.

Kiedy się rano obudziła, poczuła, że trzyma w ręce coś twardego. Ścisnęła to tak kurczowo, że skaleczyła sobie skórę dłoni.

Gryf Vasconii, o którym myśleli, że przepadł razem z pozostałymi czterema.

Następnego dnia roztrząsali ten jej sen, Unni poszła do Vesli i Antonia, był też Morten, mieli telefoniczny kontakt z Pedrem, Gudrun i Juana.

- Czy Urraca naprawdę powiedziała Tabris, a nie Miguel? - pytał Antonio niepewnie.

- Powiedziała Tabris.

- To mi nie brzmi dobrze.

- Rzeczywiście, nie brzmi. Nawiązaliście jakiś kontakt z Sissi?

- Tak. - Telefon przejęła Gudrun. - Sissi chce pojechać do domu, do Skanii, żeby zdobyć więcej pieniędzy, i chce, żeby później przyjechali tu z nią ci jej muskularni przyjaciele, Nisse i Hassę. Oni i tak są bardzo rozczarowani, że skarb został odnaleziony bez ich udziału.

- Czy Gudrun powiedziała jej o naszym niepokoju, to znaczy, że martwimy się o Miguela, który został bez pieniędzy, zupełnie sam?

- Sissi już o tym pomyślała. Właśnie dlatego potrzebuje gotówki.

- Ona zrobi dla niego wszystko - mruknął Morten. - Ale właściwie to bardzo piękne.

- No pewnie, że piękne - przytaknęła Unni. - Czy oni natychmiast będą wracać do Hiszpanii?

- Nic takiego nie powiedziała - odparł Antonio. - Wspominała tylko, że natrafiła na ślad.

- Szczęśliwa - westchnęła Unni. - Chciałabym i ja móc to powiedzieć.

Unni mieszkała teraz w domu swoich rodziców. Niespokojna, niecierpliwa, nigdzie nie mogła zagrzać miejsca, czuła, że czas przecieka jej przez palce, ale wciąż nie wiedziała, gdzie szukać. Dowiedziała się, że to całkiem obojętne, w jakim kraju się znajdzie, w Hiszpanii nie będzie ani o milimetr bliżej Jordiego niż na wzgórzach wokół Drammen.

Nie warto więc nigdzie jeździć. Przynajmniej dopóki nie otrzyma wiadomości.

Ale żadna wiadomość nie nadchodziła. Nie było żadnych nowych snów, nic. Jej dosyć niezdarne medytacje też do niczego nie prowadziły.

W najwyższym stopniu frustrująca sytuacja!

Spokojnie i jakby w rozmarzeniu płatki śniegu osiadały na skale. Miguel obdarzony niezwykle czułym uchem słyszał bardzo dobrze ich delikatny szelest. Wpełzł głębiej pod mocno wystający skalny nawis i próbował rozglądać się po okolicy w ten szarobiały poranek.

Od pożegnania w dolinie zaszedł już daleko.

Teraz nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Zapamiętał tylko niektóre wypowiedzi swoich przyjaciół, co zamierzają robić. On też chciał postępować tak samo. I nawet próbował, ale zablądził w górskim terenie. Śnieżna zadymka, która nadeszła nieoczekiwanie, rozpraszała go, oślepiała, odbierała poczucie kierunku.

Marzył i głodował ponad wszelkie wyobrażenie. To nic zabawnego być człowiekiem. Nie w ten sposób. Sam. Zabłąkany. Bez możliwości zdobycia jedzenia. Tak daleko od Sissi.

Sissi...

Owo ciepłe uczucie w sercu, które go tak nieoczekiwanie zaskakiwało, i to coraz częściej, teraz znowu pojawiło się z wielką siłą.

Oczywiście, był rozdrażniony głodem i zimnem, ale czułość wypływała z głębi duszy. Musi się stać prawdziwym człowiekiem, musi zdobyć Sissi, sprawić, by na zawsze z nim została.

Taka silna, taka dojrzała, taka oszałamiająco piękna!

W oczach Miguela Sissi była najpiękniejszą istotą na świecie.

Co to powiedziała Urraca? Że Miguel w nagrodę za swoje dobre uczynki mógłby stać się człowiekiem, zachowując wszystkie zdolności demona pod warunkiem, że nie będzie z nich korzystał w służbie zła?

Tylko jak dałoby się to zrobić?

Jego umysł funkcjonował marnie, ponieważ to właśnie mózg pierwszy reaguje na brak pożywienia. Próbował myśleć, ale szło mu to opornie.

„Wszystkie zdolności demona.

Coś się tu nie zgadza. Nie wolno mu przecież być Tabrisem. Od obietnicy Urraki, i z jej pomocą, jest Miguelem i tak już pozostanie.

Ale to Tabris umie latać. To on posiada owe fantastyczne skrzydła. To właśnie jedna ze zdolności demona, bardzo sympatyczna, trzeba powiedzieć, więc tę chętnie by zachował. Ale nie jako Miguel. Miguel nie może latać, jeśli się nie przemieni w Tabrisa. Coś z obietnicami Urraki jest nie w porządku.

Teraz jednak znalazło się zastosowanie dla skrzydeł. Bardzo by chciał umieć latać. Miał zbyt zmęczone ciało, by iść dalej.

Z powrotem do doliny byłoby za daleko. A zresztą, co on ma tam do roboty? Nikt już przecież nie pozostał w grocie. Miguel nie opuścił doliny tak, jak go o to prosili. Nie natychmiast. Wszedł do podziemnego korytarza, którym przyszli, i na jakiś czas tam został. Znalazł sobie kryjówkę, z której mógł obserwować wejście do groty. Słyszał i wyczuwał wściekłość demonów. Wstrząsy, kiedy Jordi zamykał otwór w górskiej ścianie. Widział helikoptery, zapamiętał, że tak się właśnie nazywają owe maszyny, które latają w powietrzu, z wirującym urządzeniem na grzbiecie.

Iluż obcych ludzi przyleciało nimi! Ale dlaczego zabrali najpierw kogoś takiego jak Tommy, pozbawionego wszelkiej wartości?

A potem helikoptery odleciały, jeden po drugim, zabierając jego przyjaciół. Unni, która o mało go nie zauważyła z okna. Morten, z którym Miguel nigdy nie nawiązał bliższego kontaktu, być może że Morten trochę się go bał. Odjechała też Sissi. Jego Sissi, której nie będzie mógł ponownie spotkać, dopóki nie wyzbędzie się wszelkich skłonności demona. Juana wyjechała, ale na jej miejsce przyjechał Pedro.

W końcu został tylko Pedro z Antoniem i ci jacyś obcy, nowi ludzie. Gdy odniósł wrażenie, że zacierają w jego kierunku, pospiesznie uciekł.

Zdażył się jeszcze zorientować, że Jordi zniknął po zamknięciu otworu w skale będącego wejściem do świata demonów.

Wielka szkoda. Jordi to taki wspaniały człowiek, choć to on patrzył na Miguela z największym sceptycyzmem, w każdym razie na początku. Później, kiedy już wiedział, kim Miguel jest, zostali przyjaciółmi.

Śnieżna zamieć ustała i zniknęła równie nagle, jak się pojawiła.

Miguel zobaczył nieznamy górski krajobraz. To nie tutaj zamierzał przyjść. Na szczęście teraz mógł przynajmniej orientować się w stronach świata i potrafił określić, dokąd się kierować.

Wstał, zrobił parę kroków i zachwiał się. Jaki jest słaby! Tabris nigdy nie bywał słaby w ten sposób.

Głęboko wciągnął powietrze. Trudno, wóz albo przewóz, musi rozpostrzeć skrzydła!

Ale czy potrafi? Nie przemieniając się przedtem w Tabrisa? Bo to by przecież oznaczało wielki krok wstecz w jego najszczerzych staraniach, by stać się pełnokrwistym człowiekiem.

Tak strasznie potrzebował skrzydeł. Przesiedział tu całą noc, nie zmrużywszy oka,

skulony, jak to miał w zwyczaju, z rękami wokół podciągniętych w górę kolan i z opartą na kolanach głową. Nie miał tylko skrzydeł, którymi mógłby się okryć, dygotał więc z zimna i czuł się dziwnie nagi, wystawiony na wszelkie niebezpieczeństwa.

Powoli zdjął z siebie kurtkę pożyczoną od Antonia. Musi ją trzymać pod pachą, kiedy się wzbije w powietrze. Jeśli oczywiście potrafi to zrobić.

Tshirt miał rozcięcia na skrzydła, więc mógł go nie zdejmować. Drżał i dzwonił zębami w lodowatym wietrze, który ciskał śniegiem w górskie szczeliny. Teraz śniegu było mniej, ale za to wiatr bardziej porywisty.

- No, Urraca, nadeszła chwila próby - mruknął. - Zobaczymy, co zrobiłaś. Zgodnie z twoimi obietnicami Miguel powinien teraz umieć latać! Szczerze powiedziawszy, ja w to nie wierzę. Jeśli kiedykolwiek zmienię się znowu w Tabrisa, to cię rozedrę na kawałki!

Nie, nie myślał tego poważnie. Po części dlatego, że tak się po prostu mówi, niekoniecznie mając mordercze zamiary, ale głównie dlatego, że przecież czarownica już nie żyje od wieluset lat.

Zamknął oczy, zaczerpnął głęboko powietrza i próbował zachować postać Miguela, wypowiadając jednocześnie rytualne zaklęcia, które dotychczas rozwijały jego skrzydła.

Udało się! Skrzydła się rozpostarły!

Miguel początkowo nie miał odwagi patrzeć ani w ogóle badać, czy zmienił się w Tabrisa. Bo gdyby tak było... to wszystkie jego starania okazałyby się nieważne.

Wzbił się po prostu w powietrze z uporem wpatrzony przed siebie, w odległy cel, ku któremu zmierzał.

Czuł się cudownie, mogąc znowu latać!

Sissi nie pojechała do Skanii, nie było to potrzebne. Pedro i Gudrun nawiązali z nią kontakt i obiecali zasilić jej konto sumą, która wystarczy na jej utrzymanie i pomoc Miguelowi, jeśli go odnajdzie. Rozmawiała też telefonicznie z Hassem i Nissem, którzy wprawdzie bardzo chcieli do niej dołączyć, ale nie mieli na to czasu. Nie mogli się zwolnić z pracy, a poza tym, skoro skarb już został znaleziony, cała sprawa przestała być aż taka zabawna, jak myśleli.

Sissi uznała, że chłopcy chyba nigdy poważnie o wyprawie nie myśleli.

Pojechała więc sama na północ Hiszpanii.

Zadzwoiła do Juany.

- Sissi! Jak miło cię znowu słyszeć! Wciąż się zastanawiałam, gdzie się podziewasz! No więc gdzie jesteś?

Sissi westchnęła.

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Gdzieś w górach Asturii. Szukam Miguela, ale to tak jakby szukać igły w stogu siana. No i wiesz, Juano, przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Pomożesz mi?

- Bardzo chętnie. Ale o co chodzi?

- Dużo myślałam o pożegnaniu Miguela w grocie. Unni twierdzi, że on potem jeszcze tam został... blisko nas, twierdzi, że mignął jej gdzieś niedaleko. To dlatego szukam go w górach.

- Ach, tak. No a ten twój pomysł?

- No właśnie... Czy ty pamiętasz, o czym myśmy rozmawiali ostatnio, tuż przed tym, zanim Miguel został odesłany przez Urracę, kiedy zebraliśmy się wszyscy, przed atakiem Jordiego na znak na sarkofagu?

- Nie pamiętam, wtedy było takie zamieszanie. Chaos. - Otóż to! Ja też nie myślałam aż do dzisiejszego dnia, o czym wtedy rozmawialiśmy. Dopiero teraz na to wpadłam.

- No i? .

- Morten mówił na pół z płaczem: Ja tęsknię za domem. Chcę natychmiast wracać. Tak jest, powiedział Antonio. Najlepiej byłoby rzucić to wszystko i wrócić do domu! A Unni dodała: O, jak rozkosznie byłoby móc się znaleźć w domu! No i wtedy, wyobraź sobie, Juano, wtedy Miguel tak dziwnie na nich popatrzył. Z takim rozmarzeniem, tęsknotą, niemal z zazdrością. Jakby się z nimi zgadzał. No i dlatego ja dzisiaj przez cały dzień się zastanawiam,

co on mógłby uważać za swój dom? Albo nie, bo to przecież wiem, a chciałabym wiedzieć, jak on przybył tutaj, na ziemię. Gdzie widzieliśmy go po raz pierwszy? Być może to miejsce należałoby potraktować jako jego dom. Miejsce, do którego on najwyraźniej tęsknił, bo naprawdę tęsknił, widziałam to po jego oczach.

- Chwileczkę - rzekła Juana. - Ty i Miguel spotkaliście się dosyć późno. Gdzieś w wąwozie Hermida. Ale my wszyscy zetknęliśmy się z nim znacznie wcześniej.

- W jakimś domu, prawda?

- Tak. W Santiago de Compostela. Ukazał się na szczycie schodów... - Juana pogрузzyła się we wspomnieniach. To przecież wtedy tak śmiertelnie się w nim zadurzyła. Bo przypominał jej Jordiego, o którym nie mogła nawet marzyć.

No cóż, te różne miłości akurat teraz nie miały najmniejszego znaczenia. Oczarowania. Nie wiedziała do końca, co czuje do Mortena. Czy jest dla niej tylko kolegą, z którym można pójść do łóżka lub wysłać sobie telefoniczne wiadomości? A może czymś więcej?

Otrząsnęła się z zamyślenia, gdy Sissi zapytała:

- Juana, czy mogłabyś mi pokazać ten dom?

- Co? Och, wybacz, zamyśliłam się trochę. Masz na myśli... to znaczy chcesz, bym pojechała do Santiago? Ja? Osobiście?

- No właśnie o to zamierzałam cię prosić. Juana długo zwlekała z odpowiedzią.

- Sissi, za nic nie chciałabym sprawić zawodu przyjacielce, ale ja naprawdę nie mogę znowu porzucać uniwersytetu, muszę pisać moją pracę. Już i tak przekroczyłam wszystkie terminy, poza tym powinnam spisać wszystko, czego się dowiedziałam od rycerzy, zanim to znowu zapomnę.

- Bardzo dobrze cię rozumiem - powiedziała Sissi. - Sama też już nazbyt długo przebywam poza domem. Ale muszę odnaleźć Miguela. Jestem chora z tęsknoty za nim i tak strasznie się o niego martwię.

- To normalne. Wszyscy ci bardzo współczujemy. No właśnie, a słyszałaś, że on powinien mieć telefon komórkowy, żeby się mógł kontaktować z nami niezależnie od tego, gdzie się znajduje?

- Tak, słyszałam - potwierdziła Sissi zadowolona. I zaraz dodała stłumionym głosem: - Tylko jak mamy mu ten telefon, skoro nie wiadomo, gdzie on się podziewa?

- No tak, to najgorsze. Ale może ja ci opiszę ten dom w Santiago? Adresu nie pamiętam, ale przynajmniej wiem, jak trzeba iść, by do niego dotrzeć.

- Super!

Sissi czuła się okropnie. Na nic się zda udawanie silnej i nieustraszonej. Została teraz oto całkiem sama. Grupa uległa rozproszeniu. Kontakt z nimi mogła nawiązać o każdej porze dnia i nocy, zarówno z Gudrun i Pedro w Madrycie, jak i z innymi. Ale tutaj ich nie ma.

Wróciła więc do cywilizacji, odnalazła wynajęty samochód i wzięła pieniądze z konta. O rany, aż tyle jej przysłali! Na koniec kupiła telefon komórkowy dla Miguela i wyruszyła w stronę Santiago de Compostela.

W duszy miała wielką pustkę. Ostatnie miesiące były niezwykle intensywne. Ale co zostało teraz? Najgorsze było oczywiście zniknięcie obu przyjaciół: Jordiego i Miguela.

Bardzo dobrze wiedziała, że nie powinna szukać Miguela. Wprost przeciwnie, miała się trzymać z daleka i czekać, aż on będzie mógł do niej wrócić. Tylko że wypuścili go w świat tak, jak stał, dosłownie z pustymi rękami. Musi więc otrzymać pomoc jak najszybciej, zanim w desperacji nie popełni jakiegoś brzemiennego w skutki przestępstwa. Albo nie umrze z głodu.

Santiago de Compostela. Piękne miasto, duże. Jak trafi do celu, nie mając adresu, nazwy ulicy, nic? Wtedy członkowie grupy przyjechali samochodami, punktem wyjścia była katedra...

Sissi też stamtąd wystartowała. Posuwała się zgodnie z informacjami przekazanymi przez Juanę.

Kilka razy musiała pytać przechodniów, w końcu jednak dotarła do celu. Bo to chyba był ten niezamieszkały dom. Tymczasem dzień dobiegł końca, na miasto spływał mrok, tylko na zachodniej stronie nieba widać było jeszcze złocistą smugę.

Kroki Sissi odbijały się głucho w pustym hallu. Czuła się opuszczona, potwornie samotna.

Brama nie była zamknięta na klucz, podobnie jak poprzednim razem. To dało Sissi nadzieję. Wtedy to Miguel zostawił drzwi otwarte, by „wschodnia grupa” mogła wejść do środka. Bo wtedy miał za zadanie pojmanie tych ludzi dla mnichów.

Teraz był wolny. Z pewnością tu właśnie się znajdował. Wrócił do punktu wyjścia. Do swojego „domu”.

Sissi była o tym przekonana.

Tylko że to przekonanie okazało się błędne.

Chociaż nie, było właściwe, ale miejsce nie to. Miguel chciał do domu. Uważał, że brzmi to bardzo pięknie, kiedy inni mówili o tęsknocie za domem. Więc on też chciał się tam znaleźć. Poza tym może tam uda mu się znaleźć coś do jedzenia? W tej chwili konał z głodu i był bliski desperacji. Zamierzał jedynie wziąć to, z czego korzystał przedtem, po kryjomu, a potem znowu pospiesznie wrócić na górę, to znaczy na ziemię.

Tabris i Zarena wyszli przecież spod ziemi na wymarłych wzniesieniach Galicii. Dobrze wiedział, gdzie to było. Te poszarpane skały, gdzie kaci inkwizycji siedzieli skuleni i czekali na nich. Tam właśnie znajdowało się znajome zejście. Tam się wybierał teraz, gdy Jordi zamknął wejście w grocie Agili.

Wkrótce zacznie zmierzchać. Ale to nic. On widzi również po ciemku.

Doznał ukłucia w sercu. Widzi po ciemku? Czy Miguel też widział? Powinien, zgodnie z obietnicą Urraki.

Strach podpełzał mu do gardła. Nie chciał myśleć, nie chciał wiedzieć.

Ale podświadomość nie dała się oszukać. Był teraz większy niż Miguel.

Nie chciał wiedzieć.

Nie chciał!

Oto te poszarpane skały. Na dole między szczytami! Tam znajdowała się ta rozpadlina wiodąca w głąb. Do Ciemności.

Tak naprawdę to nie chciał się tam znaleźć. Jednak musiał, jeśli chce przeżyć. Potem znowu będzie Miguelem.

Czyżby w takim razie teraz nim nie był? Ze wszystkimi zdolnościami demona? Nawet z tymi złymi.

Chyba nie jest źle, kiedy umie się latać? By ratować życie.

Ale żeby umieć latać, musi być Tabrisem. A to już bardzo niedobrze. Jeszcze gorzej, rzecz jasna, wracać znowu do Ciemności. Tylko że on ma tam jedynie interes do załatwienia, więc to się chyba nie liczy?

Ale... ?

Rozpadlina zniknęła! Została kompletnie zasypana, jakby w ogóle nie istniała.

Miguel szukał jak szalony, coraz bliższy paniki.

W końcu zrezygnował, zatrzymał się z gwałtownym, rozpaczliwym jękiem.

Dotarła do niego prawda. W grocie słyszał, jak ktoś - być może Urraca - powiedział coś o tym, że „zamknięto wszystkie wejścia między... „

Wydał z siebie przeciągły, zdławiony krzyk.

Od jakiegoś czasu zdawał sobie sprawę, że znowu jest Tabrisem. Wiedział o tym już wtedy, kiedy rozpościerał skrzydła, tylko nie chciał tego zaakceptować.

Jordi zamknął wszystkie drogi na dół do Ciemności. On sam zaś unicestwił wszelką możliwość stania się człowiekiem.

Sam jako demon na świecie, który nawet słyszeć nie chce o demonach, który je nienawidzi i chce je zniszczyć.

Wiatr szumiał i szeptał w skalnych szczelinach. Raz po raz przybierał na sile i wtedy grzmiał niczym trąby w dzień Sądu Ostatecznego. Tabris podfrunął do skraju równiny i usiadł na niewielkim wzniesieniu. Położył głowę na kolanach, okrył skrzydłami ciało. Gdyby umiał płakać, to teraz zaniósłby się szlochem.

Sissi, Sissi, wybacz mi! Ja sam nie potrafię sobie wybaczyć!

CZEŚĆ TRZECIA
MADRUGADA

Sissi wiedziała już, że Miguela nie ma w opuszczonym domu. Przeszukała cały budynek, szczerze mówiąc, chodziła po nim z drżeniem, ale unikała zejścia do piwnicy. Za nic nie chciała znaleźć się w katakumbach. Krzyczała tylko, stojąc przy schodach, wołała Miguela po imieniu i echo jej głosu przetaczało się pod sklepieniami. Sissi przenikały od tego lodowate dreszcze, ale innej odpowiedzi nie otrzymała.

W końcu dała sobie spokój. Jego tu nie ma. Zrobił się jednak późny wieczór, a Sissi była bardzo zmęczona. Trudno po nocy znaleźć hotel, mogła więc przenocować w tym domu równie dobrze jak gdziekolwiek indziej. Znalazła starą kanapę, w wytwornym stylu art nouveau, podobnie jak wszystko inne w tym domu i skuliła się na niej do snu. Kanapa stała w hallu, w razie czego będzie więc blisko do drzwi wyjściowych. Gdyby się to okazało konieczne...

Zewsząd dochodziły jakieś trzaski i skrzypienia, a to w ścianach, a to w podłodze. W podziemiach są katakumby, w których jej przyjaciele tak strasznie zabłądzili, prowadzeni zresztą przez jej ukochanego Miguela.

Nie chciała teraz o tym myśleć.

Po chwili zasnęła na niewygodnej kanapie, wciąż mając w pamięci ciepły uśmiech Miguela i błysk w jego oczach.

W nocnej ciszy przez hall przepłynął mroczny cień, zbliżył się do śpiącej Sissi.

Dziewczyna miała jedną dłoń otwartą, zwróconą ku górze. Coś zostało na tej dłoni złożone, a cichy głos wyszeptał: „To moja wina. Nie zasłużyliście sobie na to. Ale wiesz, co powinnaś zrobić”.

I cień odpłynął.

Daleko stąd, w górach Galicji, Tabris zaczynał nowy ranek. Madrugada. Była to na razie raczej zapowiedź poranka, szary brzask spływający na niezamieszkaną, ale oszałamiająco piękny krajobraz. Widok rozciągał się przed nim na wiele kilometrów. I nigdzie domu, nigdzie w rozpraszających się z wolna nocnych ciemnościach nie widział nawet śladu jakiegś drogi.

Ponury nastrój dosłownie przygniatał go do ziemi. Co mu teraz zostało? Utracił możliwość dostępu do Ciemności, utracił ledwo zdobytą ludzką postać, a najgorsze ze wszystkiego jest to, że utracił też możliwość zdobycia Sissi. Przygnębiony podniósł się z

miejsca. Głód rozdzierał mu wnętrzności. Dokąd to wyruszył stąd wtedy, kiedy po raz pierwszy zjawiał się na ziemi?

Do miasta. Do Santiago de Compostela. Był tam wielki dom, do którego właśnie zmierzała część grupy jego późniejszych przyjaciół. Tam ich spotkał. Unni, Jordiego, Pedra, Gudrun i Juanę.

A co by się stało, gdyby i teraz tam się udał?

Było jeszcze na tyle ciemno, że chyba nikt go nie zauważy.

Tam powinien znaleźć coś do jedzenia. Nie w samym domu, ale może go traktować jako miejsce schronienia, a jedzenie zdobyć gdzieś w pobliżu.

W takim razie jednak teraz powinien się spieszyć.

Spokojnie jak tylko można machał skrzydłami i sunął nad ziemią prosto do Santiago de Compostela, tam nie musiał długo szukać, wkrótce odnalazł dom. Wylądował na dachu, schował skrzydła i przez dymnik dostał się do środka. Dosłownie w ostatnim momencie.

Sissi ocknęła się i zdumiona myślała: Jaki dziwny sen mi się przyśnił. Zdawało mi się, że w mojej dłoni znalazł się skądś gryf. I wtedy przyszło mi do głowy następujące zdanie: Teraz mogę sobie czegoś życzyć i to mi się spełni. Życzyłam sobie, bym spotkała Miguela, zanim będzie za późno.

Dziwny sen!

Odwróciła się na drugi bok i znowu pogrążyła w rozkosznej drzemce.

Ale czy naprawdę miała tylko sen? Czy to nie rzeczywistość?

Nie wyobrażaj sobie niczego, Sissi!

Coś twardego wbijało się jej w bok, na którym dopiero co się położyła. Nic dziwnego, taka stara kanapa.

Nie no, nie można tak leżeć. Nastął rano, a ona czuła się lepka, zaniedbana. Może w tym domu jest prysznic?

Sissi usiadła. W hallu było zimno. Prysznic? Ha! Cóż ona sobie myśli? Tu pewnie w ogóle nie ma wody!

Nagle zeszywniała. Gdzieś na górze rozległo się ciche skrzypnięcie.

Czyżby ktoś się skradał po podłodze?

- Kto tam? - Jej głos brzmiał niepewnie i żałośnie.

Milczenie.

Dzienne światło nie bardzo docierało do wnętrza, dom był zresztą ciemny sam w sobie. Meble i dywany miały wyblakłe barwy, w kątach czaiły się cienie. Wydawało się, że na

górze jest odrobinę jaśniej, ale Sissi widziała tylko kawałek balustrady. Stary, wielkopański dom był bardzo pięknie i elegancko urządzone.

Co tam, w takich starych domach zawsze coś skrzypi i trzeszczy, pomyślała, próbując dodać sobie odwagi. Mimo to wciąż siedziała na kanapie, bo nie była w stanie się poruszyć.

Jakiś cień padł na schody w górnej części. Bardzo duży cień!

Serce Sissi załomotało. Zapomniała, że powinna oddychać.

Drzwi? Jak daleko do wyjścia?

W chwili, gdy już miała zerwać się z kanapy i w panice dopaść wyjścia, odezwał się głos. Ostry, niski, ponury.

- Sissi. Ja nie mogę zejść na dół. Nie wolno mi.

- Ale... Miguel? - spytała oszołomiona. - To naprawdę ty?

Głębokie westchnienie.

- Stałem się znowu Tabrisem. Już nie wrócę do postaci człowieka - Miguela.

Sissi podjęła decyzję.

- Ja przyjdę do ciebie na górę.

- Nie! To zbyt niebezpieczne! Pożądałem cię tak strasznie, jestem bliski szaleństwa, na pewno nie potrafiłbym się powstrzymać. Stałem i patrzyłem na ciebie, kiedy spałaś. Muszę wracać, nie chcę wyrządzić ci krzywdy.

- Najpierw jednak porozmawiajmy - powiedziała, starając się, by jej głos brzmiał jak najspokojniej.

- Dobrze. - Zabrzmiało to po prostu beznadziejnie, Sissi poczuła ból w sercu.

- Co się z tobą działo? - spytała. Tabris opowiedział.

- Ale ja nie jestem zły - zakończył bezradnie.

- Wiem - potwierdziła Sissi. - Cholerna Urraca, czy ona nie mogła tego zrobić porządnie? Definitywnie zmienić cię w człowieka? Nie, mój najdroższy, ty nie popełniłeś żadnego błędu przez to, że postanowiłeś latać. Akurat wtedy mogłeś to zrobić i potem znowu zostać Miguelem. To wszystko przez Urracę... - Zamilkła na chwilę. Gdzie ona już słyszała te słowa? Po chwili jednak mówiła dalej: - Moim zdaniem błąd polega na tym, że chciałeś wrócić do Ciemności. Wprawdzie na krótko, ale jednak.

- Ja też tak myślę. To było głupie z mojej strony. Zniszczyłem wszystko, co mogliśmy oboje stworzyć. Kocham cię, Sissi. Tak bardzo cię kocham. Myślałem, że ta miłość należy tylko do tego, co we mnie jest Miguelem. Ale nie, jako Tabris kocham cię tak samo...

- Dobrze o tym wiem - szepnęła z czułością. - Wiedziałam już wtedy, kiedy spływałaś na skrzydłach do starego kościoła w dolinie. I ja też kocham w tobie obu, i Miguela, i Tabrisa.

- Naprawdę? Zrobiło mi się teraz gorąco, od serca aż do żołądka. Niżej też, ale o tym muszę zapomnieć. Sissi, ja nie mam już ochoty być Tabrisem. Chcę na zawsze zmienić się w Miguela. To, co się stało, to katastrofalny krok wstecz.

Sissi zgadzała się z nim, ale nie chciała tego głośno mówić.

- Powiedz mi, dlaczego przyszedłeś tutaj?

- Jestem strasznie głodny. Zamierzałem tu zamieszkać i szukać jedzenia gdzieś w pobliżu. Nocami.

- Rozumiem. - Sissi roześmiała się. - Myślałam, że to moje pragnienie cię tu sprowadziło.

Opowiedziała mu o swoim śnie i o gryfie i śmiali się oboje.

- O mało o czymś nie zapomniałam, Miguelu, mam dla ciebie pieniądze na jedzenie. Od Pedra i Gudrun. No i kupiłam telefon komórkowy. Będziemy mogli utrzymywać ze sobą kontakt, niezależnie od tego, gdzie się znajdujemy. Hej, jesteś tam jeszcze? Tak nagle umilkłeś.

- Po prostu się zamyśliłem. To miło z waszej strony, ale jak ja coś kupię?

- No tak, masz rację, ja myślałam po prostu o Miguelu.

Zgodzili się, że gdy tylko sklepy zostaną otwarte, Sissi zrobi dla niego zakupy na kilka dni. Później próbowali zorganizować jakoś inne sprawy. Sissi położyła telefon komórkowy wysoko na schodach. Och, tak strasznie chciała wejść jeszcze wyżej, zobaczyć go, objąć...

Nie, tego akurat nie wolno!

Potem Sissi wyjęła własny telefon i uczyła Tabrisa, jak ma się posługiwać nowym dla niego urządzeniem. Dzwonili do siebie nawzajem i ćwiczyli się w tego rodzaju rozmowach, ich miłosne wyznania stawały się coraz gorętsze, takie namiętne, że natychmiast trzeba było przestać. W przeciwnym razie bowiem zlekceważyliby dzielące ich schody, by się spotkać i ugasić trawiący ciała erotyczny pożar.

- Sissi, uciekaj i zamknij się w tamtym pokoju! - wysyczał Tabris.

Ona usłyszała jego kroki na schodach, więc posłuchała natychmiast. Dopadła do drzwi bocznego pokoju i zamknęła się od środka. Pokój był niewielki, ale też elegancko urządzony.

Sissi opadła na małą kanapkę i mocno zaciskała uda. Słyszała, że Tabris dobija się do drzwi, tłucze w nie pięściami, kopie, szarpie za klamkę w desperacji, a potem... potem odgłosy świadczyły, że musiał sam ugasić swoją żądzę, wobec tego i ona postąpiła tak samo, bowiem myśl o nim za tymi drzwiami doprowadzała ją do szaleństwa.

Oboje byli świadomi tego, że to drugie mu towarzyszy, i była to myśl wyzwalająca, i pod względem psychicznym, i fizycznym.

Ale to połowiczne wyzwolenie. Chcieli być razem, patrzeć na siebie, czuć nawzajem swoją bliskość i zespolenie...

Sissi przerażona powstrzymała swoje pragnienia.

Pomyślała o Tabrisie, nie o Miguelu.

Uspokajali się z wolna. Zmęczeni. Wyciszeni.

- To powinno zostać naszą tajemnicą, Tabris - powiedziała Sissi cicho, podnosząc się z kanapki.

- Dobrze - odparł niewyraźnie.

Potem próbowała mu wytłumaczyć, jak się ładuje baterie telefonu komórkowego, ale dygotała tak, że dzwoniła zębami.

Tabris wrócił na górę schodów i Sissi mogła opuścić pokój.

Nogi się pod nią uginały, kiedy szła ku drzwiom.

Co ja zrobiłam? myślała wstrząśnięta. Ale to było takie cudowne! Nie jestem już przecież dziewczyną, ale czegoś takiego jak to nigdy nie doświadczyłam.

A w końcu... przecież nic nie było.

To jednak nieprawda. Istniało między nimi takie intensywne porozumienie, ścisły związek mimo dzielących ich drzwi, Sissi wiedziała, że jest bardzo kochana, chociaż nie mogła się do niego przytulić, ich ciała nie mogły się złączyć. Brzmi to może jak paradoks, ale tak po prostu sprawy wyglądały.

Ręka otwierająca drzwi drżała.

Jego tam nie było. Sissi pragnęła poczuć obejmujące ją męskie ramię, pragnęła oprzeć głowę na jego piersi i wiedzieć, że to Miguel, nie Tabris.

Czy naprawdę właśnie tego chciała?

Ostatnie wydarzenie wzbudziło w niej niepewność.

Pokazało jej inną stronę demona, o której przedtem nie chciała nawet słyszeć. Tabris przeniósł na nią swoją ogromną erotyczną siłę, którą być może już do końca życia będzie porównywał z oddziaływaniem innych mężczyzn, nawet z Miguelem. Ta myśl ją przerażała.

Kiedy znowu znalazła się w hallu, wzrok jej padł na coś błyszczącego na kanapie, gdzie spędziła noc.

Zdumiona podeszła bliżej. Co by to mogło być?

Gryf!

Słowa szeptane we śnie: „To moja wina. Nie zasłużyliście sobie na to. Ty wiesz, co należy zrobić”.

- Tabris!

Natychmiast doskoczył do balustrady i zawołał:

- Tak? Coś się stało?

Sissi odwróciła się i uniosła amulet, poczuła nieoczekiwane szczęście, że znowu go widzi, jakby spotkała dobrego przyjaciela, o którym myślała, iż utraciła go bezpowrotnie.

- Chyba mój sen był proroczy.

- Co masz na myśli?

- Znalazłam gryfa. To ten sam gryf Kantabrii, który utraciłam w grocie. Wiesz, Unni też odzyskała swojego gryfa, kiedy był jej potrzebny. Dostała go od Urraki. Dzisiaj w nocy była u mnie Urraca. Powiedziała, że popełniła błąd. I że my sobie na to nie zasłużyliśmy. Uważam, że miała na myśli przede wszystkim ciebie. Bo uznała, że latanie to nie jest niebezpieczna umiejętność, nie pomyślała jednak, że ta umiejętność odnosi się tylko do Tabrisa. Miguel tego nie potrafi. Tak sędzę.

Tabris z trudem oddychał.

- No, nie wiem, Sissi.

- Gryf Kantabrii oznacza postęp - powiedziała z ożywieniem. - Może jednak damy sobie z tym radę? Nie odpowiedział. Po prostu wciąż głośno wciągał powietrze.

- Kładę gryfa na schodach. A ty go weźmiesz i będziesz trzymał w dłoni, dobrze?

- Mogę?

- To jedyna możliwość. Będziesz go trzymał i z całej siły pragnął stać się znowu Miguelem.

- To będzie najszczęśliwsze pragnienie, obiecuję. I Sissi... Dziękuję ci za piękne chwile!

Uśmiechnęła się.

- Będzie jeszcze piękniej. Następnym razem.

- Tak, następnym razem. To też mogę ci obiecać. Cóż, jeśli zdoła stać się człowiekiem, to może... Dotychczas wszystko układało się źle.

Tabris zszedł niżej, by wziąć gryfa, którego Sissi umieściła tak wysoko, jak tylko mogła, nie narażając obojga na niebezpieczeństwo.

Demon pochylił się i zamknął szponiastą dłoń wokół niewielkiego przedmiotu.

W tej samej chwili podskoczył, wrzasnął rozpaczliwie z bólu i odrzucił amulet z powrotem na schody. Sam pospiesznie wrócił na piętro, wpatrując się w rozległą ranę po oparzeniu na rękę.

Sissi mało się nie rozplakała z żalu.

- Ja nie chciałam, Tabris. Nie wiedziałam. Tylko że ty jesteś demonem, więc chyba nie możesz brać do ręki czegoś tak...

Ugryzła się w język. Chciała powiedzieć: „czegoś tak świętego”, ale obawiała się, że

go zrani. On przecież też chciał dobrze.

- Tabris, ja mogę spróbować. Wyrażę życzenie w twoim imieniu.

- Nie ma takiej potrzeby - rzekł męski głos, w którym rozpoznała Miguela.

- Och Urraca, serdeczne dzięki!

- Czy naprawdę nie mogła nic zrobić, żeby nie bolało aż tak? Ale to nic, bo widzisz, rana zniknęła. Najwyraźniej nadal potrafię zablizniać rany.

- Tak, to chyba jest dobry uczynek.

- Sissi, pozdrów twoich przyjaciół, Pedra i Gudrun, podziękuj im serdecznie za wszystko. Ale przede wszystkim złóż jak najgorętsze podziękowania Urrace, jeśli się z nią spotkasz. Była wobec mnie naprawdę łaskawa.

- Bo i ty byłeś łaskawy wobec niej. Uśmiechnął się blado.

- Chyba zaczynam pojmować, jak funkcjonują ludzie. To dość głupi sposób, ale imponujący.

Sissi wsłuchiwała się w jego głos szczęśliwa, że znowu jest to głos Miguela. Zaraz jednak pojawiły się niechciane myśli.

Sissi! Zapomnij o Tabrisie!

Nie mogę. To on kochał mnie, choć byliśmy rozdzieleni drzwiami. To było niezwykle przeżycie. Myślę, że Tabris potrafi kochać goręcej niż Miguel.

Tylko że nie wolno mi o tym myśleć.

Zawołał do niej z góry:

- A teraz spróbuj mi wytłumaczyć, jak się robi zakupy. Co z tymi pieniędzmi i w ogóle...

- Owszem, chętnie. Wkrótce przemienię cię w prawdziwego drobnomieszczanina. Sądzę, że nowe ubranie byłoby nie od rzeczy. Ten twój czarny podkoszulek jest chyba za cienki jak na tę porę roku. I dosyć zniszczony.

- Najpierw jedzenie!

- Dobrze. Teraz się rozstaniemy, Miguelu. Ale będziemy w kontakcie, prawda?

- Niczego się nie bój. Będę do ciebie dzwonił dniem i nocą.

- W porządku - zgodziła się Sissi.

W ten sam wczesny poranek Unni w domu swoich rodziców niedaleko Drammen jadła śniadanie i czytała gazetę. Nie mogła się jednak skoncentrować, nie interesowały jej ani wiadomości, ani skandale, ani nawet komiksy. Myśli krążyły wciąż tym samym torem: W jaki sposób i gdzie znajdę Jordiego?

Medytacja nie pomogła także, Unni nie zamierzała siadać w pentagramie z zapalonych świec ani nic takiego, wydawało jej się to po prostu głupie.

Oczywiście próbowała przywoływać go na wiele bardzo różnych sposobów, ale „linia pozostawała martwa”, tak samo martwa jak jego telefon komórkowy. Docierał do niej tylko obrzydliwy, głuchy szum, który bardziej ją przerażał, niż dodawał odwagi.

Manewrując gazetą, ujęła stojącą na stole filiżankę z herbatą i pociągnęła ostrożny łyk. Herbata była nadal zbyt gorąca, więc zaczęła jeść chleb w oczekiwaniu, aż napój ostygnie.

Unni nie była w stanie pojąć tego, co czytała w gazecie, opuściła ją więc prosto na maselnickę, ale się tym nie przejęła.

Na dworze panowała jesień. Późna jesień.

Minął blisko rok, odkąd ona i Morten spotkali Antonia i zaczęła się cała ta skomplikowana historia. Historia, która właśnie teraz zakończyła się jako sukces i jako straszna katastrofa.

W gazetach widziała już reklamy prezentów gwiazdkowych. Czy wszyscy muszą człowiekowi wciąż uświadamiać, że nadchodzi zima?

Jej myśli błądziły swoimi torami. Zimowe marzenia. Czyż one nie są bardziej intensywne niż marzenia w innych porach roku? Człowiek tęskni mocniej. Za słońcem i latem, rzecz jasna, ale też za czymś niezdefiniowanym, o czym Dan Andersson powiada: „To, co kryje się za górą...”

Ja mam własną wielką tęsknotę. Swoje marzenie, by znowu zobaczyć Jordiego.

Sissi ma swoje marzenie, naturalnie o Miguelu. I on ma swoje - o niej. Antonio i Vesla doczekali się realizacji marzeń, mimo wszystko jednak człowiek potrzebuje jakiegoś niespełnienia, czegoś, za czym by tęsknił. Dlatego właśnie ci, którzy mają wszystko, sprawiają wrażenie takich zmęczonych, tak trudno im w cokolwiek się zaangażować. Bo nie mają już celów do osiągnięcia. Nic do tworzenia, nic do wygrywania, nic, za czym mogliby tęsknić.

O mój Boże, gazeta nasiąknęła masłem, cała tłusta. Ojciec będzie zły. Trzeba kupić

nową. Ale do kiosku i do sklepu za daleko.

Unni podejmowała rozpaczliwe próby przywrócenia gazetce czytelności i właśnie wtedy jej wzrok padł na niewielką notatkę, częściowo rozmazaną w tłustej plamie:

CZY MIMO WSZYSTKO JEST JAKAŚ PRAWDA W MITACH O WAMPIRACH?

Idioci, pomyślała Unni, mimo to czytała dalej:

W najdalej na północny wschód położonej części Mołdowy przez jakiś czas z uporem twierdzono, że niewielka wieś Paukija jest odwiedzana przez wampiry.

W ostatnim roku zniknęło wielu ludzi, odnaleziono zwłoki młodej dziewczyny, a wkrótce potem również zwłoki mężczyzny, w których ciałach prawie nie było krwi.

Niedawno pewien wieśniak odkrył w swoim lesie przerażający widok - zwłoki mężczyzny z osikowym palem wbitym w serce. Zmarły natychmiast zmienił się w proch, ale wieśniak zdążył jeszcze zobaczyć, że to jest były wójt Paukiji, człowiek w latach, który mimo to zachował zdumiewająco dobrą formę fizyczną. Z jego dziąseł sterczały długie kły. Kto go zabił, dotychczas nie wiadomo.

Unni siedziała bez ruchu.

„Podążaj jego śladami. Czytaj i słuchaj!”

W końcu zerwała się z miejsca. Zaczęła działać. Najpierw zatelefonowała do swojego przyjaciela Jerna, komputerowca.

Poprosiła, by odszukał dla niej dwie informacje w Internecie, a odpowiedzi przysłał faksem. Ten aparat przynajmniej umiała obsługiwać.

Jørn obiecał niezwłocznie się za to zabrać. Odłożyła słuchawkę i przemawiała do siebie głośno:

- Mołdowa? Gdzie to może być? To jedno z tych nowych państw. Bogu dzięki, że nie chodzi o Rumunię! Transylwania. Karpaty... To wywołuje złowieszcze asocjacje. Ale Mołdowa? Atlas!

Znalazła atlas, dosyć niedawno wydany. Mołdowa, Mołdowa...

Niech to diabli! Kraj graniczy z Rumunią, a pokryty lasami łańcuch Karpat znajduje się nieprzyjemnie blisko.

Do Transylwanii jednak daleko. Zawsze jakaś pociecha.

Faks zapiszczał i powoli wytoczył się z niego arkusz papieru.

Unni złapała go i czytała na stojąco. Nie miała czasu usiąść.

Pauk znaczy pająk.

Paukija, Pajęcza Wieś, przyjemne, nie ma co!

Drugi arkusz:

Człowiek, który nie może umrzeć, jest, w przeciwieństwie do upiora, „żyjącą” istotą, która właściwie powinna umrzeć lub umarła, ale która jest w stanie utrzymywać się przy życiu dzięki pożywieniu z innych źródeł. To znaczy dzięki jakiemuś rodzajowi pasożytowania na żywych.

Wampiry piją krew ludzką.

Wilkołaki zmieniają skórę, są na przemian to ludźmi, to wilkami i wysysają soki, dzięki którym mogą żyć dalej.

Zombi natomiast, czyli żywe trupy, są utrzymywani przy życiu przez kapłanów voodoo, ale nie mają własnej woli.

Na dodatek do tego istnieje wiele innych wariantów. Niektóre z tych istot żyją dzięki nasieniu zakochanych, ale musi ono zostać specjalnie przygotowane. Inne wykorzystują krew pewnych małych zwierząt, by zachować „życie”, albo czerpią siły z księżyca...

- Bardzo apetyczne - mruknęła Unni. Nie była w stanie dłużej tego czytać. Na samym dole dostrzegła pogardliwy komentarz na temat ludzkich przesądów i że tego rodzaju istoty oczywiście nie istnieją, bo gdzieżby, ale że interesujące było przekonać się, iż przesady pienią się na całym ziemskim globie.

- Co wy wiecie o upiorach - powiedziała, odkładając kartki na bok na wypadek, gdyby później miała ochotę poczytać sobie jeszcze o innych wariantach, choć teraz w to wątpiła.

W końcu usiadła. Miała wrażenie, że wokół niej zrobiło się ciemno. Coś w głębi jej duszy żaliło się boleśnie.

Wykonaliśmy przecież zadanie, skończyliśmy i teraz mogło nam być tak dobrze. „Jeden brat wróci... „ Ta przekłeta przepowiednia! Ale ja się nigdy nie poddam! Gdybym nawet miała go szukać do dziewięćdziesiątego roku życia, to muszę go znaleźć.

Muszę. Istnienie bez niego nie ma dla mnie żadnej wartości. Muszę opowiedzieć mu o dziecku. Jordi ma prawo o nim wiedzieć, ma prawo prowadzić je przez życie. Dziecko nie musi żyć tylko z matką, opowiadającą mu o fantastycznym ojcu, który jednak nigdy swego dziecka nie widział.

Zatelefonował ciekawski Jørn i zapytał, po co jej te wszystkie śmieci? Jacyś ludzie, którzy nie mogą umrzeć? Kto to jest i czy Unni nie ma już dosyć tego rodzaju problemów?

- Nie pytaj, Jørn! Nie pytaj! Zajmij się tymi swoimi komputerami, czy jak je tam nazywasz, i odpowiadaj mi tylko, kiedy będę potrzebować informacji! Tak będzie dla ciebie najbezpieczniej. I naprawdę najzdrowiej.

- O tak, dziękuję, już wiem wszystko, co trzeba. Nigdy nie zapomnę przerażenia w

chwili, kiedy zostałem wessany do straszego świata tych upiornych mnichów. Okay, tylko daj znać w razie potrzeby! Będę siedział przykuty do mojego peceta i pomogę ci zawsze najlepiej jak potrafię!

- Dziękuję, Jørn! Co my byśmy bez ciebie zrobili?

- No właśnie, też się nad tym zastanawiam.

Akurat to jest przesadą, pomyślała Unni. Jørn był jedynie peryferyjnym trybikiem w tej całej przeklętej maszynerii, z którą oni musieli się mocować. Głośno jednak tego nie powiedziała. Każdy musi mieć prawo myśleć, że jest ważny.

Wampiry, wilkołaki, zombi i niezliczona liczba innych wariantów czarujących potworów...

Unni już zdążyła się zainteresować pierwszą z wymienionych kategorii w tym zbiorze paskudztwa. Wampiry.

W zamyśleniu przemawiała sama do siebie:

- Ja, tylko ja jedna na świecie wiem, co unicestwiło tego chciwego wójta.

No i nareszcie wiem, gdzie cię szukać, Jordi!

CZEŚĆ CZWARTA
ŚWIAT TYCH, KTÓRZY NIE MOGĄ
UMRZEĆ

Nienawidzę tego, myślał Jordi, gdy wirując mijał różne warstwy czasu czy też jakieś mroczne sfery. Dokładnie tak jak poprzednim razem spotkał swoją szczególną formę śmierci. Wtedy przecież także nie umarł, a jedynie w jakiś dziwny sposób zdystansował się od istot żyjących.

Tym razem jednak było gorzej.

Inni wiedzieli, dokąd on zmierza. On natomiast nie wiedział.

Jordi zatkał uszy rękami, by nie słyszeć przejmującego wycia, zaciskał z całych sił powieki, by nie widzieć cieni falujących mu przed oczyma, spoglądających nań z nienawiścią w tych ułamkach sekund, kiedy go mijały. Złe oczy, bezbronne, przestraszone, upiorne, podejrzliwe, czające się...

To wszystko przeżywał już poprzednim razem.

- Unni, gdzieś ty się podziała? Co się stało? Słyszałem twój krzyk przerażenia w chwili, kiedy wszystko się zawaliło, a wy po prostu zostaliście ode mnie oddzieleni.

Szalona podróż dobiegła końca. Wszystko się uspokoiło, wokół zaległa śmiertelna cisza. Złowroga cisza.

Wydaje mi się, że zdołałem zapobiec atakowi demonów, pomyślał.

To nie one wyły dopiero co tak przeraźliwie. To były zastępy upiorów w zapomnianym przejściu ze świata żywych do świata umarłych. To coś, czego tylko ja doświadczam, ponieważ zawiązałem sojusz z rycerzami. Inni nie muszą doświadczać śmierci jako czegoś bolesnego. Śmierć jest piękna, wiem o tym.

Ale ja nie mogę umrzeć i opuścić Unni. Ja muszę żyć dalej. Muszę walczyć, przeciwstawić się. Choć nie ma już z czym walczyć. Ostrożnie opuścił ręce i wolno otworzył oczy. Najpierw nie widział nic. Po chwili jednak coś się zaczęło wyłaniać z tej nicości. Coś jakby wysokie, gotyckie sklepienie.

Potem jeszcze jedno, i nieco dalej kolejne. Mroczne, wysmukłe i majestatyczne stały tak bez celu i sensu. Wiele innych sklepień widać było za nimi. Potężne, zwieńczone korytarze, prowadzące gdzieś w dal, rozmazywały się w świetle, szarzały w perspektywie, tym mniejsze, im dalej się znajdowały.

Sklepienia wydawały się dekoracją. Jordi uniósł wzrok i widział ich całe mnóstwo, wznoszących się we wszystkich kierunkach. Łuki o wielkiej artystycznej wartości, czyste stylistycznie, przepiękne, a on stał pośrodku tego wszystkiego. Niczym w katedrze bez ścian.

W świątyni, z której został jedynie ten szkielet sklepień z gotyckich łuków. Przestronnej niczym zamek ze snów. Przekonanie, co to jest takiego, nie przyszło do niego znikąd, z żadnego konkretnego źródła, ale i tak wiedział, że jest słuszne:

Oto pasaż między różnymi sferami, myślał. Ja przychodzę ze sfery ludzi i znalazłem się tutaj, ponieważ musiałem opuścić świat ludzi, ale przecież za nic tego nie chcę.

Chociaż nie sędzę, bym miał tu zbyt wiele do powiedzenia.

Dokąd zmierzam?

Żeby tylko nie do sfery umarłych, Boże, oszczędź mi takiego losu, ja mam dla kogo żyć!

A może to sfera upiorów, dusz pokutujących? Możliwe, ale tam też nie chcę się znaleźć.

Na samym końcu, w jednym z arkadowych korytarzy, który znajdował się dokładnie naprzeciwko niego, zamajaczyła mu jakaś postać, ubrana na biało, w długim płaszczu czy habicie, z kapturem, z rękami wsuniętymi w szerokie rękawy.

Oczekująca. Na niego, na Jordiego właśnie.

To tam miał się udać.

Ja nie chcę, ja muszę wracać do Unni. Ona mnie teraz potrzebuje.

Ale jego stopy ruszyły naprzód. Wkroczył pod świątynne sklepienia i podążał w stronę czekającej postaci. Mijał jeden łuk po drugim. Potrzebował na to mnóstwo czasu, łuki stały w większych odległościach od siebie, niż sądził.

Korytarze z arkadami znikaly jeden za drugim, ale postać przed nim odwróciła się i sunęła dalej przed siebie, prowadząc go w głąb.

W głąb czego? Niczego. Jordi czuł, że stąpa po czymś, ale nie umiałby powiedzieć, po czym. W każdym razie to nie była podłoga. To nic.

W końcu szarobiałe światło przed nim pociemniało. Postać zniknęła. Im szedł dalej, tym wszystko stawało się bardziej szare.

Ciemniejsze.

Ciemniejsze.

Brazowo - czarne. Ziemisto - brunatne...

Jaśniejsze!

Słoneczny promień trafił go w twarz niczym cios. Znowu jestem na górze! Znowu jestem na ziemi! Wróciłem! Dzięki! Dzięki, wszystkie dobre moce, że czas próby dobiegł końca!

Poczuł taką ulgę, że mógłby płakać.

Ale...

Nie było dokładnie tak samo jak przedtem.

Światło wydawało się jakieś fałszywe. Nie takie złociste jak światło słoneczne, lecz zimne niczym biały metal i z niebieskawym połyskiem.

Jordi rozejrzał się wokół. Las. Drzewa wyglądające na czarne w tym zimnym świetle. Dachy domów nieco dalej. Światło i cienie dookoła.

To nie słońce świeciło. To księżyc. Z jakąś intensywną, trudną do zniesienia mocą, tak że można było widzieć wszystko dokładnie jak za dnia.

Można było? Że można było widzieć? Kto mógł?

Jordi spojrzął na dół, na siebie. Nie, wyglądał jak zwykle, miał na sobie to samo ubranie, w którym opuścił grotę.

Żeby w końcu jednak wszystko wyjaśnić, ruszył ku domom w oddali. Niebawem znalazł się na drodze prowadzącej tam właśnie.

Na skraju osady spotkał jakąś starszą parę. Jordi przystanął i uprzejmie zapytał o nazwę miejscowości.

Para jednak nie zareagowała, żadne z dwojga nie próbowało się zatrzymać. Co więcej, oni go nie widzieli, Jordi musiał uskoczyć na skraj drogi, bo szli prosto na niego. Szli sobie, rozmawiając, ale Jordi nie rozumiał ani słowa z tego, co mówili.

Serce zaczęło mu bić głośno. Ogarnął go strach.

- Hallo! - zawołał. Ale starsi państwo się nie odwrócili.

Jordi stał jak rażony piorunem, niczego nie pojmując. Co jest tym ludziom? Są głusi i zarazem ślepi?

A może to z nim coś nie tak?

Usłyszał głosy na najbliższej uliczce i zdecydował się pójść w tamtą stronę. Wtedy poczuł na ramieniu czyjąś dłoń.

Szok sprawił, że o mało nie upadł. Odwrócił się z lękiem.

To owa biała postać, która go przywiodła do tego miejsca. Teraz zobaczył, że to kobieta o ciepłych, smutnych oczach.

Odprowadziła go na bok. Pod drzewa.

- Nie pozwól, by cię zobaczyli!

- Ale przecież oni niczego nie widzą!

- Niektórzy by mogli. Niektórzy potrafią cię zobaczyć, ale ty nie będziesz wiedział, którzy - rzekła łagodnie.

- Więc oni znajdują się w innej sferze? Uśmiechnęła się. Nie była ani młoda, ani stara,

ani piękna, ani nieładna.

- Raczej bym to odwróciła. To są ludzie. A w innej sferze znajdujesz się ty.

- W jakiej?

- Wkrótce się dowiesz. Jordi, mój młody przyjacielu, ty nie jesteś taki jak inni w twoim nowym świecie. Czekaliśmy na kogoś takiego jak ty, ale bardzo niewielu ludzi się tutaj dostaje, a ci, którzy się zjawiają, na ogół nie mają potrzebnych zdolności, nie są perfekcyjnymi stworzeniami.

- Ja też wcale nie jestem perfekcyjny.

- Nikt nie jest, ale ty posiadasz to, czego nam tutaj brak. Troskliwość, zrozumienie, miłość bliźniego. A przy tym dzielność i odwagę, by podejmować się nieprzyjemnych zadań.

Jordiego przeniknął dreszcz.

Tylko nie żadne ścięte głowy, tylko nie to znowu!

- Nie rozumiem - powiedział.

Żywił zaufanie do tej kobiety. Poza tym miejsce było raczej ponure z owymi przemykającymi cieniami, z zimnym nastrojem księżycowej nocy.

- Dlaczego tak wielu przebywa na zewnątrz, dokądś chodzi w środku nocy? - wybuchnął nieoczekiwanie.

- Bo to nie jest noc. To słońce świeci. Tylko dla ciebie ono wygląda jak księżyc.

- Ach, tak. To jakby się chciało nakręcić nocną scenę w filmie, wtedy wystarczy założyć niebieski filtr na obiektyw i w dzień mamy co trzeba?

Kobieta uśmiechnęła się. Widocznie nie pojęła, o co mu chodzi.

- Cóż... no, a co ja tu robię?

- Przyprowaździłam cię tutaj, właśnie tutaj, by cię prosić o wykonane dla nas pewnego zadania dla dobra tych ludzi. W tej miejscowości grasuje pewien stwór z twojej sfery. Trzeba go unieszkodliwić, zanim zło, które sieje, rozprzestrzeni się na większe terytorium.

Wszystko w Jordim protestowało.

- A kiedy będę mógł wrócić do domu?

- Do domu?

- Tak. Do mojej ukochanej Unni i naszego nienarodzonego jeszcze dziecka, do moich przyjaciół.

Kobieta uśmiechnęła się przepaszająco.

- Ty nie możesz stąd wyjść. Nikomu jeszcze się to nie udało.

Jordi zaczynał się irytować. Dowiedział się tak niewiele, w dodatku były to same negatywne rzeczy. Ostatnie słowa przewodniczki poruszyły go tak bardzo, że w ogóle nie

chciał o nich myśleć.

- No dobrze, ale ja w dalszym ciągu nie pojmuję. Ten stwór, o którym mówisz, jest tutaj... Czy on też jest niewidzialny dla mieszkańców osady?

- Nie, on się przebiera w ludzką skórę.

Jordi spoglądał na nią z niedowierzaniem.

- Jak wilkołak?

- Nie. Nie wilkołak.

- Czy zatem ja też bym nie mógł się zachowywać jak człowiek, żeby mnie wszyscy widzieli?

- Nie, ty nie możesz. Ty nie jesteś z tego samego rodzaju co on i powiadam ci, bądź za to wdzięczny! Zapamiętaj sobie jedno, Jordi, tylko ci, którzy poruszają się w świecie, będącym odwróconym obrazem twojego, mogą cię zobaczyć.

- I takich może być tutaj wielu?

- To nie jest wykluczone. Twoje zadanie polega właśnie na tym, byś ich odnalazł. My znamy tylko tego jednego, niedawno się o nim dowiedzieliśmy.

- No to czym on w takim razie jest? Co to za istota?

- To wampir. Ściśle biorąc, rodzaj wampira, bo nie pochodzi z rodzaju tych zwyczajnych. On się nie lęka ani krzyża, ani czosnku, ani dziennego światła. Nie wiemy też, jak został zarażony, ani w jaki sposób zaraża innych. Wielu zniknęło. Dwoje odnaleziono martwych, w ich żyłach prawie nie było krwi, niewiele zostawił, musiał wszystko wyżłopać.

Ja nie mam na to czasu, myślał Jordi zrozpaczony. To po prostu marnotrawienie sił i środków, a tymczasem Unni mnie potrzebuje. Muszę jej szukać, muszę odnaleźć drogę do domu!

Westchnął ciężko.

- Czy mógłbym się w końcu dowiedzieć, w jakiej części świata się znajduję?

- To Mołdowa, dawniej nazywała się Mołdawia. A część kraju, w której teraz jesteśmy, to Besarabia, dawniej należała do Rumunii.

- Aha. Rumunia. Wampiry.

- Wampiry znane są w całej tej części Europy Środkowej. Austro - Węgry, Wojwodina, Bułgaria, Czechy, Morawy, ale centrum znajduje się w Transylwanii, czyli w Rumunii, to prawda. Jednak, jak już mówiłam, to nie jest typowy wampir. Naprawdę nie wiemy, co to jest.

- Ale wiecie, kim on jest? Mieszka tutaj, w tym miasteczku czy osadzie?

- Tylko mieszkańcy to wiedzą. Gzy raczej, ściślej biorąc: oni tego nie wiedzą.

Ustalenie tego będzie częścią twojego zadania. I szukaj ostrożnie: on ciebie widzi!

- Pociuszające, nie ma co! A co mam zrobić, kiedy go już znajde? Jeśli on mnie najpierw nie pozre, oczywiście.

- Próbuć zwykłego sposobu: palik w serce.

- Skoro jednak on nie reaguje na inne zwyczajne sposoby, jak czosnek i tak dalej, to może też nie zareagować na osikowy palik?

- Trzeba się przekonać. W tobie pokładamy naszą ufność, ty obdarzony czystym sercem.

Jordi nie czuł się wcale jak ktoś o czystym sercu.

- Jak się nazywa ta miejscowość?

Ciężkie kłęby mgły przepływały ponad lasem i przesłaniały dachy domów. Jordi poczuł, że przenika go lodowaty dreszcz.

- Paukija - odparła kobieta.

- To brzmi jakoś z rosyjska.

- Mołdowa graniczy z Ukrainą. Wiele miejscowości ma rosyjskie nazwy.

- A Paukija znaczy? Wahala się przez chwilę.

- Pajęcza Wieś. Pająkowo, można powiedzieć inaczej.

- Ale język tutaj używany to chyba rumuński?

- Tak, i wiele miejscowości ma podwójne nazwy.

- Jak ta właśnie?

- Tak.

- No więc jak to brzmi?

- W tutejszym języku miejscowość nosi nazwę Ragnosti.

- Końcówka jest rzeczywiście rumuńska. I co oznaczają?

- Sam powinienes się domyślić, señor.

Jordi zastanawiał się. Hiszpański należy również do języków romańskich, jest spokrewniony z francuskim, włoskim i rumuńskim. Włoskie Ragno - wymawia się Rajno. Hiszpańskie Arana - wymawia się Aranja. Po łacinie - Arachna.

A wszystko razem znaczy pająk.

Ragnosti - Pajęcza Wieś.

Wolno wciągał powietrze przez nos.

- No a potem? Jeśli zdołam złapać go za kark, to czy potem będę mógł się zająć szukaniem Unni?

Kobieta przymknęła oczy zdumiona tym strasznym uporem.

- Najpierw będziesz musiał się zatroszczyć, by dowieść, że nie ma ich tu więcej. A najlepiej znaleźć źródło jego wampirzego stanu, że tak powiem. Skąd się to u niego wzięło. Później czekać będą na ciebie inne zadania. Nawet marzyć nie powinieneś, by się stąd kiedykolwiek wyrwać i wrócić do swojego świata!

- Inne zadania?

- Ta sfera, w której się znalazłeś, mieści wiele zabłąkanych dusz.

Jordi patrzył na nią długo.

- Rycerze powiedzieli, że jestem w ich świecie. Teraz zaczynam pojmować, jak on się nazywa.

Kobieta z powagą pokiwała głową.

- Świat tych, którzy nie zdołali umrzeć, prawda? Cisza była wystarczającą odpowiedzią.

Owo dziwne „nocne życie” osady rozpraszało go.

Ludzie pracowali jak zwykle, dzieci bawiły się lub wracały ze szkoły, sklepy były otwarte. Trudno mu było pojąć, że to naprawdę dzień, i że to tylko on, człowiek nocy, odbiera to wszystko niczym sen w niebywale ostrym blasku księżycowego światła.

Ukrywał się jak tylko mógł. Bo to tutaj znajdował się ktoś, kto mógł go zobaczyć. Jordi bardzo by chciał porozmawiać z ludźmi, wypytać o tych, którzy zniknęli, ale ani nie znał języka, ani nie mógł się zachowywać jak człowiek widzialny. To by tych ludzi śmiertelnie przeraziło.

Ostrożnie zakradł się do pobliskiej gospody. Musiał uważać, żeby się z kimś nie zderzyć, choć nie sądził, żeby to mogło mieć jakieś znaczenie. Jeśli każdy znajduje się we własnej sferze, to się znajduje, do innej nie przenika.

Nagle uświadomił sobie, jak bardzo jest głodny. Zakradł się do kuchni. Gdy karczmarz i jego żona zajęci byli czym innym, pospiesznie sięgnął po nieduży bocheneczek chleba i udko kurczaka. Tyle tu było wszystkiego, że z pewnością nikt nie zauważył braku.

Ale niestety, ręce chwyciły powietrze i pozostały puste. Był tak rozczarowany, że poczuł, jakby kamień przycisnął mu serce.

Doświadczenie jednak nauczyło go dwóch rzeczy: Po pierwsze, że nie może dotknąć niczego, co należy do świata ludzi, a po drugie, że nie musi być taki ostrożny. Nic się nie stanie, jeśli się z kimś zderzy. Domyślał się, że ludzie mogą przechodzić przez niego, jakby był cieniem.

Tymczasem głód dręczył go tak bardzo, że wycofał się z kuchni i wyszedł na podwórze. Tam siedział z twarzą ukrytą w dłoniach, pogrążony w rozpacz.

Musiał się uśmiechnąć sam do siebie, bo przyszło mu do głowy, że bardzo chętnie by się napił piwa. Tu jednak mógł o tym zapomnieć.

I wtedy u jego boku pojawiła się znowu ubrana na białą kobieta, dostrzegł przez palce jej białą szatę i uniósł wzrok.

Kobieta podała mu chleb i różne inne rzeczy do jedzenia. A także dzbanek piwa, jakby czytała w jego myślach.

- Nie wyobrażaj sobie, Jordi, że mógłbyś się wdrzeć do świata ludzi, do ich życia! To jest uprzejmość z naszej strony, bo wiemy, od jak dawna głodujesz. Od tej chwili raz dziennie będziesz dostawał jedzenie. Ja będę ci je stawiać na drodze. Poza tym musisz się obywać bez

niczego, bowiem pożywienie, jakie mógłbyś znaleźć w świecie tych, którzy nie umarli, dla ciebie się nie nadaje. Ja jednak życzę ci jak najlepiej i zadbam o twoje potrzeby.

Po czym znowu zniknęła, a Jordi pospiesznie zabrał się do jedzenia i picia. Był pewien, że nigdy nie jadł nic równie smacznego.

Pełen nowych sił odważył się ponownie wyruszyć na ulice, wmieszać się w tłum przechodniów.

Jednak nie zaszedł za daleko. Uznał, że najlepiej będzie znaleźć sobie jakiś punkt obserwacyjny. Wszedł więc do gospody i wybrał stolik w tak niewygodnym miejscu, że pewnie nikt inny nie chciałby tu siedzieć. Stąd miał widok na cały mroczny lokal i stąd mógł słyszeć rozmowy.

Gorzej, że nie rozumiał języka. Mógł może coś odczytać z gestów, po mimice poznawać, w jakim nastroju są goście, ale niewiele więcej. Do chwili gdy...

Do gospody weszło dwóch mężczyzn. Jeden, jak się okazało, był zagranicznym dziennikarzem, drugi, miejscowy, posługiwał się jako tako niemieckim.

Nie był to wprawdzie język, którym Jordi władał najlepiej, łagodnie mówiąc, ale to i owo rozumiał, zwłaszcza że przybyli usiedli w zasięgu jego słuchu.

Szybko się zorientował, że dziennikarz wypytuje o zaginionych ludzi/Wprawdzie mieszkaniec osady nie wykazywał szczególnej chęci do opowiadania, ale dziennikarz nie ustępował. Jordi był wstrząśnięty, bowiem mówili najwyraźniej o dzieciach lub o nastolatkach, dwóch dziewczynach i chłopcu. Wspominali też o dorosłej kobiecie i o tym, że dwoje innych zostało znalezionych bez oznak życia. Mężczyzna w średnim wieku i młoda kobieta. I to wszystko stało się raczej niedawno. Troje dzieci zaginęło ledwie parę dni temu.

Kiedy obaj mężczyźni zakończyli rozmowę i wyszli z gospody, Jordi ruszył za nimi. Znowu znalazł się na ulicy i stwierdził, że nadchodzi wieczór. Nie żeby poznawał to po świetle, bo dla niego wciąż świecił księżyc i zalewał świat zimną poświatą, ale ludzie zachowywali się tak, jakby dzień mieli za sobą.

Włókł się wolno w górę ulicy, nie bardzo wiedząc, jak się zabrać za tę całą sprawę, kiedy nagle coś sobie przypomniał.

Ktoś na niego patrzył! Wprost! Pytająco. Z zaciekawieniem.

Przed chwilą.

Gdzie?

Powoli przypominał sobie głos dziennikarza, jakby chciał się weń ponownie wsłuchać i może dzięki temu lepiej się skoncentrować... jakaś twarz poza głowami rozmawiających mężczyzn. Na pół pochylona ku podłodze... Szybkie spojrzenie prosto na Jordiego, i znowu

wzrok wbity w podłogę.

Przystanął pośrodku ulicy. Piękne, ciemne domy z okrągłych bali, typowe budownictwo karpackie. Małe sklepiki z rzeźbionymi szyldami. Stacja benzynowa, przykry zgrzyt w tej architekturze. Piękne, nieduże kwietniki. Pojawił się jakiś młody chłopak na nowoczesnym motocyklu, będącym tu nieprzyjemnym anachronizmem. Długo jeszcze było go słyhać na drodze, jak zakłóca panującą tu ciszę. Anteny telewizyjne na pięknych dachach. Przy narożniku jednego z domów urządzono kawiarenkę pod markizami. Trudna droga Europy Wschodniej w dostosowaniu się do skutecznego i demokratycznego społeczeństwa. Nowoczesne dążenia dotarły również tutaj, do tej małej, sennej miejscowości w górach.

Szkoda! Takie miejsca powinny zachować dawny idylliczny styl! Ale to oczywiście utopia, czcze marzenia.

Kim był ten ktoś, kto na niego patrzył?

Dziewczęca twarz pod ciemną grzywką? Chusteczka na głowie.

Bardzo młoda służąca w gospodzie.

Jordi zawrócił i wpadł na kilka pań, które jednak przeszły przezeń, niczego nie zauważywszy.

Trochę smutno stwierdzić, że nie jest się już częścią świata.

W gospodzie zaczynał się wieczorny ruch. Mężczyźni z kuflami piwa w rękach, szum głosów, z którego jednak nic się nie dało zrozumieć. Dziewczyna? Gdzie się podziała?

Nigdzie jej nie widział i już zaczynała go ogarniać panika. Musi ją znaleźć.

W końcu udało się, była na podwórzu, przy pojemnikach na śmieci. Jordi odetchnął z ulgą. Nie mogło być lepiej, tutaj może spokojnie porozmawiać.

Dziewczyna aż podskoczyła na jego widok. Próbowwała uciec, ale złapał ją za ramię. Nareszcie ktoś z tej samej krwi i ciała co on. Ironia losu!

- Ja nie jestem niebezpieczny - szepnął najpierw po norwesku, następnie po hiszpańsku, ale dziewczyna sprawiała wrażenie coraz bardziej przestraszonej.

Uspokajająco podniósł rękę i nieznajoma nareszcie się odrobinę rozluźniła.

- Mówię trochę po angielsku - wyszeptała.

- Świetnie - ucieszył się Jordi. - Gdzie się nauczyłaś?

- Brat. Marynarz.

Jordi wytłumaczył, że życzy jej wyłącznie dobrze, nie ma złych zamiarów, więc nie powinna się niczego obawiać. Przez cały czas zastanawiał się, czy ona może być tą istotą spoza świata żywych, której on szuka. Tą, która uprowadziła wiele osób i zamordowała co najmniej dwoje.

Niemożliwe.

- Kim jesteście, panie? - spytała wciąż przestraszona.

- Jestem przyjazną duszą, która z powodu nieszczęśliwych okoliczności została zmuszona do życia w tej samej sferze co ty. A kim ty jesteś?

Dziewczyna dygnęła nieśmiało.

- Ilona.

- Chodzi mi o to, dlaczego należysz do świata tych, którzy nie mogą umrzeć?

- Nie mogą umrzeć? - wykrztusiła, wytrzeszczając oczy.

- Tak. Tacy jak Nosferatu. Dziewczyna wrzasnęła przerażona.

Uff, nie! Co ja za głupstwa wygaduję? To błąd wyrażać się w ten sposób!

- Jak to się z tobą stało?

Ilona energicznie potrząsała głową. Jordi próbował jej wyjaśnić, że słyszał o kimś, kto uprowadził wiele osób i przynajmniej dwie z nich zamordował, ona jednak uciszała go bliska histerii.

- Czy to prawda, Ilona? Ja będę próbował go unieszkodliwić.

- Nie może pan tego zrobić, mój panie.

- Pewnie nie, ale może mógłbym uratować tych zaginionych... jeśli jeszcze żyją.

Ilona podjęła próbę ucieczki, ale zdążył ją znowu złapać za ramię.

- Ilona, ja tego nie rozumiem. Ja należę do świata upiorów i jestem niewidzialny, ponieważ żyję w innej sferze. Tylko ci, którzy znajdują się w tej samej sferze, mogą mnie widzieć. Ty jednak mnie widzisz, choć sama niewidzialna nie jesteś.

- Nie, ja jestem tylko getter.

- Getter?

Nie była w stanie wyjaśnić znaczenia tego słowa, on nie był w stanie go pojąć.

- Powiedz mi, Ilona: Czy ten zły człowiek jest niewidzialny dla normalnych ludzi?

- Nie.

- A dlaczego nie?

Dziewczyna wyszeptała przerażona:

- On jest ugryziony. I uciekła.

Jordi rozumiał, że nie ma sensu jej gonić.

- Ilona! - zawołał tylko. - Czy możesz mi powiedzieć, gdzie są ci zaginionieni?

Wahała się przez krótki moment. Stała odwrócona od niego plecami, więc nie widział, jak jej oczy się zmieniają. Jak przybierają dziwną, bardzo nieprzyjemną barwę, jak mienia się w licznych niuansach czerni, niebieskiego i zieleni, niczym w połyskliwym kalejdoskopie.

Potem wpadła do sieni i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Jordi został na podwórzu.

Muszę z nią znowu porozmawiać, myślał. Ale jeszcze nie teraz. Później, kiedy będzie szła do domu. Ona chciała mi coś powiedzieć, ale zabrakło jej odwagi.

Ta dziewczyna to mój jedyny ślad...

Jordi spędził noc w szopie, gdzie nikt by go nie szukał. Zresztą gdyby przyszli normalni ludzie, też by się nic nie stało, ale w tej osadzie było przynajmniej dwoje takich, którzy mogli go zobaczyć.

Był potwornie zmęczony, spał więc dobrze, a następnego ranka ubrana na białą kobieta przyniosła mu jedzenie. Przyjął je z wdzięcznością i skorzystał z okazji, by zapytać:

- Powiedziałaś, że powinienem winnego zabić drewnianym kołkiem. Ale jak zdobędę taki kołek, skoro nie mogę wziąć do ręki niczego, co jest ziemskie?

- Pomyśleliśmy o tym - oznajmiła i ze swojego szerokiego rękawa wyjęła zaostrzony kołek. - To należy do twojej sfery. Tym możesz się posługiwać.

Jordi wziął kołek do ręki.

- Jaki wielki i nieprzyjemny przedmiot - mruknął.

- Taki musi być - odparła. - Schowaj go pod koszulę, wsuń za pasek i uważaj, żebyś go za wcześniej nie pokazał wampirowi!

- Więc to jest wampir?

- Jak już mówiłam, pewna odmiana wampira. Nie taki zwyczajny. I nie wiemy, skąd mu się wzięła ta żądza krwi.

- Ilona powiedziała, że został ugryziony.

Jordi musiał opowiedzieć o dziewczynie, która może go widzieć. Jego duch opiekuńczy, jak nazywał ubraną na białą kobietę, bardzo się zainteresował i samą Iloną, i tym, co powiedziała.

- Nie spuszcza z niej oczu! Ale staraj się, żeby ona ciebie nie widziała.

Jordi obiecał, że będzie się starał, i kobieta sobie poszła. Chciał ją przywołać z powrotem, żeby jej powiedzieć, jak bardzo jest samotny, ale już zniknęła.

Zima przybyła również na płaskowyż Mołdowy, przyniosła ze sobą lodowate wiatry, w powietrzu wirował pierwszy śnieg. To jednak Jordiego nie męczyło, zarówno śnieg, jak i wiatr przenikały go, nie czyniąc mu krzywdy.

Jednak fakt, że nadchodzi długa zima, napełniał go smutkiem.

Mój Boże, te wszystkie marzenia, jakie snuł na temat czasu, kiedy już wykonają swoje zadanie i rozwiążą zagadkę rycerzy! Nic z tych marzeń nie wyszło!

Nieszczęścia powinny były się skończyć, a tymczasem on miał się gorzej niż kiedykolwiek przedtem. Wtedy przynajmniej była jeszcze jakaś nadzieja. Co mu zostało

teraz?

Zimowe marzenia. Zimowe marzenia są blade, pozbawione wiary, że sprawy mogą się ułożyć pomyślnie, pozostała tylko bolesna tęsknota.

Jordi musi odnaleźć na powrót swój prawdziwy świat. A więc to, by marzyć, mieć nadzieję, tęsknić, jest konieczne. Jordi rozpaczliwie tęsknił, by zobaczyć radosną, drobną twarz Unni, widzieć blask w jej oczach i słyszeć jej ciepły głos. Przecież ona teraz desperacko go potrzebuje, nie może zostać sama ze wszystkimi zmartwieniami ani z radością z powodu dziecka, którego się spodziewają. On musi to z nią dzielić, musi być przy niej!

No dobrze, w takim razie spróbuje uratować tę osadę przed nieznanym potworem. Może potem będzie mógł... Może oni zechcą...

Jacy oni? Kobieta zawsze mówi „my”, nigdy jednak nie powiedziała, kim są. Skąd przybywa ona, strażniczka bramy na granicy sfer? I ona jest jedyną, która by mu w razie czego mogła pokazać powrotną drogę.

Jordi nie chciał tego przyznać nawet przed sobą, ale w głębi duszy był pewien, że taka droga po prostu nie istnieje.

W ciągu przedpołudnia starał się lepiej poznać miasteczko czy osadę. Właściwie składało się ono z głównej ulicy i niewiele ponadto. Był jeszcze kościół z grekokatolickim krzyżem na wieży, dość duży budynek z mnóstwem rzeźbionych ornamentów, Jordi zakładał, że to ratusz, a poza miasteczkiem znajdowały się żyzne pola z resztkami niezebranego jesienią tytoniu. Za nimi zaczynał się las, pokrywający większą część płaskowyżu Mołdowy.

Schowany przed wszystkimi studiował życie osady. Najwyraźniej był zwyczajny, roboczy dzień, większość ludzi zajmowała się pracą. Niewielu włączyło się po ulicy.

Nagle dostrzegł Ilonę. Gwałtowny impuls kazał mu biec jej na spotkanie. Ale zdołał go opanować, kiedy zdał sobie sprawę, że dziewczyna wyszła ze sklepu i że nie jest sama. Towarzyszył jej jakiś młody mężczyzna i nie ulegało wątpliwości, że Ilona chciała, by z nią szedł, najprawdopodobniej do kolejnego sklepu na zakupy. Młodzieniec spełniał to życzenie chętnie, a kolor jego włosów wskazywał, że musi pochodzić z Ukrainy. Tam widuje się wielu takich jasnowłosych i uważa się ich karnację za dziedzictwo z czasów, kiedy po Wschodniej Europie grasowali wikingowie.

Wkrótce para zniknęła za rogiem. Jordi nie poszedł za nimi, nie chciał, by go ów młody człowiek poznał. Bo jeśli Ilona pochodzi ze świata upiorów, jej towarzysz może być taki sam jak ona.

To pewnie jej ukochany, wszystko na to wskazuje.

Jordi stał i czekał, aż młodzi wyjdą z butik, ale to się przeciągało. W końcu

zrezygnował i ruszył w stronę gospody, czyli do najbardziej obiecującego miejsca, jeśli chodzi o możliwości obserwacji mieszkańców miasteczka.

Ku swojemu wielkiemu zdumieniu stwierdził, że Ilona już tam jest. Pokorna, podporządkowana, zamiatała podłogę i ustawiała krzesła, które goście zostawiali w wielkim nieładzie. Na razie jeszcze nie widziała Jordiego, więc obserwował ją, jak się krzątała i wycierała stoły zniszczoną ścierką. Poza tym trzeba powiedzieć, że była to bardzo ładna i zadbana gospoda. Można tu było spokojnie jadać, nie należało się niczego obawiać. Jordi westchnął smutno, kiedy niesiono tacę z dymiącymi talerzami. Kelnerki, która podawała do stołu, przedtem nie widział.

Nie odważył się dłużej stać przy drzwiach, Ilona i tak była zajęta.

Postanowił natomiast czekać na nią po zamknięciu gospody.

Wybiegła z budynku szybko, ręce schowała w szerokich rękawach płaszcza. Długa kelnerska suknia płatała się jej wokół kostek, kiedy pospiesznie szła ulicą.

Jordi upewnił się, że w pobliżu nie ma nikogo, i dopiero wtedy na nią zawołał:

- Ilona!

Odwróciła się przestraszona.

- Nn - nie - wykrztusiła. Zaraz jednak przystanęła, jakby zrezygnowana. Przez sekundę mógł patrzeć w jej pełne rozpaczycy oczy, po czym wyszeptła:

- *Town hall*.

Zasłoniła usta dłonią, jakby chciała cofnąć wypowiedziane słowa, i uciekła. Ile sił w nogach.

Jordi ponownie się ukrył.

Town hall? Ratusz?

Co ona chciała przez to powiedzieć? Że tam się mają spotkać? Czy że on tam powinien szukać?

Przypuszczalnie to drugie. Strach w jej oczach, jakby nie miała prawa nic mu mówić, jakby miała zakaz mówienia. A poza tym taka dziewczyna jak ona pewnie nie ma wstępu do ratusza.

Wszystko jedno. O tej porze ratusz i tak jest zamknięty.

Jordi powinien porozmawiać z kimś tutejszym.

Może tamten mężczyzna, który zna trochę niemiecki? Ten, który towarzyszył dziennikarzowi.

Nie, nic z tego. Ten człowiek przecież nie będzie go widział.

Uznał, że cała sprawa jest beznadziejna. Nie może z nikim rozmawiać, niczego się

dowiedzieć. Minął kolejny dzień, a on nie zrobił ani kroku naprzód. Większą część tego dnia spędził w lesie, włóczył się po okolicy, ale nie odważył się odejść za daleko. Bał się, że potem nie odnajdzie drogi powrotnej do miasteczka. Jordi nigdy nie lubił lasów. Działy na niego deprymująco, zwłaszcza iglaste. Postanowił więc wrócić do miasteczka i tam czekać. Czekać na Ilonę. Ale z niewielkim rezultatem.

Jeszcze jedną noc musiał spędzić w tej starej, opuszczonej szopie. Skulił się w kącie i miał wrażenie, że jest jedynym człowiekiem w tym swoim nowym, dziwnym świecie.

Choć tego nie chciał, jego myśli same płynęły ku znienawidzonemu lasowi. Przypomniał sobie miejsce, w którym stał i dziwił się czemuś, wietrzył jak zwierzę, przepełniony jakimś trudnym do określenia, nieprzyjemnym uczuciem. Miejsce samo w sobie było niesympatyczne, drzewa iglaste posępnie spuszczały gałęzie. Najdziwniejsze jednak było to, że o ile zwyczajne lasy pocięte są ścieżkami i drózkami, po których zwozi się ścięte drzewa, to tutaj nie zauważył ani jednego szlaku, choć przecież taki las mógł być miejscem licznych wycieczek i spacerów.

Jordiemu się to absolutnie nie podobało i na samo wspomnienie lasu przenikał go dreszcz. Naturalnie bardzo szybko opuścił to miejsce i wrócił do miasteczka, ale przez całą drogę towarzyszył mu jakiś nieuzasadniony lęk, że zabłądzi.

Mocniej objął kolana rękami i próbował zasnąć. Próbował też myśleć o czym innym.

Unni! Czy ty możesz mnie słyszeć? Gdybym cię teraz zawołał, to czy moje wołanie do ciebie dotrze? Ja wciąż podejmuję nowe próby, ale nie wiem, do czego to prowadzi. Muszę rozwiązać problem tej przeklętej osady. Potem jednak będę się starał przejść znowu przez ów labirynt ze sklepieniami. Ubrana na białą kobieta mi pomoże.

Kiedy kobieta przybyła następnego ranka z bardzo przez Jordiego wyczekiwany jedzeniem, zapytał, czy pomoże mu wrócić do świata, kiedy już poradzi sobie z wampirem.

Kobieta wydała mu się niezwykle piękna, kiedy tak stała w jego starej szopie. Istota bez wieku, młoda jak dzień, stara jak świat.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Już ci mówiłam, mój młody przyjacielu, że nie istnieje żadna droga powrotna.

Oczekiwał takiej odpowiedzi, a mimo to poczuł ból w sercu, jakby został przeszyty ostrym nożem.

- Powiedz mi, kim ty jesteś?

Wtedy ona uśmiechnęła się spokojnie, wzięła pusty koszyk i wyszła.

Jordi z drżeniem wciągał powietrze do płuc, próbował znowu skoncentrować się na swoim zadaniu.

Pierwsze, co chciał zrobić, to wizyta w ratuszu.
Jednak jego plany uległy zmianie.

Mieszkańcy osady byli wzburzeni. Wielu wyszło na ulice, wszyscy rozmawiali ze wszystkimi, wykrzykiwali coś jeden przez drugiego.

A on nie rozumiał języka!

Szukał wyjścia, jak zwykle, w etymologii. W wiedzy o pochodzeniu i rozwoju języków, o wspólnych korzeniach słów. Jordi znał hiszpański i zakładał, że tu i ówdzie muszą istnieć podobieństwa między hiszpańskim i rumuńskim.

Nasłuchiwał długo, cały czas ze świadomością, że powinien pozostawać w ukryciu. Na szczęście na placu stał ciężarowy samochód, zaparkowany w strategicznym punkcie, dokładnie naprzeciwko tutejszego miejsca zebrań. Jordi ukrył się za przyczepą i mógł spokojnie słuchać, nie będąc przez nikogo widziany, nawet gdyby ktoś posiadał taką zdolność.

Żeby tylko ciężarówka nie ruszyła przed siebie!

Ale samochód stał spokojnie.

Jordi zauważył, że w wypowiedziach tłumu nieustannie powtarza się jedno imię. Walentin.

Inne słowo, które wciąż się pojawiało, mogło przypominać hiszpańskie wyrażenie określające zniknięcie. Ponieważ społeczeństwo Mołdowy jest konglomeratem różnych ludów, z pewnością musi tu istnieć mnóstwo dialektów, a przynajmniej potężna mieszanina słów rumuńskich i rosyjskich.

Przy odrobinie dobrej woli można było rozróżnić rosyjskie słowo „mnogo”, co oznacza „wiele, wielu” i wtedy można było odczytać, że „wielu zniknęło” oraz powtarzające się często stwierdzenie, że „Walentin zniknął”.

Akurat w tym momencie pojawił się znowu zagraniczny dziennikarz, egzaltowany, żądny sensacji. Wspaniale! Żurnalista bezceremonialnie przepychał się przez tłum i w końcu dotarł do człowieka mówiącego trochę po niemiecku, wobec czego Jordi odważył się wyjść zza ciężarówki.

Nie wyglądało na to, by ktoś zwrócił na niego uwagę.

Dziennikarz spytał, co się dzieje.

Tym razem Jordi swobodniej śledził to, co tamci mówili. Otóż okazało się, że wczorajszego wieczora zniknął pewien młody mężczyzna imieniem Walentin. Obawiano się, że spotkało go to samo, co poprzednio zaginionych.

- To znaczy co? To znaczy co? - dopytywał się dziennikarz i widać było, że ma oczy i uszy otwarte.

Jego rozmówca wiał się i wzdrygał przed mówieniem. Nie, nikt nie wie, co się stało z tamtymi, tylko dwoje odnaleziono, nieżywych, pozbawionych krwi.

- A gdzie zostali znaleźieni? - naprzykrzał się dziennikarz.

Niepewne, powolne gesty.

- Na skraju lasu - odpowiedział mężczyzna, wyraźnie zirytowany wciąż się powtarzającymi, takimi samymi pytaniami.

Cudzoziemiec z przejęciem zapisywał w swoim notesie.

- Powiedz mi, skąd osada wzięła tę dziwną nazwę? Paukija, Pajęcza Wieś. Co to znaczy?

- Nic nie znaczy, to tylko stara baśń z niepamiętnych czasów. Naprawdę nie ma się czym przejmować.

- No a jak brzmi ta baśń?

Mężczyzna z całej siły zaciskał szczęki. Nie pamiętał baśni, nie chciał pamiętać, to zwyczajne głupstwa, nikt już dzisiaj w to nie wierzy, opowieść poszła w zapomnienie.

Dziennikarz nalegał, więc jego lokalny opiekun rozzłościł się i chciał sobie pójść. Ludzie dookoła zaczęli się przysłuchiwać, wielu posyłało mu gniewne, ostrzegawcze spojrzenia.

Żurnalista jednak chciał wiedzieć jeszcze więcej.

- Czy moglibyśmy porozmawiać o tym młodym chłopcu, który zaginął wczorajszego wieczora? Chciałbym wiedzieć, kim był ten Walentin, jeśli łaska!

Teraz tłum nacierał na nich ze wszystkich stron. Wyglądało na to, że naprawdę należy ważyć słowa. Nieszczęsny tłumacz, mieszkaniec osady, pocił się tak, że to było widać.

W końcu wymamrotał:

- Walentin był wysoki, miał jasne włosy, niebieskie oczy. To jego ukochana, Jekaterina, stoi, o tam, i płacze.

Jordi odwrócił się, by spojrzeć na kobietę. Chętnie by porozmawiał z ową Jekaterina, ale jak to zrobić, skoro on dla niej jest z pewnością niewidzialny? A poza tym nie mówią tym samym językiem.

Mężczyźni się rozstali, to znaczy mieszkaniec osady wyrwał się dziennikarzowi i gdzieś poszedł. Jordi na powrót cofnął się do swojej kryjówki, wstrząśnięty, bliski szoku.

Bo Walentin to był ów młodzieniec, z którym wczoraj wieczorem spotkała się Ilona.

To w jego towarzystwie Ilona zniknęła za rogiem. Jordi poszedł obejrzeć to miejsce.

Za budynkami był tylko las.

Ten las przeszukał już poprzednio. Dlatego teraz zdecydował się pójść w inną stronę. Do ratusza.

Niezauważony przez nikogo wszedł do środka, słyszał głosy dochodzące z jakiejś sali i pobiegł na górę po stromych schodach. Na piętrze znajdowała się galeryjka, gdzie mógł się ukryć i spoglądać bezpiecznie na dół, sam nie będąc widziany, jakby przyszło co do czego. To znaczy mógłby się szybko ukryć za balustradą, gdyby ktoś spoglądał w górę.

W sali siedziało pięciu panów pograżonych w ożywionej dyskusji, z której Jordi, rzecz jasna, nie rozumiał ani słowa. Ale to nic, on wolał studiować samo miejsce.

Byli to poważni panowie w średnim wieku, wszyscy nosili te nieznośnie nudne, współczesne ubrania, z przewagą czerni i szarości. Nawet krawaty mieli smutne. Niewygodne garnitury to z pewnością krzyż, jaki muszą dźwigać urzędnicy. Jeden z uczestników dyskusji jakby nie do końca należał do grupy, był znacznie starszy od pozostałych, postawny mężczyzna, nie brał udziału w ogólnej wymianie zdań, od czasu do czasu tylko rzucał jedno czy drugie ostre słowo, ale wtedy wszyscy słuchali go uważnie.

On już odszedł z urzędu, pomyślał Jordi. Ale nie może całkiem porzucić dawnego stanowiska, wciąż musi tu przychodzić.

W tej samej chwili starszy pan jakby się ocknął. Wyprostował plecy, rozejrzał się wokół orlim wzrokiem. Jordi błyskawicznie ukrył się za balustradą. Lepiej uważać!

Po chwili spokojnie wymknął się z ratusza, nie bardzo pojmując, dlaczego Ilona w ogóle wspomniała o tym miejscu. O co mogło jej chodzić?

W jakiś czas potem mężczyźni opuścili budynek i rozeszli się, każdy w swoją stronę. Zamieszanie na ulicy też już ucichło i znowu wszystko było jak dawniej.

I co teraz powinienem zrobić? zastanawiał się Jordi. Zegar na ratuszowej wieży wskazywał dokładnie dwunastą. Czas lunchu. Ludzie rozproszyli się po domach.

Może powinienem znowu wybrać się do gospody?

Nie bardzo miał na to ochotę. Nie chciał, żeby Ilona go zobaczyła, nie chciał się z nią spotykać ani sprawdzać, czy nie była ostatnią osobą, która widziała Walentina.

I oto, kiedy tak stał pełen wahań i wątpliwości, z gospody wyszła Ilona w towarzystwie jakiejś młodej dziewczyny.

Przecucie ścisnęło serce Jordiego, na twarz wypłynęły gorączkowe rumieńce.

„Dawca”. A może „dostawca”?

Ilona nie najlepiej władała angielskim. Szczerze powiedziawszy, bardzo słabo. I stworzyła sobie słowo. Dostawca, powiedziała. Miała na myśli kogoś, kto znajduje i przynosi

rzeczy.

Ilona spełnia taką rolę. Ona jest dostawcą, sama tak o sobie myśli.

Nie mogła go zobaczyć tam, gdzie stał. On zaś nie spuszczał idących z oczu, widział, że skręciły za róg tego samego domu, gdzie wczoraj Ilona prowadziła Walentina. Teraz ulica była pusta, ludzie poszli do domu coś zjeść. Świetna okazja, by niezauważenie kogoś wyprowadzić do lasu.

Tym razem Jordi już tak bardzo się nie pilnował. Szedł za dziewczynami, przemykał pod ścianami domów, a kiedy domy się skończyły i dziewczęta weszły do lasu, biegł od drzewa do drzewa.

Ilona raz po raz się oglądała i w którymś momencie mało brakowało, a byłaby go zauważyła. Chyba coś przeczuwała, bo zatrzymała się i chwilę czekała niepewnie. Potem jednak pociągnęła swoją towarzyszkę za rękę i poszły dalej.

Ta druga podążała za Iloną z wielką ufnością. Rozmawiały, ale Jordi nic nie słyszał, a jeśli nawet jakieś słowa do niego docierały, to i tak ich nie rozumiał.

Tym, że młodsza z dziewcząt też się oglądała, nie zaprzętał sobie głowy. Ona i tak nie mogła go widzieć. Niebezpieczna jest tylko Ilona.

A zresztą, niebezpieczna? Gdyby go dostrzegła, to sama by się przeraziła śmiertelnie, jest przecież taka młoda i naiwna.

Uff! Jak on nienawidził tego lasu! Był obrzydliwy z tymi zwieszającymi się z gałęzi mchami czy jakimiś porostami, z tym posępnym mrokiem pod drzewami.

Kiedy weszli w typowy karpacki las pełen krępych, rosnących w kępach sosen z trawiastymi polanami pomiędzy drzewami, doznał uczucia ulgi.

W pewnej chwili podskoczył i ukrył się za drzewem. Za najbliższą kępą sosen stał jakiś mężczyzna, Jordi widział tylko jego nogi. Usłyszał, że Ilona powiedziała coś do swojej towarzyszki, po czym dziewczęta się pożegnały. Ilona pobiegła z powrotem do osady i Jordi musiał się bardzo skulić, żeby go nie zauważyła.

Teraz zdał sobie sprawę, że ten typ lasu wcale nie jest dla niego taki łaskawy, że będzie tu miał problemy z ukryciem się. Kiedy więc znowu znaleźli się pośród takich samych, chorobliwie obrzydliwych, drzew jak przedtem, dziękował losowi.

Mężczyzna ujął dziewczynę za rękę i prowadził ją dalej w głąb wilgotnego mroku. Jordi podążał za nimi, chociaż trzymał się w bezpiecznej odległości, bo to wszystko bardzo mu się nie podobało. Był pewien, że starszy mężczyzna nie ma czystych zamiarów.

Pojawiły się przerażające wspomnienia z dzieciństwa. Leon, ojczym, który twardą ręką chwycił go za kark i ciągnął do szopy, gdzie go wieszał i przypalał mu ręce papierosem

za karę, że zdenerwowane dziecko upuściło na podłogę talerz i potłukło.

Ten mężczyzna tutaj przypominał Leona po sposobie, w jaki prowadził za sobą dziewczynę w głąb lasu.

Głąb lasu? Z lodowatym dreszczem na plecach zauważył, że zmierzają w gęstwinę pozbawioną ścieżek, której na ogół i ludzie, i zwierzęta unikają.

Znowu pojawił się ów przygnębiający, podstępny, niemal lepki nastrój z poprzedniego wieczora, kiedy stanął tutaj i bardzo nie chciał iść dalej, chyba podobnie jak wielu przed nim. Ale mężczyzna wiódł dziewczynę dalej. Ona nie stawiała oporu, wyglądało jednak na to, że idzie za nim raczej z szacunku dla starszego człowieka niż dla przyjemności. Szczerze mówiąc, jej sztywna, przypominająca lalkę postawa, świadczyła o niechęci, choć najwyraźniej nic zrobić nie mogła.

W mgnieniu oka Jordi zobaczył twarz mężczyzny pod zwisającymi z drzew mchami. Tamten zwracał się do dziewczyny i stanął bokiem do Jordiego tak, że ukazał się nie tylko jego profil.

Jordi nie był zaskoczony. Prawie tego oczekiwał. Miał oto przed sobą owego starszego mężczyznę z ratusza. Tego o orlim spojrzeniu.

Jordi stał cichutko jak mysz. Byli teraz w środku upiornego lasu i para zatrzymała się.

Mogła to być najzupełniej niewinna sytuacja. Jedyne, co Jordi potrzebował uczynić, by uzyskać odpowiedź, to wyjść ze swojej kryjówki. Jeśli mężczyzna go nie dostrzeże, to Jordi nie powinien się mieszać w całą sprawę. Co prawda ów burmistrz mógł być zwyczajną starą świnia, a takim należało się przeciwstawiać, żywym czy umarłym.

Ale Jordi zwlekał z ujawnieniem się. Wolał najpierw poobserwować rozwój wypadków. Czuł się wprawdzie jak podglądacz, ale trudno.

Postawny straszny pan położył ręce na ramionach dziewczyny i pochylił się nad nią. Otworzył paszczę, tak, bo tak to teraz wyglądało.

Jordi działał instynktownie i prawdopodobnie głupio, ale najważniejsze było dla niego teraz uratowanie dziewczyny. Uratowanie przed czym? Nie bardzo wiedział, ale jej sytuacja wyglądała upiornie.

Nic nie mówiąc, bez żadnych okrzyków, wkroczył na polankę pośród drzew. Mężczyzna natychmiast zwrócił się do niego z najdziwniejszym na świecie wzrokiem, w którym mieniły się czarne, niebieskie i zielonkawe błyski, wydał z siebie ryk wściekłości i rzucił się na natręta, który odważył się mu przeszkadzać.

Czy wampiry potrafią skakać? Nie, zwyczajne wampiry nie, ale przecież ten jest wyjątkowy, pomyślał Jordi.

Jeszcze jeden gwałtowny skok, tym razem jednak Jordi był przygotowany. Mężczyzna rzucił się na niego całym swoim ciężarem, to był ktoś z tej samej sfery, nie można zaprzeczyć. Jordi widział lśniące kły, w ostatniej chwili zdążył odwrócić twarz i zdołał rzucić przeciwnika na ziemię, po czym błyskawicznie wbił palik w serce potwora.

Rozszedł się taki okropny smród, że Jordi zaniósł się kaszlem. Przecież ten człowiek już dawno nie żyje, pomyślał, patrząc, jak tamten wiotczeje i nieruchomieje na ziemi.

Walka była skończona.

Jordi chciał pomóc dziewczynie. Zastanawiał się, jakby to wyglądało, gdyby wrócił do osady z dziewczyną w objęciach. Płynące w powietrzu, omdlałe ciało mogłoby śmiertelnie wystraszyć ludzi.

Dziewczyna leżała na trawie w stanie jakby hipnotycznego snu, może po to, by nie mogła się bronić? Wsunął ręce pod jej plecy i starał się ją podnieść, ale okazało się, że chwytła powietrze. Ona nie należała do jego świata.

I co teraz robić? Nie mógł pozwolić, by dziewczyna ocknęła się w pobliżu martwego monstrum. Tak źle jej nie życzył, zwłaszcza że akurat ona w całej tej potwornej historii była absolutnie niewinna.

Choć więc zbierało mu się na wymioty, musiał ująć zwłoki i odciągnąć je na bok, w głąb lasu.

Kiedy już znalazł miejsce, w którym zwłoki będą niewidoczne, usłyszał jakieś hałasy. Jordi zrobił się sztywny z jakiegoś niewytłumaczalnego strachu. Dźwięki były obrzydliwe, jakieś szepty, szurania, które sprawiły, że nie oglądając się za siebie, pomknął w stronę osady. Nic już nie mógł zrobić, by pomóc dziewczynie, ale też hałasy nie dochodziły z miejsca, w którym leżała. Zdażył zresztą zobaczyć, że dziewczyna wstała zdumiona i powoli powłokła się w stronę domu. Zatrzymał się więc, by sprawdzić, czy tam dotrze.

Kiedy znalazła się koło pierwszych zabudowań, zostawił ją własnemu losowi. On sam wrócił do swojej szopy i usiadł bardzo wyczerpany. To nie fizyczny wysiłek go tak zmęczył, ale przeżycia tak straszne, że wywoływały ból brzucha.

Jordi został w osadzie kilka dni. Miał tu jeszcze sprawy do załatwienia, poza tym chciał się dowiedzieć czegoś więcej o tym starszym mężczyźnie, którego właśnie odnaleziono.

Wiadomości uzyskał poprzez dziennikarza, który napisał artykuł do swojej gazety. Jordi bardzo się ucieszył, że artykuł jest po angielsku, i zrozumiał, że niemieckiego dziennikarz używał z konieczności, bo tylko niemiecki ktoś tutaj znał. Przeczytał artykuł ukradkiem, pod nieobecność dziennikarza.

Ów groteskowy wampir był tutejszym burmistrzem, ale już dawno nie pełnił swojej funkcji, tak zresztą jak Jordi przypuszczał. Nie było w starszym panu nic szczególnego z wyjątkiem takiej okoliczności, że przed paroma miesiącami zabłądził w lesie i szukano go

przez dwa czy trzy dni. Kiedy wrócił, był jakby odmieniony, a w jego oczach od czasu do czasu pojawiały się dziwne błyski. I chodził też inaczej niż przedtem, sztywno, jak upiór. Wkrótce po jego powrocie do domu zaczęły się te tajemnicze zniknięcia. W bardzo krótkim czasie przepadło siedem osób, z których tylko dwie odnaleziono. Obie martwe.

O młodej dziewczynie, którą Jordi uratował, dziennikarz nie wspominał. Najwyraźniej nie pamiętała, co się z nią działo.

Parokrotnie widywał Ilonę, ale nie chciał konfrontacji, nie wiedział, co mógłby jej powiedzieć. Wyglądała na jeszcze bardziej dezorientowaną i zagubioną niż przedtem. Niczym pies, który zgubił pana. Jordi był pewien, że Ilona nie zechce wyjawić, gdzie się znajdują zaginiony. Może zresztą wcale tego nie wie. Nie chciał myśleć o tym, że ona go widzi, że także jest upiorem.

Jego zadaniem teraz było odnalezienie zaginionych. Prawdopodobnie już nie żyją, ale mimo to musi próbować.

Czekało go jeszcze jedno zadanie, o którym też nie chciał myśleć: Powinien mianowicie wyjaśnić, co było źródłem tragicznej przemiany burmistrza. I co sprawiło, że Ilona znalazła się w świecie tych, którzy nie mogą umrzeć.

Jordiemu było żal tej dziewczyny. Musiała wpaść w sieci wampirów. Tak, Jordi nazywał te istoty wampirami z braku lepszego określenia.

Wiedział, że musi znowu wyruszyć do obrzydliwego lasu, gdzie paskudne mchy, czy jak to nazwać, zwisają z gałęzi. Musi tam wrócić jak najszybciej. Nie wiedział tylko, czy będzie w stanie to zrobić.

Następnego ranka spytał o radę swoją ubraną na białą opiekunkę.

Ta zaś w zamyśleniu z wolna potrząsała głową.

- To godne pochwały, że chcesz pomóc biedakom i uwolnić osadę od zmory. Ale teraz znajdujesz się w nieodpowiedniej sferze. Zrobiłeś to, co powinieneś być zrobić, a zagubionych nie odnajdziesz. Oni należą do świata, który opuściłeś. Do świata ludzi.

- A źródło wszelkiego zła?

- Ja nie znam go dokładnie, podejrzewam jednak, że i ono związane jest ze światem ludzi żywych. A tam dostać się nie możesz, jak już wielokrotnie mówiłam.

Jordi zastanawiał się. Nie lubił wprawdzie zostawiać spraw niedokończonych, ale...

- To znaczy, że tutaj już skończyłem? Mogę wrócić do sfery zamglonych sklepień? A potem do...

Kobieta wyczuwała w jego głosie nadzieję. Powiedziała pospiesznie, ale w zadumie:

- Może uda mi się znaleźć jakieś wyjście...

Jordi pospieszył z propozycjami:

- Może moi przyjaciele, rycerze? I czarownica Urraca. Oni przecież też są upiorami!

Kobieta przytakiwała bez przekonania.

- Może oni znajdą jakąś radę, co mógłbyś zrobić.

- Mogę się z nimi spotkać? - zapytał z przejęciem.

- Nie. To niemożliwe. Oni nie mają żadnego bezpośredniego związku z tobą. Ale ja im przekażę twoje szlachetne pragnienia, żeby tutaj pomagać.

- Dziękuję! Bardzo jesteś życzliwa! Uśmiechnęła się.

- Jesteś dobrym człowiekiem, który bez własnej winy zaplątał się w tę skomplikowaną aferę. Wiążemy z tobą wielkie nadzieje.

Jordi wolałby nie być taki przygnębiony za każdym razem, gdy słyszał te słowa.

Dawno zdał sobie sprawę z tego, że w świecie upiorów istnieje wiele potępionych dusz. Ale nie są one stąd, z Paukiji. Bywało, że budził się w środku nocy, bo docierały do niego pełne strachu wołania, krzyki i zawodzenia, albo dlatego, że ktoś stał nad nim i błagalnie się weń wpatrywał w ciemnościach. Kiedy jednak zapalał lampkę, zostawioną mu przez białą opiekunkę, nie było nikogo. Tylko te dalekie wołania, przepelnione bólem, rozplywały się w jego mózgu.

Widował też upiory przepływające obok niego za dnia, sztywne jak drewniane lalki, przerażone, zwracające ku niemu pełne błagania oczy, rozmazane, bezkształtne postaci, tak niewyraźne, że domyślał się, iż przebywają bardzo, bardzo daleko od niego. Tylko dusze tych istot szukały jego, ludzkiego intruza, który zaplątał się w ich nędznym świecie. Płomyk nadziei w wiekuistym mroku.

Ale złe moce były i tutaj. Czające się istoty otulone mgłą, wyczekujące, aż ich czas nadejdzie. W takich chwilach Jordi był wdzięczny, że dzieli ich odległość. Że nie znajdują się w Mołdowie, lecz w innym miejscu ziemskiego globu. Było tak, jak to ktoś mu kiedyś powiedział: Świat upiorów, świat tych, którzy nie mogą umrzeć, znajduje się wszędzie i nigdzie.

Kiedy nachodziły go takie myśli, zaczynał tak strasznie tęsknić za Unni i przyjaciółmi z normalnego świata, że mógłby nad sobą zapłakać.

Wszelkie próby Jordiego mające na celu odnalezienie pięknych, łukowato sklepionych arkad, spaliły, niestety, na panewce. Nic mu więc nie pozostawało. Wszystko, co mógł zrobić na własną rękę, to wzywać Unni, prosić ją, by mu wskazała drogę do domu i do niej.

Nigdy jednak nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Ubrana na białą kobieta wróciła i podała mu dwa niewielkie przedmioty.

- To niewiele - powiedziała z żalem - Ale to jest wszystko, czym oni mogą cię wesprzeć. Gryfy nie mogą ci tutaj pomóc, a miecz don Ramira zaginał, niestety, w walkach. Innej broni nie ma. Ten nieduży nóż jednak, który don Garcia de Cantabria zawsze nosił w cholewie buta, możesz zachować na wszelki wypadek. Zaś doña Urraca daje ci tę truciznę. Jest ona strasznie mocna i zabija momentalnie, więc obchodź się z nią ostrożnie! I nóż, i trucizna działają w obu sferach.

Jordi już miał powiedzieć, że zarówno on sam, jak i reszta z jego sfery już dawno są umarli, ale to przecież nieprawda. Oni są nieumarli, należą do istot, które nie mogą umrzeć, a to jednak wielka różnica.

Stary burmistrz zmarł przypuszczalnie jakieś dwa, może trzy miesiące temu. Został zamordowany przez złą, nieznaną siłę w podmokłym lesie, a potem wprowadzony w stan podobny do zombi. Ani żywy, ani umarły. Dokładnie tak jak sam Jordi.

Kobieta w białym płaszczu przekazała mu pozdrowienia od Urraki i wszystkich rycerzy, którzy prosili też powiedzieć, że bardzo im zaimponował swoimi osiągnięciami i że chętnie by go wsparli, gdyby to leżało w ich mocy. Jordi zastanawiał się, co to za osiągnięcie zabić jednego człowieka, domyślał się jednak, o co im chodziło.

Spoglądał bezradnie na żałośnie mały nóż i słoiczek z trucizną, nie bardzo wiedząc, do czego miałyby mu to służyć. Były to jednak jego jedyne narzędzia w świecie, w którym on sam nie mógł dotknąć niczego, co należało do sfery żyjących.

- Teraz już pójdę - powiedział do kobiety. - Po co zwlekać? Nie mam czasu do stracenia.

Opiekunka życzyła mu powodzenia, po czym się rozstali.

To mniej więcej w tym czasie Unni przeczytała notatkę o wampirze szalejącym w Mołdowie. Obszerny artykuł dziennikarza z Paukiji został podczas swojej wędrówki przez różne gazety świata bezlitośnie skrócony do dziesięciu wierszy.

- Ojczy - oznajmiła z powagą. - Muszę jechać do Mołdowy. Natychmiast!

- Mołdowa? Czy ktoś tam w ogóle jeździ? I co zamierzasz robić w jakimś kraju, o którego istnieniu mało kto wie?

Pokazała mu notatkę w gazecie.

- Jordi tam jest, gwarantuję ci to. I coś mnie bardzo martwi, sprawy muszą się układać nie najlepiej.

Ojciec Unni znał oczywiście całą historię zniknięcia Jordiego i polecenia, by Unni podążała jego śladem. Dyskutowali o tej nowej sytuacji, najpierw spokojnie i rozważnie, potem coraz bardziej gorączkowo i gwałtownie.

Atle Karlsrud wziął gazetę i powiedział:

- Przekonajmy się najpierw, czy to naprawdę Jordi tam jest... Czy raczej był, bo teraz z pewnością już go tam nie ma. Notatka przez wiele dni, a może i tygodni wędrowała po świecie.

- Przecież tyle czasu jeszcze nie minęło od naszego rozstania.

- Może i nie, ale niczego nie uzyskasz, jadąc tam. Po prostu nie zdążysz, poza tym nic nie wiemy o stosunkach w tej Mołdowie, czy jest tam spokojnie, czy może kryminaliści zagrażają podróżnym. I nie znajdziesz go, wiesz o tym, on jest teraz nieosiągalny dla nas, żyjących. Dobrze już, dobrze, wybac mi te słowa, tak mi się wyrwało. Ale dobrze ci radzę: Zaczekaj, rozejrzyj się! Może pojawią się jakieś wyraźniejsze ślady.

Unni rozumiała, że to rady słuszne i rozsądne, ale przeklinała teraz rozsądek.

Nie zamierzała się poddawać, chociaż zrezygnowała z wyjazdu do Molldowy, to by była tylko strata czasu. Musi znaleźć jakieś inne wyjście...

I takie wyjście się znalazło - z całkiem nieoczekiwanej strony.

Sissi zadzwoniła z Hiszpanii, bardzo podniecona. Owszem, nawiązała kontakt z Miguelem, ale nie chciała powiedzieć, w jaki sposób. Niestety, on wciąż jeszcze nie jest pełnym człowiekiem i pewnie długo nie będzie. A jak sprawy Unni i Jordiego?

Unni opowiedziała o wszystkim, o tropie, który, jak jej się zdawało, znalazła, i o tym, że się tak potwornie martwi o Jordiego.

- Ty wiesz, że ja mam zdolność przeczuwania różnych rzeczy, Sissi, i teraz właśnie przezywam prawdziwe *bad feeling*, jeśli chodzi o jego obecność w tym dziwnym miejscu. Jest tam jakieś zło, które na niego czeka, a on jest przecież tak szaleńczo odważny. Natomiast w tamtejsze sprawy angażować się nie powinien, za nic, bo to by się dla niego źle skończyło. Jak ja mam go ostrzec?

- Ale na razie nic złego się nie zdarzyło?

- Nie, wszystko jeszcze przed nim, wyczuwam to bardzo wyraźnie. On jest w wielkim

niebezpieczeństwie i czas nagli. On i ja mamy z sobą swego rodzaju kontakt, bardziej więź, która pozwala nam wzajemnie wyczuwać nasze lęki i zagrożenia. I teraz nie mogę zrobić nic, absolutnie nic, żeby go przestrzec. Pomóż mi, Sissi, poradź coś! Szybko, bo tu chodzi o godziny, może nawet minuty, tak mi się zdaje. Jak mam do niego dotrzeć? Może rycerze mogliby coś zrobić? Albo Urraca?

- Z tego, co mówili, wynika, że nie mają z nim bezpośredniego kontaktu - powiedziała Sissi wolno, w zamyśleniu, jakby się zastanawiała nad czymś ważnym. Nagle jej głos zabrzmiał weselej. - Ale ja, Unni... zaczekaj, ja mam pewien pomysł. Zadzwoń do ciebie za chwilę. Tylko, na miłość boską, nie oczekuj cudu. Nie wierzę w cuda w tym przypadku, to znaczy... mam na myśli moją pomoc.

Mówiła szybko, zdyszana, połykała słowa.

- Dziękuję, Sissi. Będę ci wdzięczna za wszystko, co zrobisz. Jesteś aniołem.

- Nie, ale chyba kiedyś się nim stanę.

Raczej wątpię, pomyślała Unni. Ktoś, kto obraca się w takim towarzystwie...

Sissi zakończyła rozmowę i rozejrzała się po pokoju w hotelu, w północnej Hiszpanii, po czym zaczęła czegoś szukać w swoim bagażu. Była już gotowa do drogi powrotnej, nie zdecydowała tylko, czy zamierza pojechać do Norwegii, czy do Skanii.

Wiedziała, gdzie szukać tego, co jej potrzebne. Wyjęła z walizki starannie owiniętą niewielką paczuszkę, złamała pieczęć i rozwinęła. W środku znajdował się amulet wielkości ludzkiej dłoni. Został na nim wryty znak Nuctemeron.

Dar Miguela dla Sissi.

Nie, to dar Tabrisa, nie wolno o tym zapominać. Dreszcz przeniknął ją od stóp do głów - ze strachu, z powodu wyrzutów sumienia i z oczekiwania. Nie wolno jej było wzywać ukochanego bez absolutnej potrzeby. Wiedziała też, że im więcej on korzysta ze swoich demonicznych zdolności, tym bardziej oddala się od postaci Miguela i od niej.

Wahała się więc długo, zanim ujęła amulet w dłonie, zamknęła oczy i próbowała sobie przypomnieć, co Miguel jej mówił.

„To tylko twoja wyobraźnia. To nie jest rzeczywistość. Jeśli jednak znajdziesz się w trudnych do pokonania kłopotach, ale tylko wtedy, nie z powodu jakiejś bagateli, bo wówczas to nie zadziała, więc w trudnej chwili ujmij talizman w dłonie i wymawiaj szeptem moje imię. Ja do ciebie przyjdę, też tylko jako siła twojej wyobraźni, i pomogę ci, jeśli potrafię. Wcale nie jest pewne, że będziesz mogła mnie zobaczyć, ale przybędę i zostanę przy tobie. Cokolwiek by się jednak stało, to nie wzywaj mnie tylko dlatego, że chciałabyś mnie zobaczyć”.

Sissi uśmiechała się do siebie. Pamiętała tamtą chwilę, ciepło w oczach Miguela, jego czuły uśmiech, gdy powiedziała: „Oczywiście, rozumiem. Ale wiem, że często będę musiała walczyć z wielkim pragnieniem wezwania cię”.

A teraz oto znajduje się na najlepszej drodze, by zburzyć jego mozolne próby stania się w pełni i na zawsze człowiekiem. Musiała to jednak zrobić dla Unni, a zwłaszcza dla Jordiego.

Głęboko wciągnęła powietrze. Potem wyszeptała imię Tabrisa.

W pokoju było cicho, bardzo cicho. Na pobliskim lotnisku wylądował samolot. Inny startował. Wkrótce i ona opuści Hiszpanię.

Powoli nabierała pewności, że nie jest w pokoju sama.

Spojrzała w górę. Rozejrzała się wokół. Nikogo nie było, mimo to Sissi wiedziała.

Kiedy poczuła kościstą dłoń na swoim policzku, wyszeptała z czułością:

- Tabris. Wiem, że jesteś przy mnie.

„Tylko moje myśli” - odpowiedział ostry głos w jej głowie. „Ciesz się z tego. Moje myśli nie są dla ciebie niebezpieczne. Czego potrzebujesz?”

- Nie proszę dla siebie. Unni jest zrozpaczona. Ma przeczucie, że Jordi stoi wobec wielkiego zagrożenia, i prosiła mnie o pomoc. Ona nic o tym nie wie. O tym między nami.

„Unni trzeba słuchać. Co grozi Jordiemu?”

- On się znajduje w świecie upiórów. Odwiedził właśnie małą miejscowość w Mołdowie, ta miejscowość nazywa się Paukija. I teraz brnie prosto w wielkie niebezpieczeństwo. To oznacza dla niego koniec. Na zawsze, tak powiedziała Unni.

Na odpowiedź Tabrisa musiała długo czekać. „Jordi jest moim przyjacielem. Chętnie bym mu pomógł. Ale dostać się do sfery upiórów? Sissi, ja jestem demonem!”

- Myślałam, że ty możesz się przemieszczać pomiędzy sferami bez ograniczeń?

Po chwili odpowiedział jej z wahaniem:

„Znam krainę mgieł, gdzie sfery się łączą. Nie sądzę jednak, że się tam przedrę. Raz próbowałem, dawno temu, o mało nie skończyło się wojną. Ale Sissi, ja mogę natychmiast polecieć do tej osady. Może tam dowiem się czegoś więcej o Jordim. Stąd, z Santiago de Compostela, to niedaleko”.

Rzeczywiście, niedaleko, uśmiechnęła się Sissi cierpko. Po prostu na przelaj przez Europę. Ona sama znajdowała się w Bilbao.

Poczuła, jak on w myślach przesuwając dłonie po jej ciele. Czowała te jego dłonie. To tylko jego i moja wyobraźnia, próbowała sobie tłumaczyć.

Mimo wszystko robiło to na niej wielkie wrażenie.

Tabris opuścił pokój.

Sissi natychmiast zatelefonowała do Unni.

- Pomoc jest w drodze - zapewniła.

- Co? Jaka pomoc?

- Moim zdaniem możesz być spokojna - powiedziała Sissi i zakończyła rozmowę. I nie odpowiadała, chociaż telefon komórkowy dzwonił i dzwonił co najmniej przez piętnaście minut. Tabris i ona mają swoje potajemne życie.

Jaka straszna była cisza w lesie! Jordi bardzo niepewnie szedł coraz dalej i dalej przez tę ponurą, chorą okolicę.

Żeby tak mieć kogoś do pomocy, myślał. Kogoś, z kim można by współpracować. Ilona nie wchodzi w rachubę. Było w niej coś, czego nie rozumiał i czego nie lubił, mimo że to przecież zwyczajna, prosta wiejska dziewczyna. Coś, co odbierało niewinność jej okrągłej, rumianej, dziecinnej twarzy. Wielka szkoda, Jordi pragnął, by odzyskała ową ufność, którą musiała jeszcze niedawno posiadać.

Uff, jaka okropna okolica! Zwisające z iglastych gałęzi mchy czy porosty, nie wiedział co to, uderzały go po twarzy i wciąż musiał się uwalniać od lepkich strzępów tego paskudztwa. Leśne poszycie było czarne, wszelka niska roślinność wyginęła, ponieważ tu na dół nigdy nie docierało światło słońca. Z ziemi wyrastały tylko gdzieś pojedyncze grzyby, ale i one nie wyglądały zdrowo.

Nie śpiewały w tym lesie ptaki, nie widziało się też owadów. Jednak pod ciężkimi gałęziami zwisały pajęczyny, potężne, budzące respekt sieci raz po raz zagrażały idącemu drodze. Jordi był prawdziwym przyjacielem zwierząt, więc pochylał się lub starał się wymijać sieci, by nie niszczyć dzieł sztuki, które przecież tkwały mozolnie żywe stworzenia.

Las zamykał się wokół niego coraz gęstszy. Żadnych ścieżek tu wprawdzie nie było, mimo to posuwał się naprzód po czymś, co mogło być naturalną drogą między blisko siebie stojącymi drzewami. Po obu stronach nie widział nic prócz najbliższej rosnących świerków, omotanych pajęczynami i porostami tak, że wyglądały jak solidny mur.

Nagle dotarł do niego jakiś dźwięk. Trwał przez dłuższą chwilę, zanim Jordi go usłyszał. Teraz jednak przybierał na sile, przypominał głucho uderzenie w coś miękkiego, jakieś tłumione zawrodożenie czy coś takiego, Jordiemu trudno to było dokładniej określić.

Pojawiło się coś jeszcze, co już przedtem docierało do jego uszu: szuranie, szepty, odgłosy znane mu z poprzedniej bytności w lesie. Mimo woli zacisnął dłoń na małym nożu i drugą na słoiczku z trucizną, choć nie bardzo wiedział, przeciwko komu mógłby tutaj użyć trucizny. A nóż był i tak za mały, ostrze miało ledwie kilka centymetrów długości.

To niewiele, zwłaszcza jeśli się nie wie, z kim przyjdzie się człowiekowi zmierzyć.

Jakiś pająk umykał przez swoją sieć tuż przed oczyma Jordiego. To był pierwszy owad, jakiego zobaczył w tym lesie. A może pająk to nie owad? Czasami Jordi przeklinał swój los i to, że nigdy nie zdobył żadnego wykształcenia. Na ogół jednak specjalnie się tym

nie przejmował, życie upłynęło mu na pomaganiu bratu, ochranianiu Antonia i zapewnieniu mu życiowego startu. To była misja Jordiego i otrzymał za swoje starania nagrodę. Antonio jest w pełni wykształconym lekarzem, ożenił się, ma syna. Teraz Jordi mógłby zacząć myśleć o sobie, ale okazało się, że jest za późno. Znalazł się w świecie upiorów, z którego nie ma powrotu.

Nie, tak nie wolno myśleć! On powinien, musi wrócić znowu do świata żywych ludzi! Do Unni i fantastycznej przyszłości z nią. Jeśli raz podda się przygnębieniu, straci odwagę i siłę do walki.

Jeszcze jeden pająk. I kolejny. Wszystkie dosyć duże, z okrągłymi odwłokami i oczkami, które połyskiwały niebiesko - czarnym blaskiem. Czy to od nich osada wzięła nazwę? Pajęczna Wieś, Paukija. Tylko że ta okolica znajduje się daleko od ludzkich siedzib.

Strasznie daleko! Jordi przystanął, żeby nasłuchiwać.

Teraz las pogrążony był w ciszy. Nigdzie nawet szelestu. On jednak miał wrażenie, jakby coś leżało w pobliżu i czało się na niego. Wyczekująco, jakby chcieli zobaczyć, kim jest.

Chcieli? Oni? Jacy oni?

Ogarnęła go trudna do przewyciężenia ochota, by uciekać jak najprędzej do ludzi. Ach, świat ludzi! Jordi już do niego nie należy.

Tęsknota za Unni paliła go niczym otwarta rana. Znajdował się teraz tak daleko od niej, jak to tylko możliwe.

Pająków było więcej. Potwornie dużo! Zbliżały się do niego. To zaczyna być przerażające. Co on tu właściwie robi? Co go pcha do tego lasu?

Bo tutaj jest coś, co powinienem zbadać, odpowiadał sam sobie. To mój obowiązek.

Jeden z pająków wylądował na jego ramieniu. Strząsnął go gwałtownie i w tej samej chwili uświadomił sobie coś potwornego: ten pająk go widział, świadomie na nim wylądował! Należy do tej samej sfery co Jordi, do świata upiorów.

Nie, tak to nie może być. Po prostu nie może.

Jordi zatrzymał się na moment i obserwował pająki znajdujące się w zasięgu jego wzroku. Mógł stwierdzić, że większość w ogóle nie zwraca na niego uwagi. Niektóre jednak tak, zdecydowanie. Nie spodobało mu się to. Te, które mogły go widzieć, były nieco większe od pozostałych, miały cięższe odwłoki, poza tym jednak żadnych różnic. Ale już to wystarczyło, by zimne dreszcze przebiegały mu po plecach.

Z wahaniem ruszył dalej. Między drzewami po prawej stronie ukazał się niewielki otwór, jakby wolne przejście. Równocześnie dostrzegł coś przed sobą w głębi gęstego,

ciemnego lasu.

Obserwowało go stamtąd dwoje oczu. Najpierw myślał, że to jakiś człowiek, zaraz jednak stwierdził, że to nie jest dwoje oczu, że jest ich więcej, ustawionych blisko siebie, sześć, osiem par. Jordi zeszywniał z przerażenia. Wszystkie oczy miały zmienną barwę, mieniły się czernią, błękitem i zielenią. Gdzieś już to widział... Oczy wielkością dorównywały ludzkim, poza tym jednak przypominały bardziej... No właśnie, co? Niezależnie do kogo należały te oczy, jedno nie ulegało wątpliwości: one go widzą!

Bez dalszych wahań Jordi rzucił się do ucieczki w , tę boczną przesiekę czy jakieś przejście. Od razu wokół zaczęły się szepty, syki, odgłosy pełzania i szuranie między drzewami. Jordi biegł przed siebie i nagle ukazał mu się przedziwny widok.

Gęste, bardzo gęste sieci pajęczne. Mnóstwo. Słyszał przyciszone stukania, żalose jęki tak dziwnie stłumione i teraz zrozumiał, co to takiego.

Nóż! Małeńki nóż mógł się tu przydać. Jego działanie obejmowało obie sfery, i żywych, i umarłych, z pewnością to zasługa ubranej na białą kobiety. Jordi ciął sieci, szarpał je wściekle, wrywał długie strzępy. Wokół niego aż się gotowało z potwornej wściekłości, słyszał małe, kłębiące się potworki za sobą, ponad sobą, dookoła siebie. Również te, które jego widzieć nie mogły, ale przecież dostrzegały, że ktoś niszczy ich dzieło, nie wiedziały tylko, kogo mają atakować.

Te należące do świata Jordiego, owszem, one wiedziały. I podchodziły coraz bliżej...

Widzą mnie, ale nie wiedzą, kim albo czym jestem. Wygląda niemal, jakby czekały na jakiś rozkaz.

Było tak, jak Jordi przypuszczał: w środku tego miejsca omotanego gęstwiną sieci leżeli ludzie. Większość bez ruchu, ale przynajmniej jeden z nich jeszcze żył. To był ów młody Walentin o jasnych włosach. Patrzył sparaliżowany, jak sieci ulegają zagładzie, ale nie dostrzegał przyczyny, coś je po prostu darło na strzępy. Jordi próbował mu pomóc w wydostaniu się z więzienia, ale nie mógł go dotknąć. Wszystkie jego zachęty w rodzaju: Złap mnie za rękę, trafiały w pustkę, bo Walentin ani go nie widział, ani nie słyszał.

- Wypełnij stamtąd, do jasnej cholery! - syknął w końcu Jordi, gdy zniecierpliwienie zastąpiło frustrację. Pająki tłoczyły się dookoła niego, nie miał czasu na zmaganie się z ludźmi. Widział wszystkie, również te, które jego widzieć nie mogły, one nie sprawiały wrażenia niebezpiecznych, ale inne miały paskudne chwytne szczękoczułki, zakończone gruczołami jadowymi, i wymachiwały nimi złowieszczo.

Zaczynał tracić kontrolę nad sytuacją, klęska zdawała się nieunikniona.

- Pozwól sobie pomóc, Jordi, mój przyjacielu - usłyszał nagle za sobą ostry głos. - I

powiem ci, że niełatwo było cię znaleźć, o nie!

Jordi odwrócił głowę. Musiał patrzeć mocno pod górę. Budzący grozę widok wcale go nie przeraził, wprost przeciwnie.

- Tabris! - wykrzyknął z taką ulgą, że serce zalała mu fala gorąca. - Naprawdę możesz mi pomóc?

- Naturalnie! Niczego się nie bój, one mnie nie widzą. Olbrzymi demon złapał Walentina i wyciągnął z matni. Następnie tak samo obszedł się z dwiema na pozór martwymi dziewczynami, które leżały obok chłopaka. Jedna zaczynała zdradzać jakieś objawy życia, Bogu chwała i za to!

Następnie Jordi otworzył drugie więzienie i Tabris wydobył stamtąd jeszcze dwoje ludzi. Jedno z nich, kobieta, znajdowała się już poza granicami wszelkiej pomocy, ale mężczyzna wyglądał, jakby wciąż trwał w przestrzeni między życiem a śmiercią.

- Tabris - westchnął Jordi. - Jeszcze nigdy nie byłem taki uradowany!

Straszna postać uśmiechnęła się kwaśno.

- Nie ma czasu na sentymentalne wyznania. Czyha na ciebie jeszcze większe niebezpieczeństwo.

Jordi wskazał ręką.

- Tam? Przed nami?

- Tak jest. A te małe potworki tutaj natychmiast zaatakują. Musimy uciekać.

- Ja mam truciznę - poinformował Jordi, ściskając słoiczek.

- I jak zamierzasz jej użyć? Będziesz im serwował łyżeczką do herbaty, po kolei? Ty i ten młody chłopak musicie uciekać ile sił w nogach i zabierzecie ze sobą dziewczynę, ona się z tego wyliże. Chłopak może ją nieść. A ja zabiorę resztę, nawet niczego nie zauważą. Musimy uciekać. Już!

- Ale jak im to wytłumaczę? Walentin jest taki zmęczony, że chyba do niczego się nie nadaje. A poza tym jest z innej sfery niż ja, ani mnie nie widzi, ani nie słyszy.

Tabris skrzywił się zniecierpliwiony. Zniknął za drzewami i po chwili wyszedł stamtąd jako Miguel.

Wsunął rękę dziewczyny w dłoń Walentina i dał im znak, że powinni się spieszyć.

W końcu ruszyli, a Jordi za nimi, Miguel nie przestawał ich poganiać. Kiedy został sam, znowu zmienił się w Tabrisa i zarzucił sobie na ramiona dwoje żywych ludzi. Trzeciemu nie można już było pomóc.

Wszystko to było dziełem niedawnego burmistrza. A może... ?

Ilona powiedziała, że on został ugryziony.

Zatrzymali się na skraju lasu, by opracować plan. To Miguel powinien odprowadzić więźniów z powrotem do osady, najpierw jednak trzeba uporządkować kilka spraw. Miguel prosił rozdygotanego Walentina, by się powstrzymał, nie wrywał się do znajomych, bo przede wszystkim trzeba usunąć z lasu zagrożenie.

Młody człowiek był siny ze strachu, słuchał uważnie przekonującego głosu obcego i nieustannie kiwał głową. Dziewczyna wyglądała na równie wstrząśniętą i Jordi, którego żadne z nich nie widziało, podejrzewał, że Miguel ich jakoś sparaliżował, by mu nie uciekli do domu. Miguel nie chciał mieć tu w lesie całej osady, nie chciał ryzykować, że więcej ludzi straci życie. Z tym wszystkim on i Jordi muszą poradzić sobie sami.

Miguel, czy raczej Tabris, który władał wszystkimi językami, jakie tylko mogły mu być potrzebne, spytał na polecenie Jordiego, gdzie by tu można zdobyć duży spryskiwacz, taki do tępienia owadów, lub coś podobnego, oraz maski i ubrania ochronne. W końcu chłopak był w stanie powiedzieć coś rozsądnego w tej sprawie, przy okazji zapytał o rzecz, która go najwyraźniej od dłuższego czasu dręczyła:

- Ktoś zniszczył pajęczę sieci. Czy tutaj jest więcej osób?

Miguel przytaknął z powagą.

- To wasz anioł stróż. Nie obawiajcie się jednak, on wam dobrze życzy.

Ufni młodzi ludzie uwierzyli mu, ale kiedy Miguel przetłumaczył rozmowę Jordiemu, nie spotkał się ze zrozumieniem. Anioł stróż?

No niech tam, pomyślał. Mogą być gorsze określenia, po zastanowieniu się uznał nadany mu tytuł.

Dziwnie mu się nie podobały oczy uratowanej dziewczyny. Miały ten sam czarno - niebieskawy błysk, którego już dawno temu nauczył się unikać. Oczy Walentina były natomiast dość normalne. Tylko niekiedy pojawiał się w nich niebieskozielony połysk.

W jakiś czas potem Jordi i Miguel znowu wkroczyli do lasu, tym razem w ekwipunku, jaki udało im się zdobyć. To znaczy Tabris wleciał do lasu z Jordim na grzbiecie, jak to już wielokrotnie przedtem czynili. Nie mieli z tym najmniejszych problemów.

- Jak to się stało, że tutaj jesteś? - spytał Jordi w czasie lotu.

- Unni udało się natrafić na twój ślad i prosiła Sissi o radę. Przybyłem tutaj, do tej osady, parę godzin temu, zdołałem wyczuć, że znajdujesz się w pobliżu, ale nie mogłem cię znaleźć. Strażniczka przy bramie sfer wskazała mi drogę.

- Więc musiała cię zaakceptować?

- Nie miała wyboru - zachichotał Tabris. - Kiedyś odmówiła mi wejścia do innej sfery i potem długo miała poczucie winy. A teraz bardzo się martwi o ciebie.

To ostatnie sprawiło, że Jordi zaniemógł. Skąd tyle troskliwości? Może ona ma dla niego w zanadrzu więcej równie obrzydliwych zadań?

Unni na niego czeka, czy ta strażniczka tego nie rozumie? Ucieszyła go jednak wiadomość, że Unni go poszukuje. Żeby tylko mógł wyjść jej na spotkanie!

Mocniej chwycił skrzydła Tabrisa. Tego, który jest ogniwem pośrednim...

Znajdowali się teraz znowu na dole, pośrodku złego terytorium, stali na czarnym leśnym poszyciu. Ponury nastrój wisiał nad nimi niczym gradowa chmura. Przyjaciel zwierząt, Jordi, zżymał się, że będzie musiał zniszczyć tak wiele niewinnych pająków. Szczerze mówiąc, dosyć lubił pająki. To piękne, pracowite robactwo, które powinno się chronić.

- Czy moglibyśmy coś zrobić dla normalnych pajązków? - spytał.

Tabris zastanawiał się.

- Ja myślę, że ten aspekt sprawy rozwiąże się sam. My powinniśmy iść prosto do korzeni zła, a wtedy wszystkie złe pająki przybędą tam z odsieczą. One mają w sobie coś chorobliwego. Normalne pająki przecież nie słuchają żadnych sygnałów.

Jordi próbował opanować gwałtowne bicie serca. Las robił bardziej odpychające wrażenie niż kiedykolwiek. Odczuwał głęboką wdzięczność za to, że Tabris jest przy nim. Martwiło go tylko to, że przyjaciel większość prac musi wykonywać sam, Jordi bowiem nie ma dostępu do materialnego świata.

Demon się przygotowywał, włożył na siebie maskę ochronną, rękawiczki oraz kombinezon, który także zdobyli w magazynie straży pożarnej. Podjęli próbę włożenia kombinezonu również na Jordiego, ale spelzło to na niczym. Jedyne więc, co mogło go chronić, to nóż i trucizna od strażniczki.

Podał słoiczek Tabrisowi, który zmieszał w wiadrze truciznę z wodą i napełnił nią rozpylacz. Sporo zostało jeszcze w słoiczku na wypadek, gdyby była potrzebna później.

- Współczesne wynalazki techniczne naprawdę nie są głupie - uśmiechnął się demon, który oczywiście musiał przyjąć postać Miguela, by się zmieścić w kombinezonie. To ograniczało w pewnym stopniu jego demoniczne zdolności, ale nie za bardzo.

Mieli wielki rozpylacz używany do gaszenia pożarów pianą i tak uzbrojeni udali się do opanowanej przez pająki części lasu.

- Idziemy prosto na nie - powiedział Miguel.

Bardzo wcześnie usłyszeli szумы i trzaski na drzewach. Wielka ilość pajaków może wywoływać naprawdę spory hałas. A tutaj, głęboko w mroku, one zachowywały ciszę.

Po bokach jednak panowała cisza.

To dobrze, mali, niewinni przyjaciele, pomyślał Jordi. Trzymajcie się z dala od tego, pozwólcie, by wasi źli krewniacy dostali to, na co sobie zasłużyli!

Liczył na to, że mniejsze, normalne pająki skupiają się w cichym lesie po obu stronach szlaku, którym oni się posuwają. Szukajcie tam dla siebie schronienia, prosił w myślach. Trzymajcie się na uboczu.

Atak nadszedł prędzej, niż się spodziewali.

Szybko zdali sobie sprawę, że te pająki, które oni uważają za złe, są w jakiś sposób zaprogramowane. Pełzały zdyscyplinowane po ziemi i drzewach - prosto w objęcia śmierci. Miguel świadomie wyregulował strumień ciecży na tak cienki, jak to tylko możliwe, by chronić zwyczajne pająki, które przypuszczalnie znajdowały się też na drzewach za nimi. Jordi modlił się w duchu, by trucizna tam nie docierała.

Szelesty umilkły. Martwe pająki leżały na ziemi lub masami spadały z drzew. Jordi zasłaniał usta chusteczką do nosa, by nie wdychać trucizny.

Miguel zwrócił się do niego:

- No to tyle - powiedział poprzez maskę.

Oczy Jordiego rozszerzyły się ze strachu. Spoglądał na coś za plecami demona.

- Spójrz w górę Tabris! Spójrz w górę! Miguel odwrócił się.

Z najciemniejszej części lasu pędził prosto na nich budzący grozę potwór!

- Wracaj, Jordi! - krzyknął Miguel. - On ciebie widzi, jest z twojej sfery. To muszę załatwić ja sam!

- Nie mogę cię zdradzić. Pamiętaj, że teraz jesteś w połowie człowiekiem.

- Dzięki ci za te słowa, przyjacielu! No dobra, w takim razie chodź! - I dodał pod nosem: - Chociaż będziesz bardziej przeszkadzał, niż pomagał.

Właściwie jednak to Jordi powinien ze mną być, pomyślał zaraz. Bo zużył na pająki tak dużo trucizny, że Jordi musiał dolać ze swojego słoiczka. I to szybko! Działali gorączkowo, albowiem bestia zbliżała się w wielkim pędzie. W końcu Miguel mógł skierować strumień z rozpylacza w stronę potwora, który też był pająkiem, tyle że wielkim, rozmiarów człowieka, i tak obrzydliwym, że patrząc na niego, obaj czuli się chorzy.

Mimo wszystko Jordi cierpiał, kiedy trzeba było zabijać zwierzęta.

- To nie jest żadne zwierzę, Jordi! - krzyczał Miguel, który rozumiał jego skrupuły. - To potwór z piekielnych otchłani, ja bardzo dobrze znam ten gatunek i wiem, do czego one są

zdolne.

To były rozstrzygające słowa. Jordi kiwał głową, ale wciąż był blady. Silna trucizna trafiła potwora dokładnie w chwili, kiedy szykował się do potężnego skoku na przeciwników.

Pająk skulił się, obaj odskoczyli, ale tamten był martwy już w chwili, kiedy padał na trawę między nimi.

- O, niech to lichu! - jęknął Jordi.

- Zaraz będzie ich tu więcej - przestrzegł Miguel. Trzy wielkie potwory pojawiły się tuż obok tego, który padł. Zwietrzywszy niebezpieczeństwo, gwałtownie zawróciły, ale było za późno. Wszystkie trzy osunęły się na ziemię w śmiertelnych konwulsjach.

Mężczyźni popatrzyli po sobie. Bez słowa przekroczyli trupy i poszli dalej w mrok, dla wszelkiej pewności.

Ogarnęły ich mdłości, kiedy zobaczyli jaskinię ogromnych pajaków, schodzącą prosto do ziemi. Trzeba było ją dokładnie zasypać.

Miguel znowu zmienił się w Tabrisa. Zabrali ze sobą ostatniego więźnia, martwą kobietę, i opuścili okolicę najszybciej jak tylko mogli.

To Miguel musiał opowiedzieć mieszkańcom osady, co się stało.

Jordi brał udział w wielkim spotkaniu i słyszał czwórkę uratowanych, opowiadających o swoich przeżyciach. Dwoje było jeszcze tak słabych, że trudno im było mówić, wobec czego potwierdzali tylko to, co opowiadali Walentin i młoda dziewczyna.

Każde z nich zostało ugryzione przez coś, pewnie jakiegoś owada, kiedy byli razem z Iloną.

- Ilona miała chyba przy sobie jednego z małych pajaków - stwierdził Miguel. - Ich ukłucia musiały wprawiać ludzi w rodzaj transu.

I nie tylko to, myślał Jordi. Teraz jednak wszystkie ofiary wyzbyły się szczęśliwie tych niebieskawych błysków w oczach. Sprawilo to Jordiemu niewypowiedzianą ulgę.

- No właśnie, a gdzie się podziała Ilona? - spytał Miguel.

Ilona, jak się okazało, została wtrącona do więzienia i była kompletnie załamana. Tak mówiono. Jordi starał się wytłumaczyć Miguelowi, że tak naprawdę to nieszczęsna dziewczyna jest niewinna. Przecież prosiła o pomoc i miała swój wkład w wyjaśnieniu tragedii. Prosiła Jordiego, by szukał w ratuszu. Miguel przedstawił to zebrany, Jordiego przecież nikt nie słyszał. I teraz irytowało go potwornie to, że nie może brać udziału ani w tym spotkaniu, ani w ogóle nawiązać kontaktu z ludźmi.

Miguel poprosił, by sprowadzono Ilonę. Podczas gdy na nią czekali, zapytał, skąd osada wzięła swoją nazwę - Paukija. Pajęcza Wieś.

Urzędujący burmistrz próbował się wymigać od odpowiedzi.

- O, to bardzo stara legenda - rzekł lekceważąco.

- My tam nigdy nie chodzimy - wtrącił ktoś inny.

- A czy podobne wydarzenia miały miejsce już przedtem?

- Cóż, stara legenda mówi, że coś takiego miało się jakoby wydarzyć, kiedy w lesie pojawiły się olbrzymie pająki. Od tamtej pory nikt nie chodził tak daleko.

- I nikt nigdy nie został zraniony? - Nie.

- Czy osada zawsze się tak nazywała?

- Nie, nazwa pochodzi z czasu, kiedy odkryto pająki. Przedtem nazywała się po prostu Wieś. Zawsze leżała na uboczu, samotnie, nie mieliśmy wiele kontaktów z innymi miejscowościami.

- No to myślę, że teraz będziecie musieli znaleźć jej nową nazwę. Ładniejszą, bo osada jest bardzo ładna.

Szef policji, który prowadził spotkanie, zapytał, skąd szanowny gospodin Miguel Tabris do nich przyjechał.

Miguel odpowiedział tak samo uprzejmie, że ponieważ do jego obowiązków należy unieszkodliwianie olbrzymich pajaków, musi jechać wszędzie tam, gdzie się one pojawiają, więc znalazł się i tutaj. Gwarantował, że las został całkowicie uwolniony od intruzów i że można będzie uprzątnąć okolicę oraz przywrócić jej dawną urodę.

Przyszła Ilona, zapłakana, ze wzrokiem utkwionym w ziemię.

Pierwsze pytanie szefa policji zabrzmiało groźnie:

- Gdzie masz pająka?

To wywołało kolejny potok łez.

- Zrobił się jakiś dziwny, wcale mnie nie chciał słuchać. W końcu uciekł z mojego pokoju i ktoś go rozdeptał. Nie żyje!

Wszyscy odetchnęli z ulgą. Jordi uważnie przyjrzał się oczom Ilony i stwierdził, że zaszły w nich dwie zmiany. Po pierwsze, nie było w nich już tych czarnych błysków, a po drugie, Ilona przestała widzieć Jordiego.

- Ona jest zdrowa - powiedział do Miguela.

- Opętanie ustąpiło, kiedy cztery wielkie pająki zostały uśmiercone - potwierdził Miguel.

Młody burmistrz powtarzał:

- Ale ja tego nie rozumiem. Nic już nie rozumiem!

- Ja spróbuję wytłumaczyć - zaofiarował się Miguel. Zastanawiał się przez chwilę,

zanim zaczął mówić. - One przybyły z... chciałem powiedzieć, z innego świata niż nasz, ale to nie jest dokładnie tak. One gnieźdzą się głęboko we wnętrzu ziemi, wiodą do tego miejsca ciemne korytarze. My próbujemy je wytepić, bo nie przynoszą z sobą niczego dobrego, jak zresztą mieliście okazję się przekonać. Są to stworzenia inteligentne, mają rozwinięte specjalne zdolności i umiejętności, ale nie znamy ich na tyle dobrze, by wiedzieć, jak funkcjonują.

Nie wspomniał ani słowem, kim mieliby być ci „my”, a Jordi miał nadzieję, że nikt o to nie zapyta.

- Ale dlaczego my widzieliśmy jednego wiele lat temu, a potem nic się nie działo, aż dopiero ostatniej jesieni? - dopytywała się jakaś kobieta.

Miguel spojrzał na nią i biedaczka się zarumieniła, bo był przecież bardzo przystojnym mężczyzną. Odpowiedział jej łagodnie:

- Przecież baliście się tam chodzić, prawda?

- O, tak. Bo tam było coś bardzo nieprzyjemnego.

- Otóż to. Trzeba wiele czasu, by zebrać tyle pajaków, które byłyby w stanie utkać takie potężne i mocne sieci. Jak pewnie wiecie, pająki nie jedzą, lecz piją. Z pewnością każdy widział suchą muchę wplątaną w pajęczynę, prawda? Te wielkie potwory siedziały w lesie w głębokiej jaskini i kiedy wyssały krew ze wszystkich leśnych stworzeń, potrzebowały pomocy ludzi. Dlatego stary burmistrz, który lubił wycieczki do lasu, stał się ich ofiarą.

- Ale przecież burmistrz był wampirem - wtrącił szef policji.

- No, można powiedzieć, że był czymś w rodzaju wampira, swoistą odmianą. Ale, jak pewnie zauważyliście, te małe, „tresowane” pająki umiały znieczulać mózgi swoich ofiar tak, że stawały się im posłuszne. Burmistrz musiał zostać ugryziony przez jednego z wielkich.

- Tak, on został ugryziony, Ilona tak mówiła - zawołał Jordi i znowu się zirytował, że słyszy go tylko Miguel.

Demon kontynuował swoją opowieść:

- Uczyniły go po prostu jednym z grupy, swoim. Spróbował krwi i znalazł sobie pomoc, czyli „dostawcę”. Została tą pomocą Ilona, która w tym wszystkim jest absolutnie niewinna, sama jest ofiarą. Nie będziemy więc jej sądzić, znajdowała się we władzy burmistrza, który ze swej strony był ofiarą wielkich pajaków. Sprowadził im młodych ludzi, których pająki trzymały w pułapce z sieci i codziennie żywiły się ich krwią.

Twarz Walentina zrobiła się zielona, więc Miguel pospieszył z wyjaśnieniami, że znalazł strzykawkę należącą do burmistrza. Widocznie burmistrz pobierał krew tą strzykawką i przekazywał pająkom.

To brzmiało znacznie lepiej. Jordi wolał nie dociekać, czy to prawda. Ofiary najwyraźniej nie pamiętały, co się z nimi działo, a Walentin był ostatnim, który znalazł się w tym obrzydliwym więzieniu. Dziewczynę wyprowadzoną do lasu następnego dnia uratował Jordi i on też zrobił koniec z pozbawionym wartości życiem burmistrza.

- Ale czego one od nas chciały? Jaki był ich cel? Czy też byliśmy tylko... ? - Walentin zakończył zdanie machnięciem ręki.

- Celem wielkich pajaków jest zawsze przejęcie władzy nad ziemią. Udało nam się zamknąć je pod ziemią i mam nadzieję, że te były ostatnie, które zdołały się na chwilę wydostać na powierzchnię.

- Ile ty na ten temat wiesz, a ile wymyśliłeś na użytek tutejszych mieszkańców? - zastanawiał się Jordi. Miał wrażenie, że Miguel posiada szczególną łatwość obchodzenia prawdy.

- Czy wejście do podziemnych korytarzy naprawdę jest szczelnie zamknięte? - upewniał się burmistrz.

- Naprawdę - odparł Miguel. - Założyłem tam mnóstwo pieczęci.

O, tak, wiem, myślał Jordi cierpko. Był przy tym, gdy Tabris na zakończenie wymamrotał nad zasypaną jaskinią kilka ponurych zaklęć.

Ludzie dziękowali Miguelowi za niezwykle zasługi dla ratowania miasta. Zaproponowano mu pieniądze, których najpierw nie chciał przyjąć, ale gdy nalegali, uznał, że dobrze byłoby uzupełnić finansowe zasoby. Życie w ludzkiej postaci bywa dosyć kosztowne.

Kiedy inni zebrani dyskutowali zawzięcie między sobą, Jordi zdołał zadać Miguelowi parę pytań.

- Dlaczego pająki były widzialne dla innych, chociaż należały do świata upiorów? Albo stary burmistrz. I wielu innych.

Miguel odwrócił się plecami do zebranych, żeby nikt nie zauważył, iż gada sam do siebie.

- Pewna część upiorów chodzi sobie po ziemi widzialna dla każdego. Wampiry na przykład, zombi i tak dalej. Inne natomiast nie mają tej zdolności. Jak na przykład ty czy rycerze.

- Ale my nie odżywiamy się kosztem innych!

- Nie? To ja ci powiem, że rycerze z ciebie czerpią siłę do pokazywania się.

- Ze mnie?

- Oczywiście! Ty jesteś ich ostatnią deską ratunku. I znalazłeś się w świecie tych, co nie mogą umrzeć, ponieważ jesteś im potrzebny.

Jordi wzburzony głośno łapał powietrze.

- Ale przecież ja nie mogę ratować i pomagać wszystkim, którzy się tutaj znajdują!
Nigdy tego nie skończę!

- Zamiar jest taki, że masz unieszkodliwić tylko tych, którzy stanowią zagrożenie dla ludzi i zwierząt.

Jordi nie odważył się spytać, ilu takich znajduje się na liście. Nie chciał tego wiedzieć. On pragnął wracać do domu, do Unni.

- A Ilona? - spytał agresywnie. - Czy ona też należy do świata upiorów.

- Mogła należeć. Była na najlepszej drodze do tego. Ale zdążyliśmy ją na czas uratować.

Kobiety zaczęły wnosić półmiski pełne pysznego jedzenia. Teraz wybawca Miguel będzie ucztował! Jordi poczuł, że on też jest głodny, ale nic z tego, co stawiano na stołach, nie nadawało się dla niego.

Wtedy nagle pojawiła się ubrana na biało kobieta z jedzeniem i piciem. Powitał ją uradowany.

- Uczciwie sobie na to zasłużyłeś - powiedziała.

Mógł więc usiąść w kąciku i zająć się posiłkiem. Obserwował jednak uważnie Miguela. Nie wiedział, jak dalece demon przywykł do wina i innych mocnych trunków. A co będzie, jeśli się nagle przemieni w Tabrisa?

Tego by już było za wiele dla tych tak ciężko ostatnio doświadczonych mieszkańców osady.

CZEŚĆ PIĄTA
PŁOMIEŃ, KTÓRY NIE GAŚNIE

Ciemne, smukłe sklepienia wyglądały, jakby wisiały w powietrzu; przepływały między nimi wielkie kłęby mgły, wolno, w rozmarzeniu.

Jordi ponownie stał na granicy sfer. Miguel był z nim.

Na spotkanie wyszła im kobieta w białym habicie. Zwróciła się do Miguela^

- Dziękujemy ci, duchu otchłani, za twój wkład.

- Miguel już nie jest duchem otchłani - zaprotestował Jordi. - On robi wszystko, by stać się pełnym i dobrym człowiekiem.

Kobieta uśmiechnęła się sceptycznie.

- Tygrys jest żółty i czarny, a pasy nigdy nie znikają - zacytowała jakiś wiersz bez sensu. - Moje najlepsze życzenia są przy tobie. Jesteś wolny i możesz wrócić do świata ludzi żyjących.

- Dziękuję - powiedział Miguel. - Przyjmuję to jako ważny krok naprzód w moich staraniach.

- No, no, przez chwilę tam, w tym lesie, byłeś sobą.

- Pytanie tylko, co jest teraz bardziej mną.

- Ja mam wrażenie, że ty byś wolał być człowiekiem, ale że w razie potrzeby chętnie wracasz do demonów.

- Czyż wszyscy ludzie tak nie postępują? - wtrącił Jordi.

- To prawda. Tylko że dla tu obecnego naszego przyjaciela to może mieć katastrofalne następstwa.

Jordi zrobił minę, jakby chciał pożegnać się z kobietą i odejść w towarzystwie Miguela, ale ona natychmiast wybiła mu to z głowy.

- Nie, nie, mój przyjacielu. Ty zostaniesz tutaj. Masz więcej do zrobienia w sferze upiorów.

Jordi stracił cierpliwość.

- Ale ja chcę wracać do domu, do Unni! Ona mnie potrzebuje. I tęsknię za nią tak, że rozum mi się miesza.

Kobieta westchnęła. Ujawniła coś, do czego chyba nie miała prawa, ale serce jej miękło na widok jego cierpienia i wobec tak wielkiej miłości.

- Posłuchaj no, Jordi Vargas, powiem ci, że spotkasz swoją ukochaną właśnie tam, gdzie teraz pójdziesz.

- W takim razie idę z radością!
- Ale nie będziesz mógł jej zdobyć - ostrzegła.
- Co ty o tym wiesz - mruknął. - Ja jestem uparty.
- To się na nic nie zda. Nigdy nie wrócisz do świata żywych.
- W takim razie ja też zostaję - oznajmił Miguel.

- Nie, no chwileczkę! - zawołała kobieta oburzona. Mówiła teraz ostrym, władcym głosem. Stała przed nimi jakby większa. - Raz pozwoliłam ci przekroczyć granice, Tabrisie z rodu demonów nocy. Nie wyobrażaj sobie jednak, że masz prawo zrobić to po raz drugi!

Jordi chciał wtrącić, że Tabris nie jest chyba demonem nocy, skoro należy do dzinów siódmej godziny, Tabris jest duchem wolnej woli. Domyślił się jednak, że ta kobieta jest duchem bardzo wysokiej rangi - w jakiejś hierarchii, oczywiście, ale nie miał odwagi spytać w jakiej - i że wolna wola Tabrisa nie ma dla niej wielkiego znaczenia.

Zrezygnowali. Jordi prosił Miguela o przekazanie pozdrowień Unni i zapewnienie jej, że on zrobi wszystko, by wrócić. Próbował zmusić kobietę, by mu powiedziała, dokąd się teraz udają, ale ona nie ustępowała.

Nagle Miguel zniknął i Jordi uznał, że również demon już go nie widzi. Miguel wkroczył do świata żywych ludzi, on sam natomiast pozostał w świecie upiorów.

Sklepienia wznosiły się jedno za drugim, wiał lekki wiatr. Jordi pomyślał to samo co przedtem: To wygląda jak gotycka katedra bez ścian. Wszystko zachwiało się lekko i rozplynęło w powietrzu.

- Dokąd mam się udać? - zapytał kobietę.
- Chodź ze mną!

Miguel znowu został sam.

Siedział skulony, jak to miał w zwyczaju, wysoko na szarpanej wiatrem skale, gdzieś w Europie Środkowej. Piękne skrzydła demona oplatały jego ciało. Nikt by się nie domyślił, że w tym skalnym szczycie, jaki stworzyły skrzydła, tkwi żywa istota.

Był znowu Tabrisem i gwizdał na to. Szczerze mówiąc, tyle razy przekraczał granicę między dwoma swoimi wcieleniami, że jeden taki zabieg mniej czy więcej nie powinien robić różnicy. Coraz bardziej i bardziej oddalał się od Sissi.

Próbował nawiązać z nią kontakt za pomocą swojej nowej, cudownej zabawki, telefonu komórkowego. Sissi jednak znajdowała się w samolocie, w drodze na północ, więc nie mogła odpowiedzieć, wiedział o tym. Nie wiedział tylko dokładnie, dokąd postanowiła pojechać. Dlatego siedział tutaj - w połowie drogi do Skandynawii - i czekał.

Tabris spoglądał w dół, na warstwę lawy zastygłej na skalnej półce. Setki, tysiące, miliony lat... Góra jest ta sama, dziwna lava utworzyła dziwne wzory, zielonkawe na szarym tle, wgryzała się w skałę pod wpływem mrozu, śniegu i lodu, tworzyła nowe figury.

Zafascynowany wodził szponiastym palcem wskazującym po skomplikowanych wzorach, rozkoszował się arcydziełem natury i myślał, jak wiele Sissi w nim zmieniła, jak nauczyła go patrzeć na wszystko inaczej niż przedtem. W ostatnich czasach wielokrotnie siedział zapatrzonej w gwiazdziste niebo, w kosmos, i nadziwić i się nie mógł wielkości, wiekistej ciszy. A mikrokosmos jest co najmniej tak samo cudowny. Kiedy się temu dokładnie przyjrzeć, dostrzega się wielki, przebogaty świat kształtów i form życia...

Tabris się wyprostował. Istniał od tysięcy lat i myślał, że tak będzie dalej, że nic się nie zmieni, że wszystko na powierzchni ziemi ma mniejszą wartość i jest bardzo zapóźnione w rozwoju, że władca decyduje w Ciemności, ale że poza tym każdy robi, na co ma ochotę, bierze, co chce, walczy o swoje i bije się z innymi, wspina się na szczyt drabiny ważności i myśli tylko o sobie. Twardy jak żelazo, pozbawiony skrupułów, ale prosty i nieskomplikowany. Nigdy by nie pomyślał, że aż tak trudno jest być człowiekiem.

Nigdy nie wiedział nic o miłości. Ale dlatego, że należał do duchów Nuctemeron, Tabris, sam o tym nie wiedząc, miał głęboko w duszy jakieś miękkie jądro. Dlatego było mu łatwiej niż innym demonom zaaklimatyzować się w świecie ludzi i to właśnie dlatego mistrz zlecił mu to zadanie. (Dodał mu tylko do pilnowania Zarenę, nieustraszoną i upartą, bo jemu mistrz za bardzo nie dowierzał, o nie. I nie bez powodu, jak się miało okazać).

Ale jednak Tabris miał spore trudności z tym dopasowaniem się. Najtrudniej było mu z okazywaniem szacunku. Naprawdę robił, co mógł. Odnosił się do ludzi z szacunkiem tylko po to, by odkryć, że ktoś trzeci może się czuć zraniony lub zapomniany. Wszystko to takie skomplikowane, czasem wydawało mu się, że balansuje na ostrzu noża, by postąpić właściwie, zrobić to, czego ludzie od niego oczekują. Ale oni mają tak różne pragnienia!

Tabris nie słyszał powiedzenia: „Wszystkim nie dogodzisz”, ale doświadczenie go tego nauczyło, Niewątpliwie życie demonów jest o wiele prostsze.

Wracać do dawnego życia jednak nie chciał. Nie, za nic na świecie! Już sama myśl o życiu w mroku sprawiała mu przykrość.

Tylko tak strasznie trudno mu było oderwać się ostatecznie od Tabrisa...

Być demonem to bardzo praktyczne. Trzeba się jednak postarać i jak najprędzej zapomnieć o Tabrisie.

Jeszcze tylko jedna krótka chwila. Jeszcze troszeczkę.

Niezwykłe łagodny uśmiech rozjaśnił jego budzącą grozę twarz. Serce zaczęło bić mocniej, szybciej. Szponiasto zakończony palec, który ciągle przesuwiał się po splątanych jak w labiryncie liniach na zielonej powierzchni lawy, zaczął zostawiać rysy na arcydziele natury.

Nieoczekiwanie poczuł się radosny i bardzo silny, choć równocześnie smutny i rozgoryczony.

Odnalazł niewyczerpane źródło. Płomień, który nigdy nie gaśnie: Miłość, bezwarunkowe uczucie. Bez litości, bez drogi odwrotu. Na wszystkie moce ziemi, on bezgranicznie kocha Sissi! Tęsknił nie tylko za jej silnym, dobrze zbudowanym ciałem, choć na myśl o nim ogień w jego ciele zaczynał mocniej płonąć. Nie, on pragnął też jej uśmiechu, ciepła w jej głosie i jej oczu, kiedy na niego patrzy. Kochał zarówno jej paplanie, jak i jej mądrość i głęboką powagę. Jej siłę, dzielność, jej absolutną lojalność w przyjaźni i koleżeństwo, to, jak świetnie się rozumieją, jak potrafią ze sobą współpracować...

Tabris westchnął tak ciężko, że zabrzmiało to bardziej jak szloch.

On przecież chciał tylko być człowiekiem. Ale czy mógł zawieść swoich przyjaciół, skoro jako Tabris może im pomóc?

Wiedział, że teraz zachowuje się nieostrożnie. Wybrał drogę na skróty na skrzydłach Tabrisa. Nie był jednak w stanie odbyć tej długiej podróży na północ, nie stać go było na bilet lotniczy, nie miał potrzebnych papierów. Mógł wsiąść do pociągu, ale na to też trzeba pieniędzy, a w końcu i tak dotrze się do granicznego przejścia. Ściągnąłby sobie prawdziwe kłopoty na głowę.

Znowu spróbował zatelefonować. Sissi nie odpowiadała. Nie, czekała kilka dni w

północnej Hiszpanii, chciała się przekonać, czy on tam wróci. Teraz jest w drodze na północ i w samolocie nie może używać telefonu komórkowego.

W takim razie postanowił zatelefonować do Unni.

I Był zaskoczony wiadomością, że Unni nie ma w domu. Tak, Unni wyjechała, by nawiązać kontakt z Jordim, poinformował jej ojciec. Natrafiła na jakiś ślad.

- Mam nadzieję, że nie wybrała się do Mołdowy - przestraszył się Tabris.

- Nie, tam już chyba zostało zrobione co trzeba. Nie, nie, teraz jest coś nowego.

Ojciec Unni nie mógł nic więcej powiedzieć, on nic więcej nie wiedział. Słyszał tylko coś o Hege i jakimś domu, nie było go, kiedy Unni wyjechała... Hege?

Atle Karlsrud wyjaśnił, że Hege to dziewczyna z paczki, do której Unni, Morten i Vesla należeli, zanim rycerze, a przede wszystkim Emma, przyczynili się do jej rozpadu. Hege była teraz w tym jakimś domu.

Najpierw dzwoniła do Antonia, więc może byłoby lepiej, żeby i Miguel tam zatelefonował, może Antonio ma bardziej szczegółowe informacje.

Miguel powiedział, że ma pozdrowienia dla Unni od Jordiego i dlatego bardzo by chciał się z nią skontaktować osobiście.

Atle Karlsrud ucieszył się, słysząc te słowa. Nie, Unni pojechała do tego domu, czy co to tam jest, wyjechała jakieś trzy godziny temu. Miała nadzieję, że tam uda się jej nawiązać kontakt z Jordim, ale nie wiadomo, w jaki sposób miałyby do tego dojść.

Unni jest przecież taką niepoprawną optymistką, obaj panowie byli tego samego zdania. No więc Miguel powinien natychmiast zadzwonić do Antonia.

Unni jak zwykle przeglądała gazety i w ogóle śledziła doniesienia mediów, ale nie znajdowała niczego, co by ją mogło doprowadzić do Jordiego.

O Mołdowie bowiem należało zapomnieć, to już *passé*.

Nieoczekiwanie odbyła dość dziwną rozmowę przez telefon. Dzwonił Antonio. Powiedział, że telefonowała do niego Hege, bliska hysterii, mówiła szeptem.

- Unni, ona potrzebuje pomocy - oznajmił Antonio. - A ja nie mogę się ruszyć z domu, muszę załatwić tyle spraw, jeśli chcę utrzymać swoją pracę w szpitalu. Poza tym powinienem częściej wyręczać Vesłę, bardzo ją zmęczyło opiekowanie się takim wrażliwym dzieckiem jak nasz synek - Ale mam nadzieję, że z małym Jordim wszystko w porządku?

- W każdym razie idzie ku dobremu. Tylko że on wymaga więcej opieki niż normalne dzieci.

Unni uśmiechnęła się pod nosem. „Normalne dzieci”. Owszem, świetnie rozumiała, że Antonio uważa swojego synka za cud natury. Ale z drugiej strony, chłopczyk urodził się za wcześnie, więc może on to ma na myśli.

- No dobrze, a co się stało Hege?

- No właśnie, chyba pamiętasz, że ona zamieszkała z pewnym mężczyzną, to dobry człowiek, miły dla Hege, poza tym zamożny.

- To ostatnie wcale nie gwarantuje, że jest się dobrym człowiekiem.

- Nie, ale teraz Hege telefonowała z jakiegoś pensjonatu czy zakładu leczniczego. Błagała mnie, jak mówiłem, szeptem, żebym przyjechał, bo tam coś jest nie tak jak powinno. Powtarzała, że muszę przyjechać. Chciałem się dowiedzieć czegoś więcej, ale powiedziała tylko, że są tam bardzo dziwni ludzie, wcale niepodobni do ludzi, na koniec pisnęła: O rany, znowu ktoś tu idzie! i na tym rozmowa się skończyła. Hege twierdzi, że nie może się stamtąd wydostać, bo drzwi są pozamykane.

- To brzmi groźnie - westchnęła Unni spokojnie, choć w głębi duszy była naprawdę poruszona opowieścią. Czy to mogłoby być coś dla Jordiego? Chciała dowiedzieć się czegoś więcej.

Antonio wyjaśnił, że dzwonił już do tego przyjaciela Hege i poznał tło całej sprawy. Historia okazała się banalna. Hege prowadziła wygodne życie, pewnego dnia jakaś znajoma zrobiła złośliwą uwagę, że ma chyba parę kilo za dużo. Była to zresztą prawda i zalana łzami Hege spytała swojego przyjaciela, czy on też tak uważa, a on, jak głupi, powiedział coś w

rodzaju, że owszem, przydałoby się trochę poodchudzać. To ją prawie załamało, kiedy więc natrafiła w gazecie na anons jakiegoś miejsca, które ma podobno być czystym marzeniem dla osób pragnących odzyskać formę i zrzucić nadwagę, natychmiast się tam zgłosiła. A przyjaciel jeszcze ją namawiał. I stać go było na to, choć przedsięwzięcie miało być kosztowne.

- Rozumiem, że to jakaś tak zwana farma zdrowia - wtrąciła Unni.

- Coś w tym rodzaju. Czy może zakład leczniczy. Unni, mogłabyś tam pojechać? Jako klientka albo pacjentka, czy jak oni to nazywają. Hege zasługuje, żeby się nią zająć.

- Z radością pojadę. Ale spróbuj tylko wspomnieć, że sama tego potrzebuję...

- Nie, no coś ty! Żadna kuracja nie może się równać z tym, czego doświadczyliśmy w czasie naszej ostatniej wyprawy do północnej Hiszpanii. Możesz jednak po, wiedzieć, że czujesz się wypalona, to teraz modne słowo. Że prowadziłaś stresujące życie, źle się odżywiałaś, I potrzebujesz oczyszczenia organizmu i uwolnienia się od obciążeń.

- Świetnie, mam tylko nadzieję, że nie zaproponują mi płukania jelit.

- Jestem pewien, że od tego zaczną. Nie pamiętam, jak się to miejsce nazywa, ale to znajdziesz w ogłoszeniu. W nazwie jest coś zielonego.

- Brzmi mętnie, ale spróbuję. Tylko jak przyjdą do ! mnie z lewatywą, to zmuszę ich, żeby sami sobie przepłukali jelita.

Unni wciąż nosiła gryfa Vasconii. Spytała teraz o radę, jak ma postąpić. Powinna była raczej zwrócić się do ' magicznego gryfa Asturii, ale on do niej nie należał. Cóż, „Miłość” też jest dobra.

Amulet bezpiecznie spoczywał w jej dłoni. Uznała to za znak akceptacji swoich planów.

Farma zdrowia nazywała się „Wieczna Zieleń” i zajmowała stary, rozległy dwór w lesistej okolicy, dwie godziny drogi od miasta. Zakład został pospiesznie skontrolowany i zaakceptowany przez służbę zdrowia. Gdy wiozący Unni samochód znajdował się w połowie drogi, zadzwonił telefon komórkowy. To Miguel. Unni była uszczęśliwiona. Raport o Jordim! Miguel dość pobieżnie opowiedział, co się stało, ale i tak Unni słuchała wstrząśnięta.

- Nie, nie, sama zrozumiałam, że nie ma sensu, bym jechała do Mołdowy, i tak przyjechałabym za późno - rzekła, kiedy Miguel skończył. Starła się trzymać telefon jak najdalej od swojego kierowcy, który próbował go jej wyrwać. - Jordiego tam już przecież nie ma.

- To prawda. I ja wiem, gdzie on jest teraz. Ale poprzednim razem bardzo dobrze wytropiłaś jego ślady. Znalazłaś może teraz coś nowego?

- Możliwe, że tak. Wszystko jest wprawdzie niejasne, ale mam przeczucie, że się nie mylę. Ej, ty, trzymaj ręce z daleka od mojego telefonu - powiedziała teatralnym szeptem do szofera. - Wiesz, ja rozumiem, że musiałeś się na jakiś czas znowu przemienić w Tabrisa. Bardzo nad tym ubolewam, ale to chyba było konieczne, no nie?

- Tak. Aczkolwiek będę się starał więcej tego nie robić.

- Nie zarzekaj się zawczasu, nigdy nic nie wiadomo. Dziękuję za pomoc, Miguelu!

- Daj tylko znać następnym razem, gdyby było trzeba, a natychmiast się zjawię! Jordi ma poważne trudności z poruszaniem się i kierowaniem wydarzeniami ze swojej sfery, potrzebuje ziemskiej istoty jako asystenta.

I ty możesz nim być? już miała spytać sarkastycznie, ale nie chciała go ranić.

- Tak jest, będziemy go wspierać - rzekła.

- No właśnie. Nie wiesz czasem, gdzie teraz jest Sissi? Unni roześmiała się.

- Oczywiście że wiem! Wciąż desperacko próbuje wyrwać mi z ręki telefon, bo chciałyby z tobą porozmawiać, i jeździ jak pijana od jednej krawędzi szosy do drugiej. Właśnie teraz mnie wiezie i robi co może, by ' rozbić samochód. No, w końcu go zatrzymała na poboczu, więc będziesz mógł z nią pogadać.

- Ale dlaczego ona nie dzwoniła?

- Z bardzo prozaicznej przyczyny, zapomniała naładować baterie. Dopiero co wróciła z Hiszpanii i oboje z Antoniem uznali, że ja nie powinnam jechać sama.

Zwłaszcza że nie umiem prowadzić samochodu. Sissi nawet nie zdążyła się rozpakować, wzięła co najpotrzebniejsze i ruszyłyśmy w drogę. Tak, tak, już jej oddaję telefon, a sama dyskretnie się wycofam do lasu. Nie będę wam przeszkadzać. Uważajcie tylko, żeby mój telefon się nie rozgrzał do białości, bo będzie mi jeszcze potrzebny. Powodzenia, Miguelu!

- Dziękuję, Unni!

Nie wspominał nic o tym, że przybył do Norwegii na skrzydłach jako Tabris.

Z daleka Unni słyszała radosną paplaninę Sissi w samochodzie. Ta rozmowa musiała uszczęśliwiać ich oboje.

Ukazał się dwór, pomalowany na żółto, z białymi ramami okien. Wyglądał na zadbane i zasobny. Proste, zwirowane alejki, po których nie miało się odwagi jeździć, żeby ich nie zniszczyć, świetnie utrzymane nawet w zimie trawniki, dodające otuchy czerwone dachówki...

Dziewczyny zatelefonowały z samochodu, informując, że są we dwie, i zapytały, czy znajdzie się też miejsce dla Sissi. Zbyt długo przesiadywała bez ruchu przed komputerem, łągała Unni jak najęta. Teraz Sissi potrzebuje trochę ruchu i rozrywki, dla zdrowia, naturalnie.

- Rany boskie, że też ludzie nie mają za grosz poczucia humoru - mruknęła, odkładając telefon. - Powiedzieli mi złośliwie, że nie prowadzą tu działalności rozrywkowej! Ale potem zapytali, ile masz lat, w końcu zdecydowali się cię przyjąć.

Sissi chichotała najbardziej z tego, że miałyby jakoby siedzieć bez ruchu.

Zostały przyjęte przez panią sztywną i bardzo starannie ubraną, która z reklamowym uśmiechem wskazała im pokoje oraz poinformowała, że lunch zostanie podany za pół godziny.

Od razu chciały spytać o Hege, Unni postanowiła jednak czekać. Na pewno spotkają się podczas lunchu.

Pokój Unni utrzymany był w czystych, chłodnych barwach. Indygo i biel. Sissi natomiast dostała pokój białoróżowy i skrzywiła się na jego widok. Sissi w różowym! No, niechby to Miguel zobaczył!

Unni wyjrzała przez okno. Na tyłach domu mieszkalnego znajdował się kryty basen, korty tenisowe i trawniki służące zapewne do treningów kondycyjnych.

Co mogło w tym wszystkim być nie tak? Niczego takiego nie dostrzegą.

Przebrała się i zeszła do jadalni. Zebrało się tam już sporo gości, długa kolejka posuwała się wzdłuż pięknie nakrytego i zastawionego stołu z mnóstwem pysznych, dietetycznych potraw. Dużo jarzyn i owoców, różnego rodzaju wykwintne sałatki. Bardzo apetycznie to wyglądało. Unni ze smutkiem wspominała ostatnie dni wyprawy do zapomnianej doliny. Tam jedynym pożywieniem były resztki czekolady i woda z potoku. Ale tam byli razem, Jordi, ona i wszyscy przyjaciele.

Jordi. On trwał niczym niegasnący nigdy płomień w jej sercu i na każdą myśl o nim ogarniała ją głęboka rozpacz. W gruncie rzeczy ta rozpacz ani na moment jej nie opuszczała.

Jordi powinien tutaj być. Może to sobie tylko wymyśliła, miała jednak wrażenie, że w

tym domu znajduje się kilka upiórów.

Rozejrzała się wokół i ściągnęła brwi. Same młode dziewczyny? Czy chłopcy i bardziej dojrzały mężczyźni też czasami nie potrzebują pobytu na takiej farmie? A gdzie się podziały starsze panie? Czyż to nie one właśnie stanowią najliczniejszą grupę użytkowników takich miejsc jak to? Mogłaby jednak przysiąc, że nie ma tu ani jednej osoby powyżej trzydziestego piątego roku życia. O, tam właśnie pojawił się mężczyzna, chłopak, ściśle biorąc, młody bożek o anielskim wyglądzie i jasnych włosach. Wszystkie dziewczyny w jadalni podnosiły wyżej głowy, a ich rozmowy stały się nagle głośnie, rozgorączkowane.

W chwilę później zobaczyła drugiego młodego mężczyznę. Ten też wyglądał wspaniale, miał oślepiający uśmiech, Unni zauważyła jednak, że niektóre z dziewcząt posmutniały i odwracają wzrok.

Aha, więc mamy tu do czynienia z drobnymi intrygami?

Nareszcie pokazała się Hege. Unni na jej widok rozjaśniła się, ale tamta w odpowiedzi dała jej rozpaczliwy znak, żeby nie podchodziła.

Ach, tak!

No cóż, w takim razie się nie znają. Sissi nie wiedziała, kim jest Hege, więc z nią nie było problemu. Unni zastanawiała się tylko, jak zdoła nawiązać kontakt z rzeczywiście dosyć pulchną koleżanką, ale odłożyła to na później. Tymczasem zabawi się po prostu w szpiega.

Nieźle zajęcie, nie ma co. Podniecające!

Musiała jednak przyznać, że atmosfera w domu jest dość spokojna.

Nagle zebrane dziewczyny jakby zamarły. Do sali wkroczyli najwyraźniej właściciele instytucji. W każdym razie ludzie prowadzący zakład. Z broszury, którą znalazła w swoim pokoju, Unni dowiedziała się, że to małżeństwo, pani i pan Falk.

Frapująca para, trzeba powiedzieć. Wiek między trzydzieści a czterdzieści lat, wytworzeni, wysportowani, mieli w sobie coś z supereleganckiej Niny i Fredrika, którzy znajdowali się na szczytach towarzyskich rankingów pod koniec lat sześćdziesiątych. Może Unni to porównanie przyszło do głowy dlatego, że tutejsza gospodyni miała włosy związane w koński ogon, musiała nosić to uczesanie zbyt długo, bo czoło było teraz przesadnie wysokie. A wiadomo przecież, że korzonki nad czołem słabną i obumierają, jeśli włosy są za mocno ściągnięte na tył głowy.

Oboje państwo byli pięknie opaleni i prezentowali szerokie uśmiechy. On nosił jasnoniebieski garnitur, z pewnością kolor został wybrany świadomie.

Byli to urodziwi, zadbani ludzie i stanowili kontrast dla dość pospolitych gości marzących, by na farmie uzyskać lepszy wygląd i szczuplejsze figury. Tak, bo nie ulega

wątpliwości, że wiele z nich powinno stracić bez szkody dla siebie nawet i kilkanaście kilogramów.

Młodzięcza para podeszła do Unni i powitała ją bardzo uprzejmie. Natychmiast poczuła do obojga zaufanie. Prosimi, by za pół godziny przysła do biura, gdzie wspólnie opracują program jej pobytu.

Przysła też Sissi i Unni ją przedstawiła. Tak, wiedzieli już o jej przyjeździe.

Oboje jednak unieśli brwi, widząc, jaka to wysportowana osoba. Zastanawiali się pewnie, co chciałaby poprawić dzięki pobytowi w zakładzie, ale witali ją również serdecznie, bez żadnych uwag.

- No więc, jak panie wiecie, prowadzimy tutaj sześciotygodniowe kuracje - powiedziała pani Birgit Falk, która siedziała przy biurku. Jej mąż dekoracyjnie zasiadł na krawędzi tegoż biurka.

Unni uniosła dłoń, żeby jej przerwać.

- Myślę, że dla mnie to trochę za długo. Jestem w ciąży i...

Gospodarze wymienili spojrzenia.

- W ciąży? - spytał mężczyzna. - Jak długo?

- Nieco ponad czwarty tydzień. Byłoby jednak dobrze, żebym nie brała udziału w bardziej męczących ćwiczeniach...

- Masz rację, droga Unni - rzekła Birgit Falk. - Tydzień to dla ciebie więcej niż dość. Jeśli jednak chodzi o Sissi...

- Ja przejdę całą kurację - wtrąciła Sissi stanowczo. - Muszę odzyskać formę. W ciągu ostatniego roku prowadziłam bardzo siedzący tryb życia.

I to było chyba największe kłamstwo, jakie Sissi wygłosiła w minionym roku. Była też wspaniale opalona, podobnie jak Unni. Hmm!

Po południu był trening na basenie. W nim Unni mogła uczestniczyć i tam w końcu zdołała, pośród śmiechów i chlapania wodą, zamienić parę słów z Hege.

Poinformowała przyjaciółkę, że Sissi również przyjechała, żeby jej pomóc, i zapytała, czego Hege się tak boi.

- Ktoś mnie śledzi - wyjaśniła tamta. - I ktoś coś ze mną robił, nie wiem, co to było, ale widziałam też rzeczy, których nie rozumiem. Chcę wracać do domu!

- Jak długo tu jesteś?

- Trzy tygodnie. Ale nie pozwalają mi wyjechać. Więcej nie zdążyły sobie powiedzieć.

Unni jednak była bardziej czujna, kręcąc się po tym z pozoru idyllicznym małym rajku.

Tylko gdzie się podziewa Jordi? Czyżby teraz intuicja kompletnie ją zawiodła? Może to miejsce wcale nie jest dla niego interesujące? Co więc ona ma tu do roboty?

No tak, ma pomagać Hege.

Ale przeciwko czemu? Najlepiej byłoby, niezależnie od okoliczności, zabrać ją stąd, ale czyż Hege nie mówiła, że wszystkie drzwi są pozamykane? A w ogrodzeniu na tyłach domu Unni widziała kilka stróżujących psów. Chyba niełatwo będzie wyrwać stąd koleżankę.

W każdym razie zorganizowanie ucieczki przedstawiało się jako przedsięwzięcie niemożliwe. Może uda się przemówić gospodarzom do rozsądku? Skoro gość nie chce kontynuować kuracji, to chyba trzeba mu pozwolić wyjechać?

Normalnie tak jest.

Unni zauważyła, że jeden z urodziwych młodych chłopców kokietuje Sissi.

Tam nic nie zwojujesz, mój przyjacielu, myślała. Nie wyobrażaj sobie, że mógłbyś konkurować z Miguelem!

Żeby tylko Jordi tu był!

- Znalazłaś sobie wielbiciela - uśmiechnęła się Unni, gdy razem z Sissi wracała z basenu korytarzem pomalowanym na zielono, żółto i białą, który prawdopodobnie miał przywodzić na myśl „wieczną zieleń”.

- Phi! - prychnęła Sissi. - Nie interesują mnie takie typy, trzymam ich przynajmniej na odległość wyciągniętego ramienia.

- Wierzę ci. Czy zostałaś już poddana krzyżowemu ogniowi pytań w biurze?

Rozmawiały cicho. Choć na korytarzu panował ożywiony ruch, nikt im nie przeszkadzał.

- O tak - potwierdziła Sissi. - Krzyżowy ogień pytań to dobre określenie. Musiałam im oddać wszystkie lekarstwa, jakie przy sobie miałam, choć miałam niewiele, żądali nawet pigułek antykoncepcyjnych. Pigułki antykoncepcyjne? - spytałam. - Musiałabym najpierw znaleźć sobie kochanka. Czy to znaczy, że go nie masz? - spytał pan Falk, jakoś tak z lekka uwodzicielsko, wiesz. O ile wiem, to nie - odparłam. Wtedy żona jakby się zaniepokoiła i powiedziała: - Wybacz, że jesteśmy trochę niedyskretni, ale środki antykoncepcyjne są wyjątkowo niebezpieczne w powiązaniu z kuracją, jaką masz tutaj przejść.

- Boże drogi! - zawołała Unni. - A cóż to za końska kuracja?

- Pewnie się niedługo przekonamy. Czy Hege to ta słodka biedaczka, która wygląda jak siedem nieszczęść i przez cały czas rozgląda się lęklonie dookoła siebie?

- Tak, o właśnie tam idzie. Nie ma odwagi ze mną rozmawiać, ale prosi o pomoc. Ona twierdzi, że tutaj dzieją się jakieś dziwne rzeczy, tylko wciąż jeszcze się nie dowiedziałam, o co chodzi. Moim zdaniem tu wszystko robi dosyć normalne wrażenie.

Młoda rudowłosa dziewczyna, która, jak słyszały, ma na imię Charlotte, przepychając się podeszła do nich i szturchnęła Sissi w ramię.

- Ty, trzymaj się z daleka od Paula, zrozumiałaś? Ty go nie obchodzisz, nic a nic. On tylko chce wzbudzić we mnie zazdrość.

- Przepraszam, ale kto to jest Paul?

- Nie udawaj głupszej, niż jesteś! Dobrze widziałam, jak się do niego kleiłaś na basenie.

- A, to ten! Problem polega raczej na tym, że to on kleił się do mnie. Możesz go sobie zatrzymać, mnie on nie interesuje.

- Nie wmawiaj mi! Myślisz, że nie widziałam, jak pływałaś niczym wariatka, żeby

tylko zwrócić na siebie uwagę? Ale widzisz, mężczyźni nie lubią muskularnych dziewczyn. I wiedz, że nie jesteś ani trochę kobieca!

Sissi skwitowała wszystko pogardliwym prychnięciem.

Za swoje zachowanie na basenie bardzo szybko musiała ponieść karę. Jeszcze przed obiadem. Birgit Falk podeszła do niej i powiedziała:

- Widziałam, jak pływasz. Przemknęłaś przez cały basen niczym rekin szykujący się do ataku. Jesteś pewna, że potrzebujesz naszej kuracji?

Niech to licho, zakłęła w duchu Sissi. Że też ja zawsze muszę się popisywać! Głośno zaś odparła naiwnym tonem:

- Och, to takie przyjemne móc się w końcu rozruszać. Ale teraz bolą mnie wszystkie mięśnie! Nie jestem w takiej formie jak dawniej, o nie.

Wyraz twarzy pani Falk świadczy! dobitnie, że nie bardzo miałyby ochotę spotkać Sissi w dawnej formie. Gospodyni tego domu sprawiała wrażenie zmęczonej, choć zachowywała się równie uprzejmie jak zawsze.

- Męczące jest prowadzenie pensjonatu? - spytała Sissi współczująco.

- Domu zdrowia - poprawiła Birgit Falk automatycznie. - Nie, właściwie nie tak bardzo, ale dziś przed południem byłam na wycieczce z grupą gości i chyba sforsowałam kolano. Miałam kontuzję i teraz od czasu do czasu solidnie mnie boli.

- Mogę się tym zająć, jeśli pani chce - ofiarowała się Sissi. - Dużo wiem o sportowych kontuzjach. Rozumie pani, nikt nie choruje tyle co sport... co sportmeni.

O mało nie powiedziała „sportowi obłąkańcy”, jak często określała samą siebie, ale zwątpiła, czy pani Falk zrozumie tego rodzaju poczucie humoru.

- Dziękuję, ale mamy lekarza, który da sobie z tym radę - rzekła Birgit Falk i poszła do innych gości.

Wielbiciel Sissi siedział z dwoma pozostałymi młodzieńcami, a wszyscy jak z obrazka, po prostu wymarzeni dla samotnych dziewcząt, które jedzą za dużo, bo w jedzeniu znajdują pociechę. A takich w pensjonacie było mnóstwo. W ciągu wieczoru Unni i Sissi rozmawiały z wieloma z nich i zauważyły, że w oczach świeżo tu przybyłych zapalają się gwiazdy na widok młodzieńców. Natomiast dziewczęta pełne urazy, jak Hege czy Charlotte, spędziły tu już więcej czasu.

I chłopcy wcale im nie ułatwiali sytuacji, bo zwracali uwagę tylko na te najnowsze. Te, które przebywały tu od dawna, kompletnie ignorowali. Chociaż jednak Unni przyjechała dopiero co, żaden na nią też uwagi nie zwrócił. I nie wiedziała, czy przyjmować to z ulgą, czy

raczej się obrazić. W gruncie rzeczy bawiła ją ta cała sprawa. Bardzo dobrze znała ten typ młodych mężczyzn. Takich, którzy wciąż szukają nowych zdobyczy, żeby tylko samym sobie potwierdzać własną uwodzicielską siłę. Z latami im to nie przechodzi, przeciwnie, staje się coraz gorsze. Podstarzali uwodziciele są nieznośni ze swoim przeterminowanym wdziękiem. Głos Sissi wyrwał Unni z zamyślenia nad ludzką naturą, jak to elegancko sama przed sobą określiła.

- Pewnie słyszałaś, że Gudrun i Pedro planują huczne wesele? Czekają tylko na Jordiego i Miguela.

- Och, to bardzo ładnie z ich strony - powiedziała Unni wzruszona. - Antonio i Vesla z tego samego powodu chcą odłożyć chrzciny swojego synka.

- No właśnie.

Umilkły. Obie wiedziały, że *deadline* wypada drugiego lutego. Jeśli do tego dnia Jordi się nie znajdzie, a Miguel nie zostanie uznany w tym samym czasie za pełnoprawnego człowieka, to nie będzie żadnego świętowania.

Sissi nie mogła zrobić nic. Cała odpowiedzialność spoczywała na barkach Miguela. Czy to on potrafi się uwolnić od cech demona. Ona mogła go jedynie wspierać, a i to z przyzwoitej odległości.

Unni miała więcej szans. Ona mogła szukać Jordiego.

Tylko gdzie on się podziewa? Bo chyba nie tutaj?

Wszystko wyglądało marnie, jakby już przegrali. Teraz trzeba się skoncentrować na Hege, która nawet nie ma odwagi się zbliżyć do dawnej przyjaciółki.

Beznadziejna sytuacja.

Unni zwróciła uwagę na jednego z trzech czarusiów. Zastanawiała się, co oni właściwie robią w tym zakładzie, jakie to kuracje tutaj przechodzą. Nie wyglądali na ludzi potrzebujących fizycznej odnowy. Dwóch z nich widziała już przedtem, trzeci był dla niej całkiem nowy. Uznała, że jego oczy są fascynujące, ale zarazem przerażające. Oczy węża, pomyślała. Ale, och, jakież pociągające! Pełne tęsknoty spojrzenia płynęły ku niemu z całej sali.

Unni odwróciła wzrok. Nie chciała być jedną z tych zauroczonych dziewczyn. Dla niej istniał wyłącznie Jordi.

Jordi wydostał się z mgły. Rozglądał się po okolicy. „Sklep Petersenów”, odczytał na starym drewnianym domu. Dawny sklep został teraz zamieniony na lokalne muzeum, tak przynajmniej wyglądało. Z szyldu w radosnych kolorach roześmiany chłopiec w czapce na bakier reklamował czekoladę firmy Freia.

- Jestem w Norwegii - wyszeptał Jordi oszołomiony. - Czy mimo wszystko będę mógł wrócić do domu?

- Nie, nie - odparła ubrana na biało kobieta, która go tutaj przyprowadziła. - Pójdiesz teraz prosto tą piękną drogą, aż znajdziesz się w pobliżu dawnego dworu. Tam masz do spełnienia kolejne zadanie.

- Które polega na czym?

- Znasz swoje generalne posłannictwo, masz mianowicie unieszkodliwiać upiory, które mogłyby wyrządzić krzywdę ludziom!

- A ci, których tutaj nie ma?

- Oni mogą mieć pretensje do siebie. To ich własna wina, że znaleźli się w świecie upiorów.

- Więc i moja również? - spytał Jordi agresywnie. - I rycerzy? I Urraki?

- Ani Urraca, ani rycerze nie są aniołami, dobrze o tym wiesz i chyba nigdy w to nie wierzyłeś. A jeśli chodzi o ciebie, to przecież już mówiłam, że myśmy ciebie wybrali. Dlatego że zostałeś dwukrotnie skazany na śmierć. Z powodu twojego dziedzictwa, z powodu przepowiedni Urraki, że tylko jeden brat wróci, oraz z powodu twojej dobroci rycerze wybrali cię na swojego wybawiciela.

Jordi uważał od dawna, że jest ofiarą wyjątkowo niesprawiedliwego losu, ale stłumił w sobie żal i pożegnał się ze swoją przewodniczką.

Jej ostatnie słowa brzmiały:

- Pamiętaj, że ci, którzy nie mogą umrzeć, widzą cię!

Pocieszające!

Pociechą jednak było to, że miał się znaleźć w tym samym miejscu co Unni. Gdziekolwiek by to miało być.

Był późny wieczór, kiedy Jordi dotarł do farmy zdrowia „Wieczna zieleń”, urządzonej w starym dworze. Długo stał i przyglądał się zabudowaniom. Świeciło się w hallu i kilku

oknach jednego skrzydła, poza tym budynki tonęły w ciemnościach.

Jak, na Boga uda mu się spotkać tutaj z Unni? W tym nieznanym miejscu. Co ona ma tu do roboty?

Moja ukochana Unni, czy ty wiesz, ile miłości mógłbym ci dać, gdybyśmy tylko mogli żyć w normalnych warunkach? Ja bym nie marnował naszego życia na nieustanne, codzienne wyznania uczuć i na wymaganie od ciebie tego samego, bo to jest w stanie uśmiercić każdy związek. Ale ja bym przy tobie był, dawał ci bez słów odczuć, że zawsze ty też możesz się do mnie zwracać. I oczywiście bym ci okazywał, bez zachęty z twojej strony, że cię nieustannie pragnę, że pragnę tego współgrania ciał i dusz, które wydaje się takie wyjątkowe nam i przypuszczalnie wszystkim zakochanym na całym świecie. Myślę, że nigdy nie ugasisz tego płomienia, który we mnie płonie. Będiesz mogła się przy nim ogrzewać, oparzyć się, ale w głębi duszy ja pozostanę ostrożny i czuły, i...

Rany boskie, cóż za banały wygaduję! Całe szczęście, że Unni tego nie słyszała, bo jakoś nie mogłem odnaleźć słów, które naprawdę chciałbym jej powiedzieć! Moje serce jest tak przepelnione uczuciem do niej, że staję się płaczliwy jak wszyscy zakochani idioci. Dlaczego człowiekowi tak trudno znaleźć najpiękniejsze słowa świata dla ukochanej istoty? Akurat kiedy się ich potrzebuje, to ich nie ma. A może one już wszystkie, zostały wypowiedziane? Zużyte przemieniły się w banał? Czy nie ma żadnych nowych słów dla tych, którzy chcieliby wyrazić swoją miłość? Jordi nie zauważył, że zaczął padać śnieg, tak bardzo był zły na siebie za to, że nie potrafi wymyśleć niczego inteligentnego. Płatków śniegu nie dostrzegał, bo przenikały przezeń, jakby był powietrzem, nie topniały na jego skórze. A przecież jest tutaj, choć znajduje się w innym świecie. To nie jest świat płatków śniegu, nie jest świat Unni. Stał i patrzył, jak ziemia z wolna pokrywa się cienką warstwą bieli, której nocny przymrozek pozwala tu zostać. Rano, gdy wszędzie słońce, śnieg szybko stopnieje.

Na podjeździe ukazał się samochód i Jordi podskoczył. Za moment światła samochodu padną na niego i jeśli za kierownicą siedzi upiór, z Jordim będzie źle. Stał bez ruchu. Ucieczka na nic by się nie zdała. Miał za mało czasu.

Światło omiotło jego postać. Kierowca jednak nie zahamował, jechał prosto ku wejściu bez jakiegokolwiek znaku, że widzi Jordiego, który szybko pobiegł za nim w stronę wejścia. Czekał, aż mężczyzna w średnim wieku wyjmie z samochodu swoje rzeczy, zamknie pojazd i podejdzie do drzwi.

Kiedy je otworzył, Jordi wemknął się do środka.

Miguel napotykał przeszkody.

Kiedy stanął już na norweskiej ziemi, wyszła mu na spotkanie Urraca z pięcioma rycerzami. Twarze mieli mroczne i ponure.

- Tabrisie z rodu dżinów siódmej godziny - zaczęła Urraca surowo. - Zbyt często korzystasz ze swoich zdolności demona. Nie tak miałeś się zachowywać.

- Wiem, piękna królowo - powiedział Tabris z poczuciem winy. - Ale...

- Tym sposobem nigdy nie staniesz się człowiekiem, nie rozumiesz tego - przerwał mu stary don Federico.

Tabris - czy też, ściśle biorąc, Miguel, ponieważ po locie zdążył już przybrać znowu ludzką postać - przerwał mu dumnie:

- Ja odłożyłem na bok moje własne pragnienia i potrzeby, bo chciałem pomóc swojemu najlepszemu przyjacielowi, Jordiemu, powrócić do życia, zanim jego czas przeminie. Właśnie nadeszła zima, wkrótce będzie nowy rok, a wtedy jemu zostanie już tylko miesiąc.

- Tego nie musisz nam przypominać, demonie - powiedział cierpko przodek Jordiego, don Ramiro. - My podzielamy twój lęk o niego. Właśnie dlatego chcieliśmy cię napomnieć, byś był przy nim teraz, ale do tego ty musisz pohamować swoją ochotę wybierania drogi na skróty pod postacią Tabrisa. Jeśli nie możesz go wspierać jako człowiek imieniem Miguel, to w ogóle nie zasługujesz na to, by człowiekiem zostać. Don Galindo wtrącił:

- Pamiętaj, że jesteś jedynym demonem na ziemi, jeśli pominąć te, które należą do sfer niebiańskich, bo te demony nigdy nie będą dla ciebie towarzystwem.

- I niech ci się nie wydaje, że masz niezmierzoną ilość czasu na to, by stać się człowiekiem - powiedział don Sebastian. - Czas próby dla ciebie również mija w dniu trzydziestych urodzin twojego przyjaciela Jordiego. Po tym terminie nie będziesz już więcej mógł się przemienić w Miguela.

- I utracisz swoją ukochaną Sissi - zakończył don Garcia.

Miguel zacisnął zęby.

- Będę się stosował do waszych rad - powiedział krótko. - Musicie jednak przyznać, że jest ze mnie więcej pożytku, kiedy pomagam moim przyjaciołom jako Tabris.

- Wiemy o tym. I szanujemy to, że dobro Jordiego stawiałeś ponad swoim - oznajmiła Urraca. - Masz wiele cech przemawiających na twoją korzyść. A więc odszukaj Unni, która

znalazła się w niebezpieczeństwie, ale korzystaj ze swoich zdolności demona jedynie w przypadkach absolutnej konieczności! A za taką konieczność nie uważa się wygody latania ani lądowanie na ziemi w ciemnościach, by zdobyć jedzenie.

A więc i to oni wiedzą! Ale czy wiedzą też, że Sissi znajduje się w tym samym miejscu co Unni? Tego nie odważył się powiedzieć nawet szeptem. Miał przecież rozkaz trzymania się od niej z daleka.

Urraca pożegnała się.

- I nadaj trochę tempa wydarzeniom. My też pragniemy doprowadzić do końca tę ziemską wędrówkę i zaznać wreszcie trochę spokoju. Egzystencja upiorów nie jest do pozazdroszczenia, zapytaj o to swojego przyjaciela Jordiego!

- Ja wiem, mogłem ją trochę poznać. Dziękuję wam za rady i upomnienia! Zrobię, co będę mógł.

Wszyscy pochylili głowy w bardzo krótkim pożegnaniu i odjechali.

Tak więc wszyscy czworo byli w drodze na spotkanie, za którym tak strasznie tęsknili, ale do którego nie mieli prawa: Unni i Jordi, Sissi i Tabris. Oddzielały ich światy, chociaż przez jakiś czas mogli żyć blisko siebie.

Unni ocknęła się ze snu. Spojrzała na zegarek. Spała tylko parę minut.

Sen był niezwykle piękny, złościła się więc, że skończył się tak szybko. Śniło jej się, że była razem z Jordim, patrzyli sobie nawzajem w oczy i śmiali czule z czegoś, o czym rozmawiali, nie pamiętała już o czym.

Unni nastawiła uszu. Nie była sama w pokoju.

To bardzo nieprzyjemne. Zresztą nie, to nie było nieprzyjemne, raczej miłe. Ale co to takiego?

Dopiero przyjechała do tego dworu, nawet nie wiedziała, jak zapalić lampę. Bezskutecznie przesuwiała rękę po ścianie nad nocnym stolikiem.

Uspokoila się. To coś w jej pokoju nie było niebezpieczne, nie miała co do tego wątpliwości, przekonywała ją o tym jej niezwykła intuicja, zdolność przeczuwania wydarzeń. To coś życzyło jej dobrze.

Czy to zwierzę? Może pies albo kot?

Nie, to raczej coś ludzkiego.

Mimo to gotowa była przysiąc, że pokój jest pusty.

Dla widzących, owszem.

Urraca? Rycerze?

Tabris?

Nie. Żadne z nich.

Tak blisko. I tak nieskończenie daleko.

Fizycznie blisko. Tuż przy jej łóżku.

Unni usiadła na posłaniu.

- Jordi?

Jeśli szepczący głos może drzeć, to teraz tak właśnie było.

- Jordi, czy to ty? Daj mi jakiś znak!

Ale on nie mógł tego zrobić. Należał do innej sfery.

Nie, Jordi nie mógł jej dotknąć. Położył dłonie na twarzy Unni, musiał je trzymać jakieś pół milimetra od jej skóry. Pocałował ją, niczym piórkiem musnął wargami jej usta, ale dotknąć ukochanej nie mógł. Ostrożnie pieścił jej ramiona, w dalszym ciągu ich nie dotykając, a gdyby ona wykonała gwałtowny ruch, to jego ręka przeszłaby przez nią na wylot.

Unni uniosła dłoń, by sprawdzić, co to jest. Jordi, nie zastanawiając się nad tym, co

robi, ujął tę dłoń. Ale było tak, jakby złapał powietrze.

Jeszcze raz Jordiego ogarnęło przygnębienie z tego powodu, że znajduje się w innej sferze. Co może dziać w tym stanie?

- Ja wiem, że ty tutaj jesteś - wyszeptała Unni. - Wyczuwam twoją bliskość. Zdawało mi się, że teraz, kiedy tak bardzo potrzebuję swoich paranormalnych zdolności, to one się pojawią i będę mogła cię zobaczyć. Ale nie. Jestem taka zwyczajna, że to aż boli! Bądź jednak pewien, że sprowadzę cię do dawnego życia, to nie może tak zostać. Ty naprawdę nie zasłużyłeś na taki los. Zwłaszcza ty, który nieustannie myślisz o innych. Ty, który jesteś najlepszym człowiekiem na świecie. Ja cię przywrócę temu światu!

Jordi nie mógł odpowiedzieć. Szeptał gorące słowa o tym, jak bardzo ją kocha i jak tęskni, by być z nią razem, ale ona nie mogła go słyszeć.

To niesprawiedliwy podział ról, myślał. On przez cały czas mógł widzieć i słyszeć ludzi żyjących, ale sam był dla nich niczym powietrze.

- Zaraz wrócę - powiedział, choć Unni go nie słyszała. - Muszę się tylko rozejrzeć trochę po tym domu. Muszę się dowiedzieć, dlaczego ty tutaj jesteś. Zobaczymy się niedługo, kochanie! Było to bardzo optymistyczne pożegnanie.

Jordi dokonał odkrycia, które powinien był zrobić i już w Pajęcznej Wsi. A może po prostu nie pomyślał, że może przechodzić przez zamknięte drzwi? Nie pomyślał o tym, bo tam wszystko było jednym wielkim, trudnym do opanowania chaosem, o którym chciał jak najszybciej zapomnieć.

Wyszedł na korytarz oświetlony dyskretnymi lampkami. Przystanął i zaczął nasłuchiwać.

Najpierw wyglądało na to, że cały dom jest uśpiony, wkrótce jednak dotarł do niego krótki, skrzekliwy dźwięk i Jordi ruszył w jego stronę.

Jestem tutaj po to, by unieszkodliwić upiora, myślał. Trzeba jednak zachować ostrożność. Nie mogę pozwolić, by upiór mnie zobaczył.

Wszystkie drzwi w korytarzu miały nazwy, a obok na szyldzie wyryty był kwiatek. Dzwoneczki. Maki. Fiołki. Słonecznik i tak dalej. To wszystko sypialnie, podobnie jak Unni, domyślił się. Unni miała na drzwiach margerytkę.

Kiedy mijał drzwi z prymulką, dotarły do niego ze środka jakieś głosy. Jeden męski, perswadujący, a drugi gniewny:

- Ale ja nie jestem chora, to po co mam zażywać jakieś tabletki?

To skański dialekt! Co do tego nie może być wątpliwości. Czysty, nieskalany skański. Czy Sissi jest tu także? Oczywiście, to przecież jej głos!

Mężczyzna coś mamrotał, a Sissi wykrzyknęła:

- Dodatek do jedzenia? W środku nocy? Wynoś się stąd albo cię wyrzucę!

Drzwi otworzyły się i na korytarz wyszedł młody, przystojny mężczyzna. Nie był to mężczyzna z samochodu. I ten wyglądał na rozwścieczonego.

Ale Jordiego nie zauważył.

Tak więc Jordi spotkał już dwóch mężczyzn. Żaden z nich nie był upiorem.

Ten mężczyzna szedł w stronę, w którą zamierzał też pójść Jordi, postanowił więc posuwać się za nim.

Znaleźli się w innym skrzydle budynku. W tym z oświetlonymi oknami.

I rzeczywiście na korytarz padło światło, kiedy młody mężczyzna otworzył drzwi do jakiegoś pokoju. Zaraz znowu je za sobą zamknął. Jordi nie odważył się wejść do środka, został na korytarzu i nasłuchiwał.

Młody mężczyzna tłumaczył, że on i Paul zrezygnowali z tej szwedzkiej amazonki. Bardzo rozsądnie, pomyślał Jordi. Sissi potrafiłaby wyrzucić nawet boksera wagi ciężkiej, gdyby było trzeba.

Odpowiedział kobiecie głos:

- Nic nie szkodzi. Po południu pojawił się tu szalenie przystojny młodzieniec. Połączymy tych dwoje, to się da zrobić, zobaczysz, Adrian.

Jordi zastanawiał się. Mężczyzna w samochodzie nie był specjalnie pociągający, raczej całkiem pospolity.

Na drzwiach znajdowała się tabliczka z napisem: „Pomieszczenia prywatne”. I było to rzeczywiście jedyne wejście do tego skrzydła.

Musi to być wielkie prywatne mieszkanie, stwierdził Jordi. Był strasznie ciekawy.

Młody człowiek wyszedł i udał się do głównej części budynku. Jordi słyszał, że w głębi prywatnego mieszkania otworzyły się jakieś drzwi, słyszał oddalające się kroki. Szarpany wątpliwościami przeniknął do środka. Odetchnął z ulgą, bo pomieszczenie zastał puste. Był to raczej hall z przylegającym biurem. A może recepcja. Otwarte drzwi prowadziły do kolejnego, niewielkiego przedpokoju, bardziej komfortowego, musiało to być wejście do prywatnych apartamentów.

Ale te drugie drzwi... ?

„Nieupoważnionym wstęp wzbroniony” - przeczytał bardzo oficjalny zakaz.

Jordi się wahał. Czy powinien? Byłby absolutnie bezbronny, gdyby wszedł do niewłaściwego pomieszczenia i zderzył się z upiorem, który przecież musi się znajdować w zakładzie. Bo zewsząd pachnie niebezpieczeństwem i sprzecznymi z naturą zjawiskami,

choć z pozoru wszystko wygląda normalnie.

To, co właśnie usłyszał, jeszcze pogłębiało jak najgorsze przecucia. Coś jest nie tak, ale co? Wiedział, że znalazł się na pierwszym piętrze. Z tego co zapamiętał, gdy wchodził do domu, z głównej części budynku nie było wejścia na pierwsze piętro. Więc gdzieś tutaj muszą się znajdować schody.

Jordi pochylił się i badał drzwi, ustalił, że są zamknięte na klucz. Nie szkodzi, tym akurat nie musiał się martwić i ucieszył się, że pochodzi z innej sfery.

No trudno, wóz albo przewóz, nie ma co się dłużej zastanawiać - przeniknął przez drzwi, przygotowany jednak na natychmiastową rejteradę, gdyby było trzeba.

Nowy korytarz. I tak jak przypuszczał, schody na dół. Ale było też coś więcej...

Jakieś otwarte drzwi wiodły na galerię. Mógł na niej stanąć i spoglądać w dół na niższe piętro. Paliło się tam światło, a ludzie chodzili pośpiesznie tam i z powrotem.

Ukryty na wszelki wypadek w cieniu widział na dole ni mniej, ni więcej tylko salę operacyjną. Na stole leżała młoda dziewczyna w narkozie. Pielęgniarka właśnie ją okryła i zdjęła aparaturę usypiającą.

Lekarz skończył pracę, wyprostował się. Jordi rozpoznał w nim mężczyznę, który przyjechał samochodem.

- No to tyle - powiedział lekarz. - Czy dziś wieczór mamy coś jeszcze?

- Nie - odpowiedział mężczyzna stojący pod galerijką tak, że Jordi nie mógł go widzieć. - Chyba że wzięlibyśmy tę nową. Ma na imię Unni czy jakoś tak.

- Zaczekamy do przyszłego tygodnia - wtrąciła pielęgniarka. - Wtedy rezultat będzie lepszy.

- No jasne, tak będzie lepiej - przytaknął mężczyzna pod galerią.

Lekarz szykował się do opuszczenia sali.

- Resztę załatwicie już sami, jak zwykle?

- Jak zwykle - uśmiechnęła się pielęgniarka, a Jordiemu na widok tego jej uśmiechu zimny dreszcz przebiegł po plecach.

Nie chciał dłużej na to patrzeć, pośpiesznie wrócił do pokoju Unni. Spała teraz, więc Jordi usiadł w wygodnym fotelu, podciągnął w górę kolana, objął je rękami.

Siedział tak aż do rana i dzwonił zębami z przerażenia i bezsiły. Czekał, aż nastanie świt i na korytarzu, a także poza domem, rozlegną się głosy.

Wtedy pojawiła się ubrana na białą kobieta z koszykiem jedzenia. Dziękował jej szczerze i zapytał, co powinien zrobić, żeby oczyścić ten zakład.

- Dzisiaj możesz odpoczywać - rzekła. - Tymczasem bowiem wszyscy są bezpieczni, a

to co się tu dzieje akurat ciebie nie dotyczy, nie wchodzi w skład twojego zadania.

- Ale ja przecież nie mogę spać...

Uciszyła go i kazała wypić szklankę mleka. Posłuchał, choć do końca z oporu nie zrezygnował. Kobieta zaczekała, aż zje swój chleb.

Gdy skończył, usiadł przy Unni i patrzył na nią, tak bardzo chciał ją ochraniać, żeby nikt, nikt mu jej nie odebrał ani nie zrobił jej nic złego. O tak wiele rzeczy chciał zapytać kobietę w bieli, ale nie miał siły.

Skulił się więc i zasnął pod wpływem proszku, który strażniczka wsypała mu do mleka. Wiedziała bowiem, że ostatnimi czasy naprawdę nie pozwalał sobie na odpoczynek, a przed akcją jego umysł musi być sprawny, zmysły wypoczęte.

Przyjrzała mu się uważnie i westchnęła. To niesprawiedliwe, żeby taka na wskroś dobra istota jak Jordi musiała przez to wszystko przechodzić, ale nie mieli innego wyjścia.

Otrzymasz pomoc, myślała. Jeszcze o tym nie wiesz, ale otrzymasz naprawdę wspaniałą pomoc. Bo masz rację, że w tej sytuacji sam wiele nie zdziałasz.

Sny Jordiego dotyczyły akurat tej samej sprawy: jedyna możliwość powrotu do świata żywych zależy od tego, czy zdoła unieszkodliwić upiora.

W żaden inny sposób nie mógł też uchronić Unni przed groźącym jej niebezpieczeństwem, czającym się w mrokach ponad tym idyllicznym miejscem.

W jego snach nie było Sissi, a z obecności Hege nie zdawał sobie sprawy. Nie wiedział też, że to z jej powodu Sissi i Unni wdały się w tę całą aferę jako rzekome uczestniczki kuracji.

Kobieta w bieli położyła mu na stoliku trzy przedmioty i odeszła.

Podczas gdy Jordi spoczywał w głębokim śnie, którego tak bardzo potrzebował, w domu działy się rzeczy, które - dokładnie tak, jak to powiedziała strażniczka - jego nie dotyczyły.

Przy śniadaniu pani Falk przedstawiła pensjonariuszom plan dnia. Sissi stwierdziła, że gospodyni wygląda dużo lepiej niż poprzedniego dnia. Oczy znowu lśniły energią i siłą, a jej mąż także był w znakomitym humorze.

- Dzisiaj będziemy ćwiczyć metody przeżycia - poinformowała Birgit Falk. - Będzie to bardzo surowy program, uczestnicy dostaną minimalne ilości jedzenia, będziecie bowiem ćwiczyć wytrzymałość i odporność nerwową.

Unni i Sissi spoglądały po sobie. Akurat w tych dziedzinach były znakomicie wytrenowane.

- Unni nie bierze udziału w ćwiczeniach - oznajmił kierownik kursu. - I ty, Justyno, też nie. Wy obie możecie sobie popływać na basenie, a potem będziecie pomagać w kuchni.

Justyna, która pochodziła z Polski, miała za trzy dni opuścić dom, wszyscy o tym wiedzieli. Widocznie już przedtem przeszła ów kurs przeżycia.

W grupie brakowało jednej osoby, niejakiej Marit. Na pytanie Sissi pani Falk odpowiedziała, że Marit nie czuje się dziś najlepiej, zresztą ona, podobnie jak Justyna, za trzy dni wyjeżdża.

Pani Falk mówiła dalej:

- Wszystkie pozostałe osoby dzielą się na grupy. Sissi i Miguel, czy już się przywitaliście?

- Nie - odpowiedzieli unisono.

- Pójdziecie ze mną. Mój mąż zajmie się Hege i Charlotte. Paul, ty weźmiesz...

I tak dalej. Paul i blondyn Adrian byli najwyraźniej stałymi instruktorami na farmie. Wężowe Oko, jak go Sissi I nazywała, wyglądał na gościa, wiedział jednak tyle, że pomyślała, iż chyba pomaga obsłudze od czasu do czasu. W każdym razie teraz też przydzielono mu jakąś rolę.

Przed wymarszem każdy dostał butelkę „specjalnego soku leczniczego”. Sissi uznała, że jest raczej gorzki niż zdrowy.

Miguel podszedł się przywitać i tylko oni wiedzieli o tym, że uścisk dłoni był taki gorący. Starali się wyglądać możliwie obojętnie, ale nie było to łatwe.

Nie mamy do tego prawa, mówiły ich oczy, a jednak jak to cudownie być znowu razem!

Grupy były różnej wielkości. Paul i Adrian odpowiadali za dość liczną gromadkę dziewcząt, natomiast Wężowe Oko kierował tylko jedną, która przyjechała na farmę dzień przed Unni i Sissi. Może nie miał wielkiego doświadczenia, więc wprawiał się przy minimalnych obciążeniach.

Powietrze było chłodne, musieli się ubrać ciepło. Jak najmniej bagażu, szczerze powiedziaławszy, tylko koc wełniany, który niósł Miguel. Sissi miała jakieś nieprzyjemne skojarzenia, że będą realizować głupawy program typu Robinson Crusoe.

Skojarzenie stało się jeszcze silniejsze, gdy po długim marszu przez las zatrzymali się nad jeziorem. Przy brzegu czekała łódź.

- Znowu mam problemy z kolanem - oznajmiła Birgit Falk. - Wygląda na to, że będę musiała wrócić. Powinnam zostać z wami na wyspie, którą stąd widać, ale chyba będę mogła tylko popłynąć tam, a potem wrócę na ląd. Bardzo mi przykro, ale naprawdę źle się czuję.

Cóż mogli powiedzieć, tylko tyle, że nie powinna się nimi przejmować, poradzą sobie sami. Miguel wiosłował do wyspy, tam oboje z Sissi wyszli na ląd. Pani Falk wyjaśniła[^] że znajduje się tam niewielki szałas, w którym mogą przenocować. Rano ktoś po nich przybędzie, Jeszcze raz zapewniła, jak jej przykro, że nie może z nimi zostać, ale cierpi tak bardzo, że musi jak najszybciej wracać do domu, żeby zażyć coś przeciwbólowego.

Chociaż pani Falk wciąż powtarzała, jak bardzo cierpi, to nie wyglądała na taką wyczerpaną jak poprzedniego dnia. Udzieliła im jeszcze jakichś instrukcji, po czym wsiadła do łodzi i powiosłowała w stronę lądu.

Długo patrzyli w ślad za nią.

- Nie podoba mi się to - westchnęła Sissi. - Cała ta historia z bólem kolana wygląda na zaaranżowaną.

- Owszem. I jak ja teraz zdołam pomóc Jordiemu?

- Jordiemu?

- Tak, on gdzieś tu jest, nie wiem tylko gdzie.

- Wczoraj wieczorem Unni coś wspominała, że wyczuwa jego obecność. Ale on przecież znajduje się w innej sferze!

- Przybył tutaj, by unieszkodliwić upióra, - Tutaj?

- Tak powiedziała Urraca i rycerze. To oni skierowali mnie do tego dworu.

- Pięknie z ich strony, nie ma co! - wybuchnęła Sissi. Czy myślisz, że i ja zostałam tu ulokowana z tego samego powodu? Myślisz, że ten upiór żywi jakieś podejrzenia?

- Pojęcia nie mam. Sissi potrząsała głową.

- Boże, Boże, i jak my teraz będziemy ochraniać Unni? I Hege?

Długo rozważali sprawę coraz bardziej zmartwieni. Zwłaszcza o Unni. Jeśli ten upiór wie, że Sissi i Miguel są niebezpieczni, to na Unni również skieruje podejrzenia.

- Miguel - powiedziała nagle Sissi. - Jak myślisz, co ' może się znajdować w tym zdrowotnym napoju?

- Sam się zastanawiam. Może viagra?

- W każdym razie coś w tym rodzaju. Jak myślisz, o co im chodzi?

- Naprawdę nie wiem - odparł Miguel. - Jak my sobie teraz poradzimy?

Oboje odczuwali coraz większe pożądanie. To niby nic nadzwyczajnego między nimi, ale tym razem było ono nienaturalnie silne.

- Sissi, ja myślę, że oni nas podejrzewają. Specjalnie nas tu zostawili samych.

- Tak, ale dlaczego? Co to jest za instytucja? Prawie same dziewczyny. A ci chłopcy urodziwi jak zjawiska.

- Może służą do rozrodu?

- Hege powiedziała coś w tym rodzaju. Że coś z nią robili. I... Miguel, wiesz, co ja usłyszałam dzisiaj rano? Jedna z dziewczyn powiedziała do drugiej: Tutaj to chyba nie tylko Unni jest w ciąży. Już dawno przekroczyłam swój termin i nie mam miesiączki. Ja też - mruknęła ta druga. Więcej nie usłyszałam, ale obie te dziewczyny są tu już jakiś czas. Ponad miesiąc, jak mi się zdaje.

Nie znajdowali odpowiedzi na tę zagadkę.

- Z nami nie musieli się uciekać do takich sposobów - bąknął Miguel bezradnie.

- Nie, my potrafimy tęsknić za sobą bez żadnych środków - zgodziła się Sissi.

- Zniszczyłem naszą przyszłość.

- Co masz na myśli?

- Za długo byłem Tabrisem. Wciąż mam zbyt długą drogę do przebycia, by stać się człowiekiem. I wiem, że nie będę w stanie powstrzymać swojej osobowości demona, jeśli teraz... zbliżymy się do siebie.

Sissi pojmowała, na czym polega niebezpieczeństwo.

- Rozumiem, że bywałeś zmuszony wracać do postaci demona - powiedziała.

- Tak Na przykład po to, by ratować Jordiego. Nie musiałem jednak korzystać ze skrzydeł w drodze do Norwegii. Zrobiłem jeszcze kilka niekoniecznie niezbędnych rzeczy. Rycerze i Urraca upominali mnie z tego powodu niezwykle surowo. Bardzo mi przykro, Sissi.

- Mnie też, choć świetnie cię rozumiem. Teraz powinniśmy jednak zachować

przytomność umysłu. Może spróbujemy znaleźć ten szalas?

- Dobrze.

Opuścili brzeg jeziora i weszli do gęstego lasu. Przez chwilę posuwali się w milczeniu, Sissi po śladach Miguela. Och, był tak niezdolnie pociągający! Czowała gorąco w całym ciele, jego bliskość doprowadzała ją do szaleństwa. Z podniecenia krew pulsowała mocno, a kiedy zobaczyła, jak on zaciska pięści, jakie ma napięte mięśnie ramion, zrozumiała, że on również musi z sobą toczyć walkę, by nie stracić panowania.

- Wiesz, mam propozycję - powiedziała cicho. - Jak sądzisz, jak długo ten paskudny środek może działać?

- Nie mam pojęcia. Jeśli jest podobny do alkoholu, to po jakichś dwunastu godzinach wyparuje z organizmu. A co to za propozycja?

- Że ich oszukamy. Że rozdzielimy się, dopóki każde z nas się nie uspokoi. Bo dłużej tak nie może być. Pożądam cię każdą komórką ciała.

- A ja to myślisz, że co? Tak jest, zróbmy, jak mówisz. Patrz, to chyba ten szalas, chociaż to bardziej przypomina domek letniskowy.

Dom był bardzo ładny, pomalowany na czerwono, z białymi futrynami, zadbane. Drzwi nie zamknięte, więc weszli do środka.

Dom miał tylko jedno pomieszczenie, żadnej kuchni, w ogóle żadnych możliwości gotowania. Ogromne łóżko zajmowało prawie całą przestrzeń.

Popatrzyli na siebie. To samo podejrzenie mieniło się w oczach obojga. Cóż to za zasadzka?

Miguel podszedł do Sissi, pogłaskał ją po ramieniu, dysząc ciężko.

- Ja wychodzę - rzekł pospiesznie. - Ty zostań tutaj. I zamknij drzwi na klucz.

Od środka dało się to zrobić.

- Wróć do mnie, kiedy już ta diabelska mieszanina wyparuje z ciebie - powiedziała zdyszana, bo jego dotknięcie podziałało na nią jak porażenie prądem. - Kocham cię, Miguelu!

- A ja ciebie, wiesz o tym. Zobaczymy się niedługo. Może dopiero za wiele godzin, pomyślała Sissi.

Kiedy światło dnia zaczęło gasnąć, Sissi usłyszała na zewnątrz głos Miguela.

- Nie śpisz? Usiadła na posłaniu.

- Nie śpię - powiedziała. - I chyba już się uwolniłam od trucizny.

- Ja także. Mogę wejść?

- Oczywiście. Jesteś oczekiwany. Co tam oczekiwany, wytęskniony!

Miguel wszedł do izby.

O rany, pomyślała Sissi przerażona. Ciemnieje mi w oczach, jak tylko go zobaczę. Nie mogę na to pozwolić. Środek przestał wprawdzie działać, ale niewiele to pomogło.

- Spałaś? - spytał.

- Tak. Trochę.

- Ja też. No i we śnie mój organizm trochę się sam uwolnił od napięcia.

- Mój też - przyznała zakłopotana. - Śniłeś mi się.

- Ty mnie też. Leżałem zawinięty w koc na tej zmarzniętej ziemi i rozgrzewałem się myślą o tobie. Ale powiem ci, że to przez cały czas był Miguel. Nie Tabris. Myślę, że możemy to uznać za spory krok naprzód.

- Absolutnie tak. To dobrze wróży na przyszłość. Nie mieli się gdzie podziąć w ciasnym pomieszczeniu, mogli jedynie siedzieć na łóżku, ale jednak dosyć daleko od siebie.

Tęsknota kładła się między nimi jak rozgrzane powietrze. Byli niczym dwa elektryczne bieguny, które iskrzą przy dotknięciu.

- Teraz przynajmniej otrząsnęliśmy się z podniecenia - powiedziała Sissi optymistycznie. - Dalej będzie już łatwiej.

On przyglądał jej się długo.

- Nie, w moim przypadku tak dobrze nie jest - rzekł zgnębiony.

- Ja wiem, niestety - westchnęła.

Miguel odsunął się od niej jeszcze bardziej.

- Sissi, teraz ja mam propozycję.

- Mów.

- Czy moglibyśmy zapomnieć o nas i naszej bolesnej miłości, a pomyśleć o innych?

- Jasne! O Unni. O Hege. O Jordim. I sądzę, że o wielu tutejszych pensjonariuszkach. Powinniśmy pomóc Jordiemu znaleźć upiora. Noc może być niebezpieczna, chociaż nie wiemy, w jaki sposób. Ale jesteśmy uwięzieni tutaj, nie dopłyniemy do brzegu wpływ w

takiej zimnej wodzie.

- Mamy wyjście.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Musielibyśmy jednak poświęcić bardzo wiele.

- Tak, ale co jest ważniejsze? Sissi westchnęła.

- Chyba los tamtych.

Słońce zaszło. Na wyspie było mokro i zimno. Grudniowa mgła kładła się nad brzegami.

- Nie możemy spędzić tutaj nocy - powiedziała Sissi z żalem.

- Nie możemy, bo zmysły Tabrisa i tak sprowadziłyby na nas katastrofę.

Milczał przez chwilę.

- Pójdiesz ze mną?

- Zawsze!

Wyszli z przeklętego domku, do którego żadne nie żywiło cieplejszych uczuć. Miguel przemienił się w Tabrisa i podniósł Sissi. Skuliła się w jego ramionach niczym lalka, a budzące grozę szpony trzymały ją mocno, choć bardzo ostrożnie.

Bezgłośnie, niczym potężny nietoperz, Tabris poleciał na stały ląd.

Unni i Justyna spędziły na basenie około godziny. Teraz siedziały na ławce, by wyschnąć. Czekala je praca w kuchni.

- Cieszysz się, że jedziesz do domu? - spytała Unni.

- I tak, i nie - odpowiedziała ciemnowłosa dziewczyna o nieco ostrych rysach. - Obawiam się kontroli lekarskiej, bo podobno jest bardzo dokładna. Niektóre dziewczyny są po niej bardzo zmęczone, ale to naturalnie budujące, że oni się tak o nas troszczą. Te sześć tygodni tutaj porządnie dało mi się we znaki. Wiesz, że ja nawet straciłam miesiączkę?

- Ja też kiedyś doświadczyłam czegoś podobnego - powiedziała Unni z ożywieniem. - Zbyt wielki wysiłek wcale nie jest dobry.

- To prawda. Ale doktor pomoże mi odzyskać normalne funkcjonowanie, Birgit mi to obiecała. No a poza tym będzie mi brakować niektórych stąd - westchnęła Justyna z głębi serca.

- Kogo mianowicie?

- Adriana. On i ja z początku wiele ze sobą przebywaliśmy. Właściwie to byliśmy... - Przerwała i siedząc, w milczeniu machała nogami. - Ale panu Falkowi się to nie podobało. Ja myślę, że on był zazdrosny. Zresztą instruktorzy nie mogą się za bardzo zaprzyjaźniać z pacjentkami. Więc przestaliśmy się spotykać. Ja jednak wiem, że Adrian jest we mnie zakochany, jego spojrzenia o tym świadczą.

- Adrian... To ten blondyn, prawda?

- Tak, to on - odparła Justyna w rozmarzeniu.

Unni raczej wątpiła w jego miłość do polskiej dziewczyny. Widziała go w bardzo dwuznacznej sytuacji z jedną z nowo przybyłych.

- Prosiłam, żebym mogła tutaj zamieszkać i pracować w kuchni, tylko że oni mają już pod dostatkiem wolontariuszek, więc mnie nie przyjęli - westchnęła Justyna. - Ale wrócę na wiosnę. On jest fantastycznym kochankiem.

Unni zawsze czuła się nieco skrępowana takimi osobistymi zwierzeniami.

- Zaraz przyjdzie po nas ktoś z kuchni - powiedziała. - Jesteś gotowa?

Dwór pograżał się powoli w mroku. W kuchni trwała praca, poza tym jednak dom był przeważnie pusty. Większość mieszkańców wyszła na ćwiczenia.

Jordi nie pojmował, co się stało. Z jakiegoś powodu musiał się zdrzemnąć i teraz miał

poczucie winy. Unni nie było.

Na dworze zaczynało się ściemniać. Zaczyna się ściemniać? A przecież był wczesny ranek, kiedy zasiadł w tym fotelu i... dostał jedzenie i picie od ubranej na biało kobiety. Czy ona... dała mu coś na sen?

Tak chyba musiało być. Ale dlaczego?

Zrobiło mu się zimno ze strachu. Gdzie się podziała Unni? Na pewno była tutaj, bo pod sufitem wciąż paliło się światło. Jordi wstał, by wyjść i poszukać ukochanej.

Jego wzrok padł na stół.

- Nie - wyszeptał z niedowierzaniem. - Cóż to mój anioł stróż ofiarował mi tym razem? Jak wiele oni ode mnie oczekują?

Schował trzy przedmioty za doniczką na parapecie, bo zbyt niewygodnie byłoby mu chodzić z nimi po domu. Unni ich z pewnością nie zobaczy, ale nie chciał, by przypadkiem znalazł je upiór.

Jordi przemyczał się po wielkim domu, dręczony troską o Unni. Gdzie się podziewają wszyscy ludzie?

W pewnej chwili usłyszał głosy z kuchni i tam skierował swoje kroki. Stał w kącie tak, by nikt go nie zauważył. Tak, to głos Unni. Odetchnął z ulgą, głos ukochanej brzmiał całkiem zwyczajnie, rozmawiała z jakąś inną dziewczyną imieniem Justyna.

Nie widział ich, jedynie słyszał. Rozmowa była najzupełniej niewinna, aż nieoczekiwanie Unni dała wyraz swojemu zatroskaniu o Hege. To ona też tu jest? zdziwił się Jordi. Zaraz potem Unni powiedziała, że Sissi jest z pewnością bezpieczna w towarzystwie Miguela. Jordi, słysząc to, nie posiadał się ze zdziwienia. Również owa Justyna nie pojmowała, dlaczego Unni w ogóle jest o kogoś niespokojna. Tu przecież jest tak bezpiecznie! I dodała, że Hege z Charlotte zostały pewnie zamknięte w stodole pod lasem, bo pan Falk tam właśnie zabiera swoje dziewczyny, kiedy mają nocować poza domem. Zawsze je tam zamyka. Justyna po sześciu tygodniach spędzonych w zakładzie знаła wszystkie zwyczaje. Pan Falk wrócił, rzecz jasna, do domu.

Jordi poczuł, że powinien coś zrobić. Unni będzie przez jakiś czas bezpieczna w towarzystwie personelu kuchni. Domyślił się, że ona, Sissi i Miguel są tutaj właśnie dlatego, że niepokoją się o Hege. Postanowił więc wypuścić dziewczyny ze stodoły. Trzeba to zrobić jak najszybciej.

Dopiero na miejscu opadły go wątpliwości. Zapomniał, że on sam nie potrafi otworzyć żadnych drzwi ani nie może poprosić Hege o informacje, co się właściwie dzieje w tym dworze.

No niestety, przecucia miał jak najgorsze. Trzeba tylko znaleźć ich potwierdzenie.

Birgit Falk od pierwszego wejrzenia nie lubiła tych dwóch nowych, Unni i Sissi. Miała wrażenie, że za czymś węszą. Teraz jedną uwięziła na wyspie, ale Unni zaufać nie mogła.

Upewniła się, czy dziewczyna siedzi w kuchni i skrobie marchew w towarzystwie obierającej ziemniaki Justyny, którą już właściwie mieli z głowy.

Gospodyni zakładu przejrzała się w lustrze, poprawiła mocno związane włosy, pokręciła lekko biodrami. Kształty miała perfekcyjne, twarz bez jednej zmarszczki. Ostrożnie weszła po schodach na górę, by zakraść się do pokoju Unni.

Przeszukała jej rzeczy osobiste, nie znajdując niczego szczególnego.

Dopiero kiedy podeszła do okna, by wyjrzeć na dwór, a potem odwróciła się znowu w stronę pokoju, zauważyła coś za doniczką.

Odskoczyła przerażona, z twarzą wykrzywioną strachem, chwyciła się za serce jak na najlepszym niemym filmie i walczyła z całych sił, by stłumić krzyk.

Gdyby Unni to widziała, powiedziałaaby z pewnością, że pani niepotrzebnie się tak wysiła, bo na niemych filmach i tak żadnego krzyku nie słyhać, pojawia się natomiast ciemna tablica z białymi zawijasami i napisem w rodzaju: „Ooooooch”, czemu towarzyszy odpowiednia muzyka.

Birgit Falk, zataczając się, wybiegła z pokoju. W hallu na dole spotkała swojego męża i histerycznie uczepliła się jego ramienia.

- Sprowadź doktora! Szybko! Mamy w domu śmiertelnego wroga!

- Kogo?

- Unni Karlsrud. On musi się nią zająć. Natychmiast!

- Doktor właśnie do nas jedzie. Ale czy nie mógłby najpierw... ?

- Owszem. Nie możemy stracić tej szansy. A potem... będzie z nią koniec.

Jordi spostrzegł swoją pomyłkę dopiero, kiedy biegł przez dziedziniec w stronę stodoły. I tak nie byłoby tam z niego żadnego pożytku, zatrzymał się więc i chciał wracać, pilnować Unni oraz szukać upiora.

Wtedy zobaczył wychodzących z lasu dwoje ludzi.

Rozmawiali ze sobą z ożywieniem i wielką serdecznością... Rozpoznawał te głosy. Sissi i Miguel!

Dzięki ci, dobry Boże. Tabris może mu pomóc. Tabris go widzi, może przekazać jego instrukcje, zrozumie wszystko, cokolwiek Jordi powie lub zrobi.

Pobiegł do nich, wołając oboje po imieniu.

- Sissi, Miguelu!

Skoro się nie zatrzymali, szli dalej, nie przerywając rozmowy, to próbował wołać Tabrisa.

Żadnej reakcji.

On mnie nie widzi, myślał Jordi wstrząśnięty do gruntu. Dlaczego? Przecież w Pajęczej Wsi mnie widział? Czyżby już na tyle stał się człowiekiem?

Nie, to musi być inny powód.

Jordi był bliski rozpacz, czuł się taki potwornie bezradny w tej sferze, w której przyszło mu działać, bez najmniejszego kontaktu z jej mieszkańcami. Jak w tej sytuacji zdoła komukolwiek pomóc? Jego jedyną szansą było unieszkodliwienie upiora, który się rozgościł we dworze. A to może zabrać sporo czasu, Jordi może zostać odkryty, może też zostać pokonany.

Zdesperowany podbiegł do Miguela, stanął mu na drodze.

- Jestem tutaj, musisz mnie zobaczyć, jesteś moją jedyną szansą! Unni potrafi wyczuć, że znajduję się w pobliżu, a ty nie możesz?

Miguel się nie zatrzymał, dosłownie przeszedł przez Jordiego. Potem jednak stanął, marszcząc brwi, ale po chwili znowu ruszył dalej. Jordi biegał dookoła niego, zmusił go, by przeszedł przezeń jeszcze raz. Teraz Miguel się zatrzymał. Jordi jeszcze raz powtórzył eksperyment.

- Sissi - powiedział Miguel. - Ja coś tu wyczuwam. Ona też przystanąła.

- Co takiego?

- Nie wiem. Myślę, że... to może być Jordi.

- Tak! Tak! - krzyczał Jordi na skraju rozpacz.

- No, nie wiem - rzekł Miguel z wahaniem.

- Tabris! Tabris, czy ty mnie słyszysz?

Miguel stał bez ruchu. Sissi ścisnęła jego dłoń, chciała pomóc, ale nie mogła.

- Zrozum, Sissi, współpracowałem z Jordim w tej potwornej Pajęczej Wsi, ponieważ strażniczka przejścia między sferami dała mi prawo przenikania do świata tych, którzy nie mogą umrzeć...

Ach tak, to dlatego? dziwił się Jordi.

- Teraz nie mogę nawiązać z nim kontaktu - mówił dalej Miguel. - Mam jednak bardzo silne wrażenie, że on tutaj jest.

- Ale jak się z nim porozumiesz? - zastanawiała się Sissi. Miguel długo zwlekał z odpowiedzią.

- Istnieje pewna możliwość. Ale ona oddała ciebie i mnie od siebie.

- Skoro to miałyby pomóc Jordiemu - wyszeptła Sissi z podobnym wahaniem.

- Ja nie chcę cię stracić. Nie mogę cię stracić - skarżył się Miguel zrozpaczony.

- Ja też tego nie chcę. Ale musimy mu pomóc. Przynajmniej spróbować.

Miguel wyjął mały amulecik. Jeszcze jeden, pomyślała Sissi.

- To zupełnie co innego - uspokoił ją. - Istnieje pewien demon, którego mogę wezwać za pomocą tej pieczęci. Jest to demon słońca. Zwierzęciem słońca jest lew. Wszystkie inne demony są strasznie przywiązane do ziemi.

Położył amulet na kamieniu i wypowiedział jakieś słowa. Następnie oparł na nim dłoń i rzekł głośno:

- Jordi, jeśli jesteś tutaj, to połóż rękę na tym kamieniu! Nie wiem, czy zdołasz zobaczyć pieczęć, kiedy ją cofnę dłoń, ale spróbuj!

Jordi dostrzegł, że na kamieniu coś lekko błyszczy, coś niewyraźnego, ale zrobił, co mu Miguel kazał. Natychmiast Miguel przycisnął jego rękę swoją.

- Widzę cię, Jordi, przyjacielu! - zawołał uradowany. - Dziękuję, Marbas, demonie słońca!

A więc nareszcie będą mogli współpracować, wszyscy troje. Jordi posłał ich do stodoły, prosił jednak, by jak najprędzej wrócili. Miał nieprzyjemne uczucie, że coś się dzieje w domu.

- Ja też mam takie uczucie - potwierdził Miguel. - Chodź, Sissi.

Tymczasem do dworu przybył lekarz. Małżonkowie Falk poinformowali go o sytuacji. Słuchał ich z grymasem na twarzy.

- Jestem w waszych rękach, to prawda. Ale do morderstwa się nie posunę.

- Nie muszę ci przypominać, że nie byłoby to twoje pierwsze - wypaliła pani Falk.

Zaczerwienił się po korzonki włosów i westchnął głęboko. Spoglądał na nią ponuro spod oka.

- No to przyprowadź pacjentkę - burknął.

Birgit zabrała Unni z kuchni pod pozorem badania lekarskiego.

- Twój stan, rozumiesz - uśmiechała się przyjaźnie. - Chcemy wiedzieć, w jakich zajęciach będziesz mogła brać udział.

Unni stapała za nią trochę zdziwiona. Birgit poszła po swój fartuch pielęgniarki, bo innej pielęgniarki we dworze nie było.

Doktor przygotowywał narzędzia.

Kiedy jednak poproszono Unni, by się rozebrała i położyła na stole operacyjnym w tej tajemniczej sali szpitalnej, kiedy zobaczyła strzykawkę w rękach doktora, przeraziła się. Chciała ją znieczulić? Co oni zamierzają? Aborcję?

Lekarz był kompletnie zaskoczony jej atakiem. Złapała jego rękę ze strzykawką i skierowała igłę ku niemu. Wbiła ją wprawdzie krzywo, igła przesunęła się po skórze, ale jednak trochę cieczy dostało się do mięśnia. I to wystarczyło.

Birgit Falk zaplątała się w rękaw fartucha i nie mogła się uwolnić, Unni zerwała się ze stołu i uciekła.

W drzwiach zderzyła się z panem Falkiem, Birgit wrzeszczała:

- Łap ją, Arne!

Unni jednak była szybsza, pchnęła go z całej siły tak, że się zachwiał, i zanim zdołał odzyskać równowagę, jej już nie było.

Biegła po schodach na górę, potem korytarzem i dalej z głównego budynku, a gospodarz wciąż deptał jej po piętach. Miała zamiar zamknąć się w swoim pokoju...

Ale zanim tam dobiegła, przydarzyło się coś nieoczekiwanego.

Arne Falk stał i wytrzeszczał oczy. Jego piękna opalona twarz ponad błękitnym swetrem zrobiła się sino - szara.

Unni nic nie widziała, po prostu biegła. Drzwi do jej pokoju były zamknięte, może nawet na klucz, jak zdoła się tam schronić?

Słyszała, że Arne Falk krzyczy za nią gardłowo na korytarzu, i odwróciła się. Widziała, że się zatrzymał, widziała, że jego urodziwą twarz wykrzywia śmiertelne przerażenie, na jej oczach zmieniał się w coś nieludzkiego, czego nawet nie potrafiłaby nazwać. Widziała, jak jest przyciskany do ściany i przebijany czymś... osunął się na podłogę z kołkiem wbitym w piersi. Skąd się wziął ten kołek?

Zmiany dokonywały się błyskawicznie. Twarz robiła się coraz bardziej pomarszczona, włosy rzadsze i siwe, teraz na podłodze leżał stary człowiek. Został wciągnięty do pustego pokoju i tam ułożony przez inną istotę ze świata upiórów.

- Jordi - wyszeptala Unni uszczęśliwiona. - Ja wiedziałam, że tu jesteś!

Nie mógł z nią rozmawiać, nie mógł jej powiedzieć, że powinna się schować. Ale na szczęście przybiegł Miguel, a razem z nim trzy dziewczyny: Sissi, Hege i Charlotte.

- Miguel! - krzyknął Jordi. - Powiedz im, że są jeszcze dwa upiory. Ja dostałem trzy osikowe kołki.

Słyszeli stukot obcasów od strony sali operacyjnej. Miguel dopadł do drzwi sali i zamknął je na klucz. Po tamtej stronie rozległo się wściekłe łomotanie.

Miguel wrócił.

- Birgit Falk jest drugim upiorem. Ale kim jest trzeci?

- Może lekarz? - wykrztusiła Hege przerażona. Charlotte bez słowa wytrzeszczała oczy.

- Nie - powiedziała Unni. - I mam nadzieję, że go nie zabiłam. Trucizną przeznaczoną dla mnie. Uff, to potworne. Nie, ja sędzę, że to raczej Wężowe Oko.

Wyjaśniła im, kogo ma na myśli.

- To on! - wykrzyknęła Sissi. - Pozwólcie mi się nim zająć!

- Nie! - zaprotestował Miguel.

- Owszem, ja wiem, gdzie on jest. W saunie. Tam można od zewnątrz zamknąć drzwi w zamku. Tylko przekręć klucz, a wy zajmiecie się najgorszym, to znaczy panią tego domu - zawołała i pobiegła.

Za drzwiami sali operacyjnej w dalszym ciągu słychać było dudnienie. Potem jednak wszystko ucichło.

- Czy to naprawdę są wampiry? - spytała Unni z niedowierzaniem.

- Nie - odparł Miguel. - Otrzymaliśmy raport Hege, to chyba jakiś rodzaj wilkołaków, chociaż nie zmieniają się w wilki. Ale to upiory. No właśnie, Jordi kiwa głową, mamy rację.

Sissi wróciła.

- Wężowe Oko siedzi pod kluczem. To zagrożenie na razie jest opanowane.

- Bardzo dobrze, Sissi - powiedział Jordi, a Miguel przetłumaczył jego słowa.

Unni stała zamyślona.

- Wilkołaki i ludzie - niedźwiedzie znani są z tego, że wrywają z kobiet płody.

Za ich plecami rozległ się głos Birgit Falk. Najwyraźniej znalazła inne wyjście.

- Ale my to robimy o wiele ładniej i skuteczniej, prawda? - rzekła z nienawiścią.

Sissi spojrzała na jej napiętą twarz, jakby podciągniętą w górę przez zaczesane do tyłu włosy, i rzekła chłodno:

- Wiem, wy pozwalacie, by młode dziewczyny były uwodzone przez urodziwych młodzieńców” i żeby zachodziły z nimi w ciążę.

Pani Falk krzyknęła histerycznie:

- A co wy tutaj robicie? Kto wam pomógł wydostać się z wyspy?

- Nikt - odparła Sissi. - W takich sprawach radzimy sobie sami.

W to pani nie mogła uwierzyć. Bez łodzi? TM dodatku suchą nogą, nie zamoczywszy nawet ubrań? Sissi mówiła dalej:

- Po sześciu tygodniach usuwacie ich płody i dzięki nim pozostajecie młodzi i piękni. W bliższe szczegóły nie chcę się wdawać. Ale nasza Hege, tu obecna, widziała to i owo na farmie.

Oczy gospodyni wpatrywały się w Hege z nienawiścią.

- Przestanieś węszyć, ty smarkulo? Ale teraz będzie z tobą źle. Mój mąż się tobą zajmie!

Hege pobiegła do hallu, ścigana przez Birgit Falk. Reszta gnała za nimi.

Miguel krzyczał ze schodów:

- Została pani sama, pani Falk. Małżonek pani leży na górze w jednym z pokoiów, przebity osikowym kołkiem, i sprawia wrażenie potwornie starego.

- Nie! - wrzasnęła Birgit. Szok spowodował, że nie mogła oddychać. - Nie! Nie! - rzeziła.

Miguel zszedł na dół.

- Tak właśnie jest. A wasz kompan został zamknięty w saunie.

Birgit czyniła wysiłki, by się opanować.

- Nigdzie nie został zamknięty! Stoi za wami! Odwrócili się. Tylko Miguel widział, że Jordi zaraz zostanie zaatakowany, ale napastnikiem nie jest Wężowe Oko.

Jordi walczył przeciwko trzeciemu upirowi, który próbował wyrwać mu z rąk drewniany kołek, sam jednak za blisko nie podchodził. Była to bardzo trudna walka, upiór się nie dawał i Jordi musiał angażować wszystkie siły, by trzymać go na odległość.

- Paul! - zawyła Charlotte i rzuciła się ku niemu. - Ratuj mnie, oni powariowali! Paul, ja ci pomogę, wiesz o rym. Wiem, że mnie kochasz, i ja kocham ciebie. Ale co ty robisz? Dlaczego tak machasz rękami?

- Zjeżdżaj stąd, ty mała kurewko! - syknął Paul, a o jego twarzy można byłoby powiedzieć wszystko tylko nie to, że jest piękna i dobra. Straciła całkiem jakikolwiek ludzki wygląd, dziewczyna patrzyła na potwora. Charlotte przestała panować nad sytuacją, zaczęła się cofać i wpadła w ramiona Birgit Falk, która złapała ją uradowana i potraktowała jako zakładniczkę.

- Jeden ruch z waszej strony i ona umrze! A skąd się wzięła ta bestia? - wrzasnęła przerażona na widok Jordiego, który dla niej był, rzecz jasna, widzialny.

Przyjaciele Jordiego stali jak wrośnięci w ziemię.

Obawiali się o los Charlotte, nie wiedzieli, co zamierza Paul, który dziwnie wymachiwał rękami.

- Miguel, zrób coś - wyszeptała Sissi. - Tylko ty możesz teraz pomóc Jordiemu.

Domyślała się bowiem, co się dzieje.

- Masz rację, ukochana - rzekł Miguel. - Wybacz mi! Sissi miała łzy w oczach.

- Musisz wierzyć, że nasz czas jeszcze nadejdzie. Mam taką nadzieję.

I oto w pomieszczeniu zjawił się Tabris. Ogromny, górujący nad wszystkimi, jak prawdziwy duch otchłani, którym przecież wciąż pozostawał. Nawet Unni była wstrząśnięta ogromem jego postaci, choć przecież widziała go już wiele razy. Birgit Falk w przerażeniu cofnęła się, wypuściła z objęć Charlotte, która natychmiast wybiegła z domu w ciemność nocy. Hege zemdląła i leżała na podłodze w hallu. Sissi zamknęła drzwi prowadzące do rejonu kuchennego. To nie są sprawy dla wrażliwych dusz.

Tabris złapał Paula za kark, spokojnie uniósł w górę i oparł go o ścianę tak, by Jordi mógł wbić w niego palik. Potem ruszyli w pościg za Birgit Falk, która jak szalona pędziła ku drzwiom wyjściowym, tam jednak została zatrzymana przez Sissi, dziewczyna z całej siły zdzieliła ją w nos.

O, fe, jakież to niekobiece, pomyślała. Wiedziała jednak, że Miguel lubi jej siłę i dzielność. W przeciwieństwie do ziemskich mężczyzn.

Pani Falk była twarda. Dla Jordiego, oczywiście, to nic wielkiego dać sobie z nią radę, ale jednak trzymała się życia z potworną zaciekłością.

Tabris stał i przyglądał się jej.

- To najbardziej obrzydliwy trup, jakiego widziałem.

Gospodyni otworzyła starcze oczy.

- Nie - wysyczała. - Jestem piękna. Wiecznie młoda i piękna.

- Nic podobnego, jesteś wstrętna!

Unni znalazła lusterko i pochyliła się nad nią. Ostatni upiór skonał w szoku.

Stali więc oto nad trzema bardzo starymi zwłokami, których istnienie będą musieli jakoś wytłumaczyć odnośnym władzom. Nie wiedzieli, skąd się te potwory wzięły, nie wiedzieli, co robić ani co powiedzieć.

Na szczęście lekarz odzyskał przytomność po lekkim uśpieniu i obiecał zlikwidować trupy w miejscowym krematorium. Był wdzięczny wybawcom. Od dawna rozumiał, że na farmie nie wszystko jest jak trzeba, ponieważ musiał wykonywać niezliczone ilości aborcji, ale małżonkowie Falk mieli na niego takie papiery, że w żaden sposób nie mógł się im wymknąć.

Przyjaciele nie zagłębiali się w szczegóły, dziękowali mu tylko za pomoc.

Doktor obiecał też, że wykona aborcje wszystkim ciężarnym dziewczynom, które będą tego chciały, i zajmie się likwidacją „Wiecznej Zieleni”, nikomu nie wspominając o upiorach.

To było bardzo na rękę grupie przyjaciół.

Tabris wyszedł przez wielką bramę dworu i zniknął w ciemnościach. Doktor nawet nie zdążył go zauważyć. Natomiast wciąż miał wrażenie, że w hallu znajduje się jeszcze jedna osoba, ale nikogo nie widział. Nikt nie zauważył, kiedy Tabris, jedyny łącznik Jordiego ze światem żywych, zniknął.

Unni jednak wiedziała, że Jordi jest przy niej, wyczuwała go wszystkimi nerwami.

CZEŚĆ SZÓSTA
BŁOGOSŁAWIONE DNI
POWSZEDNIE

Tabris cierpiał. Usiadł na wzniesieniu na tyłach dworu i okrył ciało skrzydłami. Skulił się i czuł, jak bezradność rozrasta się w całym jego ciele, od góry w dół, jakby się miał zapaść pod ziemię.

Wszystko jest stracone. Wszystko! Siedział tak bardzo długo, aż w końcu usłyszał w pobliżu ukochany głos.

- Tabris, ja wiem, że ty tutaj jesteś. Tego spiczastego kamienia przedtem tu nie widziałam. Nie wygłupiaj się, czy mogłabym się trochę ogrzać w cieple?

Otworzył przed Sissi skrzydła. Ona wsunęła się pod nie.

- Jesteś taki przygnębiony, mój ukochany. Czy coś się stało?

Ciężki oddech przez chwilę poruszał potężną piersią.

- Nie mogę się ponownie zmienić w Miguela. Sissi poczuła, że robi jej się gorąco ze strachu.

- Co?

- Zbyt często lekceważyłem upomnienia Urraki. Korzystałem ze zdolności Tabrisa. I chodziłem na skróty, by nawiązać kontakt z Jordim. Łamałem zakazy strażniczek bramy między sferami. W końcu one straciły cierpliwość.

- Ale przecież to wszystko robiłeś w najlepszej wierze. Dla szlachetnych celów!

- Oczywiście. Ale to nie ma znaczenia. To są potężne i władcze kobiety. Żaden demon nie powinien się przeciwstawiać temu, co mówią.

Długo siedzieli w zupełnym milczeniu. Sissi nie mogła się ruszyć, pogrążona w rozpacz. Myślała o jego przyszłości, jak to się wszystko ułoży, jest przecież jedynym demonem na ziemi i będzie tak żył tysiące lat...

Tabris uniósł głowę.

- Ktoś tu idzie. To do mnie. Wracaj do domu, Sissi, zobaczymy się później.

Wypuścił ją z objęć i wstał. Sissi nie powiedziała nic, ucisnęła tylko jego szponiastą rękę i poszła. Tabris zobaczył zbliżającą się kobietę w bieli.

- Demonie nocy rozjaśnianej światłem dnia. Muszę przyznać, że naprawdę umiesz się posługiwać swoją wolną wolą!

- Czyniłem to z konieczności - próbował się bronić Tabris.

Nie odpowiedziała mu na to, przywołała go tylko gestem.

Gdy Sissi dotarła do drzwi wejściowych głównego budynku, w końcu się mimo

wszystko obejrzała. Zdążyła jeszcze zobaczyć sylwetkę Tabrisa, która jednak w tej samej chwili zniknęła. Jakby rozplynęła się w powietrzu.

Jordi nie wiedział, jak się znalazł w miejscu na granicy sfer. Nagle po prostu stwierdził, że tam jest.

Wysokie, przestronne sklepienia zdawały się wisieć w powietrzu. Może zresztą stały, nie miał pewności.

Było to miejsce nieprzyjemne, ponure, niezziemskie, wydawało się nierzeczywiste, jakby wypełnione rozedrganym powietrzem.

Kobieta w bieli podeszła do niego, a on próbował ukryć gniew i rozgoryczenie. Płonęła w nim nienawiść do świata tych, którzy nie mogą umrzeć. Czy nie mógłby być przy Unni, nawet jeśli ona go nie widzi?

- Dokąd teraz mam się udać, czego tym razem ode mnie zażądacie?

Uciszyła go ruchem ręki.

- Stój i patrz!

Z mgły wyłonił się potężny Tabris.

- Witaj - wysyczał Jordi cierpko. - Dlaczego nie pojawiaasz się jako Miguel?

- Ten czas mam za sobą - odparł demon i Jordi spostrzegł, jaki jest przybity.

Nie zdążyli długo porozmawiać, bo coś się zaczęło dziać. Ręce kobiety odgarnęły na bok mgłę i otworzył się nowy korytarz ze sklepieniami. Dała Tabrisowi i Jordiemu znak, by tam poszli.

Widok przed nimi stawał się coraz jaśniejszy i jaśniejszy, w końcu ukazała się grupa kobiet i mężczyzn w bieli. Zbliżali się do Jordiego i Tabrisa.

Kobieta, która im przewodziła, powiedziała:

- Jordi Vargasie, twój czas w świecie tych, którzy nie mogą umrzeć, dobiegł końca. Znajdujesz się teraz w sferze jasnych istot, tych, które nadzorują życie ludzi na ziemi.

Przyglądał mu się mężczyzna o długich, jasnych włosach i przyjaznym spojrzeniu.

- Twoje życie było nieznośnie trudne, a mimo to zawsze miałeś na myśli głównie dobro innych. Koniec twojego życia był gorzki i niesprawiedliwy, ale tylko ty jeden posiadałeś zdolności, którymi mogliśmy się posłużyć, by zrobić porządek z kilkoma potwornymi bestiami, szalejącymi na świecie. Dziękujemy ci za pomoc.

Jordi w milczeniu pochylał głowę. Jakaś kobieta uśmiechnęła się do niego.

- Zastanawiasz się, co teraz jeszcze może cię spotkać?

Nikt dwukrotnie, nie wychodzi ze sfery upiorów. Nikt nigdy tego nie zrobił. Ale właściwie istnieje jedna możliwość. Bowiem przyszedłeś tu na naszych warunkach. Ktoś

trzeci wtrącił:

- Zasłużyłeś sobie na to, by pożyć trochę normalnym, ludzkim życiem. Dlatego będziesz mógł teraz wrócić do swojego świata.

Jordi poczuł dławienie w gardle. Nagle wszystko stało się takie cudowne.

- Dziękuję - wykrztusił z trudem. Chciał natychmiast biec do Unni, ale przecież nie znał drogi. Musiał więc czekać.

Istoty w bieli zwróciły się do jego olbrzymiego towarzysza.

- Bardzo jesteś nieposłuszny. I masz niezłomną wolę, dżinie z rodu Nuctemeron. Obserwowaliśmy jednak twoją walkę i twoją lojalność wobec ziemskich przyjaciół. Zmienimy twój status, ale jednego będziesz się musiał wyrzec.

- Czego? - spytał Tabris cichutko, poblady pod swoją budzącą grozę maską.

- Wszystkich, ale to naprawdę wszystkich zdolności demona.

Uśmiechnął się z ulgą.

- Już się przestraszyłem, że chodzi wam o Sissi. Z postacią Tabrisa rozstanę się więcej niż chętnie. Ona już chyba odegrała swoją rolę?

- Taką mamy nadzieję. Teraz nadchodzą dni powszednie.

- Cudowne, błogosławione dni powszednie - mruczał Jordi, patrząc, jak Tabris przemienia się w Miguela, i tym razem już na zawsze.

Jordi podbiegł i uściskał przyjaciela:

- Witaj! Oj, znam kogoś, kto się strasznie ucieszy!

- Ja też znam kogoś takiego - uśmiechnął się Miguel. - Unni na pewno powita cię z największą radością.

- Chętnie w to wierzę. Mężczyzna o blond włosach przerwał radosną scenę. - Jeszcze wielu czeka na załatwienie swoich spraw. Ukazało się pięciu rycerzy i jedna czarownica, w milczeniu zsiadli z koni.

- Wielu was opuszcza dzisiejszej nocy świat tych, którzy nie mogą umrzeć - powiedział mężczyzna w bieli. - Niektórzy z was pozostawali tutaj setki lat z powodu złej woli pewnego czarownika. Dzięki tobie, Jordi, dzięki twoim dzielnym przyjaciołom i Miguelowi, będą mogli nareszcie odzyskać spokój. Don Federico był wzruszony.

- Jak wiecie, chcieliśmy zaczekać do trzydziestych urodzin Jordiego, by się przekonać, czy ty i Miguel poradziliście sobie z problemami. Teraz jednak nie musimy już czekać. Cieszymy się z kolejnego spotkania z wami, życzymy wam szczęścia i powodzenia w dalszym życiu. Sami marzymy już tylko o tym, by odpocząć.

Pożegnali się. Jordi również z końmi rycerzy, w imieniu swoim i Unni.

Pojęcia nie mieli, jak do tego doszło, ale wkrótce potem obaj, Jordi i Miguel, znaleźli się w świecie żywych. Mieli do przekazania przyjaciołom wielkie, wspaniałe nowiny.

Żaden z nich nie wiedział, jak długo przebywali w zaświatach, dopóki nie stanęli przed domem Vesli i Antonia w Liebakkene. W wielkim domu zebrali się wszyscy ich przyjaciele. Unni i Sissi właśnie opowiadały o swoich wrażeniach z farmy „Wieczna Zieleń” i o strasznym końcu zakładu oraz jego właścicieli. Obie dziewczyny miały oczy czerwone od płaczu.

Spojrzały w górę dopiero, kiedy Vesla wprowadziła nowych gości.

- A więc wy tutaj jesteście! - zawołała Unni. - Jesteście prawdziwi, czy też... ?

Sissi po prostu gapiła się na Miguela, nowa fala łez popłynęła z jej oczu. Tym razem z radości.

No i musieli opowiedzieć o wszystkim. Morten też się przysłuchiwał, trochę zazdrosny, ale bardziej chyba jednak zadowolony, że uniknął takich przygód. Gudrun i Peder wciąż znajdowali się w Hiszpanii.

- Myślisz, że jesteś Miguelem już... na zawsze? - jękając się, spytała Sissi.

- Przez całe życie. Tabris nie istnieje!

- Właściwie to trochę szkoda - przekomarzała się z nim Sissi. - Och, nie! - zawołała przestraszona. - Za nic nie chcę do tego wracać. Zostań, jaki jesteś!

- Ja też tak wolę - uśmiechnął się.

- Jak to dobrze, że wróciłeś, Jordi - wzdychała raz po raz Unni. - Nigdy nie miałam odwagi tak naprawdę uwierzyć, że to możliwe.

- Chodź, teraz chciałbym zobaczyć mojego bratanka. Pozwolisz, Vesla?

Vesla podskoczyła, szczęśliwa, że może pokazać ten cud, za jaki uważała synka. Na dworze był już dzień. Obaj mężczyźni znajdowali się w zaświatach dłużej, niż im się zdawało.

Chłopczyk patrzył na nich wielkimi oczyma, z ostrożnym, bezzębnym uśmiechem.

- Hej, imienniku! - przywitał go Jordi. - Jestem twoim stryjem. Będziemy rywalizować o nasze imię, skoro rodzice nazwali cię tak jak mnie. Za to my postanowiliśmy się zemścić i jeśli urodzi nam się syn, nazwiemy go Antonio. A jeśli córka, to będzie miała na imię Sigrid Teresa, na pamiątkę nieszczęśliwych kobiet z naszej rodziny, matki Mortena i naszej babki ze strony ojca.

Wyprostował się.

- Piękny chłopczyk - powiedział. - Sprawiliście się dzielnie. Wasz synek ma prawo do

tego imienia. A powiedz mi, Morten, co u Juany?

- Dziękuję. Pochłonięta studiami. Przesyłamy sobie SMS - y. Codziennie.

- Pozdrów ją ode mnie i powiedz, że dużo o niej myślimy.

- Oczywiście, że powiem. A poza tym będziemy mieli okazję spotkać się wszyscy na weselu Gudrun i Pedra. Zaraz trzeba do nich zadzwonić z wiadomością, że wróciliście. Oni wciąż na was czekają.

- No, ale oto jesteśmy - odpowiedział Jordi spokojnie.

Miguel stał i przyglądał się niemowlęciu, potem zamyślony przeniósł wzrok na Sissi. Była w tym spojrzeniu dotychczas nieznana tęsknota. To także jest część ludzkiego świata, jedna z tych, do których nigdy się nawet nie zbliżył. Taka obca, ale taka pociągająca.

W końcu otrząsnął się i razem z innymi opuścił pokój.

Ale jedno wiedział z całą pewnością: Bardzo chce posiadać Sissi. Teraz! Chciał zostać z nią sam na sam, musiał ugasić w swoim ciele ten nieznosny ogień, przytulić Sissi, wejść w nią. Teraz ona należy do niego.

Z trudem łapał powietrze. Czy to Tabris się w nim odzywa? A może ludzie też mają takie gwałtowne potrzeby? Pomóż mi, proszę, sam nie wiedząc kogo. Pomóż trzymać Tabrisa z dala od tego. Przecież mu to obiecali. Tamci. Istoty w bieli. Zapewniali, że od tej chwili jest tylko Miguelem, ale czy można im ufać? Czy wiedzieli, co on w sobie nosi?

Głęboko wciągnął powietrze, by uwolnić się od lęku.

Vesla i Antonio, po powiększeniu rodziny, postanowili na nowo urządzić dom, więc nie było w nim już tak wiele miejsc do spania.

Morten miał mieszkać z nimi, dopóki jego sytuacja życiowa się jakoś nie wyjaśni. Unni i Jordi pojechali do jej rodziców, natomiast Sissi i Miguel zostali bez mieszkania. Vesla załatwiła im więc pokój w hotelu. - Chcecie jeden czy dwa? - próbowała żartować.

Po pełnym wzruszeń dniu wszyscy się pożegnali i rozeszli.

Sissi jechała z ukochanym przez przystrojone na Boże Narodzenie miasto. Muszę sobie kupić samochód, myślał Miguel. To przyjemnie i wygodnie umieć prowadzić.

Starał się myśleć o czym innym niż Sissi, która siedziała przy nim i z całych sił walczyła z narastającym pożądaniem. Ale i on był jak rozgrzana maszyna parowa. Czy nigdy nie dotrą na miejsce?

Vesla załatwiła im jeden pokój, żadne nie protestowało, absolutnie nie. Hotel był pełen świątecznych gości, nikt nie zwracał uwagi na tych dwoje, kiedy wsiadali do ciasnej windy. Miguel widział tylko Sissi, ani na moment nie spuszczał z niej wzroku.

Widział, jak bardzo jest spięta i niepewna. Ona również. Tyle się miało za chwilę

zdecydować, to gra o wysoką stawkę. Miguel musi się trzymać w ryzach, musi! Kiedy zamknęli już za sobą drzwi swojego pokoju, długo stali tuż przy sobie bez ruchu. Sycili się szczęściem, że nareszcie mogą być tak blisko. Sami. Sissi jednak zauważyła, że Miguel drży na całym ciele, otrząsnęła się więc i powiedziała zwyczajnym tonem:

- Przeżyliśmy dzisiaj wiele. Odczuwam potrzebę kąpieli. Wezmę prysznic, a potem się położę.

Spojrzał na nią przestraszony.

- Chyba nie zamierzasz iść spać?

- Ja? - spytała kokieteryjnie. - Nie zamierzam. Absolutnie nie.

- To coś zupełnie innego niż górskie rozpadliny czy leśne szałas - próbował żartować, wślizgując się do łóżka w ciemnym pokoju. Sissi pogasiła światła ze względu na przyzwoitość. Miguel mówił dość spokojnie, ale w jego głosie narastało napięcie.

Po dziesięciu minutach atmosfera zmieniła się diametralnie.

Sissi po raz pierwszy czuła na skórze dotyk jego nagiego ciała. Miguel najwyraźniej nie był pewien, czy zapanuje nad demonem w swoich zmysłach, ona myślała o tym samym.

Było jasne, że on jest rozpalony do białości i traci zdolność rozsądnego myślenia. Ona próbowała więc okazać mu jak najwięcej miłości i ciepła, czego przecież dotychczas nie doświadczył za wiele.

W końcu bardzo delikatnie wsunął swój wielki członek między jej uda, z drzeniem, zdyszany. Sissi zauważyła, jaki jest delikatny, poczuła wilgoć i mrowienie w dole brzucha, nigdy aż tak nikogo nie pragnęła, przypomniała sobie teraz pewien sen, jaki nawiedził ją niedawno. Zapomniała o nim, aż dopiero teraz... Śniło jej się, że byli gdzieś razem, on jako Tabris, i jego członek spoczywał na jej podbrzuszu, dokładnie tak jak teraz. A był wielki, zupełnie nie jak u mężczyzny, poruszał się, a ona przeżyła niewiarygodny orgazm i tylko marzyła, żeby poczuć go w sobie. To jednak nie było możliwe, oznaczałoby dla niej śmierć. Słyszała świszczący oddech Tabrisa, czuła gwałtowne ruchy, szpony, które zostawiały głębokie bruzdy na jej plecach; wtedy zauważyła, że on próbuje w nią wejść...

Sen skończył się na tym, ale teraz w jakiś sposób przeżywała jego dalszy ciąg. Właśnie teraz... Miguel JH wślizgnął się w jej ciało i nie mieli już odwrotu. Wspomnienie snu i ogromna wszechogarniająca miłość do f| Miguela doprowadziły ją do orgazmu, jakiego nigdy j| jeszcze nie doznała, nie przypuszczała nawet, że coś tak intensywnego może istnieć. Wtedy Miguel zaczął oddychać ciężko, z jękiem, ale był mężczyzną, człowiekiem, Miguelem i niczym więcej. Zachował jednak zdolność Tabrisa do kochania kobiety tak, jak żaden mężczyzna na świecie nie potrafi.

Czy mogła żądać czegoś więcej?

Wszyscy oczekiwali narodzin dziecka Jordiego i Unni. Przyszła na świat córeczka, której, ku wielkiemu wzruszeniu Gudrun, dano na imię Sigrid Teresa. Ale nazywano małą po prostu Teresa.

Tymczasem nadeszło lato. Drugi lutego minął radośnie, nie naznaczony żadną katastrofą, z wyjątkiem może tego, że uszczęśliwiony Morten wypił więcej, niż powinien. Ale co tam, skończył przecież dwadzieścia pięć lat, więc trzeba mu wybaczyć.

Teraz mógł się odbyć uroczysty ślub Gudrun i Pedra, z mnóstwem kwiatów.

Chcieli wziąć ślub nad morzem, w Selje. Morten bowiem osiedlił się w dawnym domu swojej babki, razem z nową przyjaciółką. Dziewczyna okazała się rozsądna, stała mocno na ziemi, co dla Mortena było pewnie najlepsze. Zresztą i on z wiekiem stawał się coraz rozsądniejszy.

Na wesele przyjechała też Juana z młodym, bardzo odczytanym Hiszpanem w okularach, obdarzonym wielkim czarem osobistym. Zachwycił się Juana po przeczytaniu jej pracy na temat piętnastowiecznej Asturii. Autorka chciała rozszerzyć temat tej pracy na całą północną Hiszpanię. Od razu oboje znaleźli porozumienie.

Sissi i Miguel szukali dla siebie domu w Skanii. Jemu się tam bardzo podobało, co Sissi przyjmowała z radością. Unni i Jordi zastanawiali się, czy by nie wyjechać do Hiszpanii, bo w Norwegii wszystko jest takie okropnie drogie. W końcu już i dawniej myśleli o północnej Hiszpanii. Zgadzała się zresztą we wszystkim.

Zanim jednak wszyscy opuścili Oslo z zamiarem pojechania na zachodnie wybrzeże, odbyły się chrzciny dwojga małych Vargasów. Prosta, ale bardzo piękna ceremonia miała miejsce w ratuszu w Oslo, w sali z portretem króla Haralda. Ojcowie nieśli swoje dzieci, dumni, w otoczeniu gości.

Sissi i Miguel patrzyli, jak przejęty Antonio kroczy z Veslą u boku i z maleńkim chłopczykiem na rękach. Jordi niósł Teresę, która z pewnością nie pojmowała, jaka to uroczysta chwila.

Ze wzruszenia Sissi popłynęły łzy, a kiedy usłyszał głośno wypowiedziane imię i nazwisko Jordi Vargas, wszyscy wiedzieli, że chodzi o małego Jordiego i że chłopiec dostaje to imię na pamiątkę długiej, samotnej, wędrówki jego wuja po zaświatach.

Gudrun zalała się łzami, kiedy padło nazwisko Signd Teresy Vargas. Również Pedro był wzruszony, choć on uważał, że uroczystość jest pogańska. W ogóle wszystko odbywa się

nie po chrześcijańsku. Unni i Jordi wzięli cichy, cywilny ślub. Sissi i Miguel żyją w wolnym związku. Chociaż w tym wypadku sprawa nie jest taka prosta, niełatwo jest komuś takiemu jak Miguel zdobyć dokumenty, na razie więc pozostawał tak zwanym bezpaństwowcem. Biurokracja bowiem wymaga czasu i zachodu.

Stał teraz obok Sissi i przyglądał się maleńkim dzieciom. Sissi uścisnęła mu rękę i spojrzała nań pytająco. Rozumiał, o co jej chodzi.

Oboje bardzo chcieli mieć dzieci. Ale mieli też mnóstwo wątpliwości. Czy mogliby się odważyć. Czy Miguel jest na tyle człowiekiem, by mógł spłodzić normalne, ludzkie dziecko? Bez ogonka, choćby i małego? Bez zielonych oczu i spiczastych uszu?

Trzeba się nad tym dobrze zastanowić.

Jak zwykle Pedro pomógł im wyjść z biurokratycznej pułapki. Wyposażył Miguela, jak najbardziej zgodnie z prawem, w hiszpański paszport i hiszpańską tożsamość, dzięki czemu młoda para odetchnęła. Teraz mogli w każdej chwili wziąć ślub.

Na koniec Gudrun i Pedro połączyli się węzłem małżeńskim, a stało się to w starym wiejskim kościółku na zachodnim wybrzeżu Norwegii. Jeszcze jedna uroczystość miała się odbyć w Hiszpanii, gdzie postanowili się osiedlić. Pedro bowiem był katolikiem, chociaż nie zaliczał się do fanatyków, pragnął ślubu we własnym obrzędku. Na ten drugi ślub zamierzali zaprosić Elia z rodziną.

Podczas wspaniałego weselnego obiadu Morten powiedział:

- Zastanawiam się, czy czarownica Urraca nas teraz widzi?

- Mam nadzieję, że nie - odparł Jordi. - Życzę jej i rycerzom, by nareszcie zaznali spokoju. Ale może moja strażniczka z granicy sfer nas widzi?

- Uważam, że należy się im wszystkim toast - powiedział Antonio.

Spełniono pięć toastów. Za wszystkich rycerzy. A potem jeszcze za Urracę.

Później za dwoje królewskich dzieci.

I za króla Agile.

I jeszcze pięć za rycerskie konie.

Ale wtedy Morten spał już głęboko pod stołem.